

TYLKO W „DO RZECZY”

Ujawniamy szczegóły
tajnych negocjacji Polska – Izrael



Czy grozi nam
dwuwładza sądowa

TYGODNIK LISICKIEGO

DO

NR 28/280 9-15 LIPCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

RZECZY

LITWA I BIAŁORUŚ

KONTRA POLSKA:

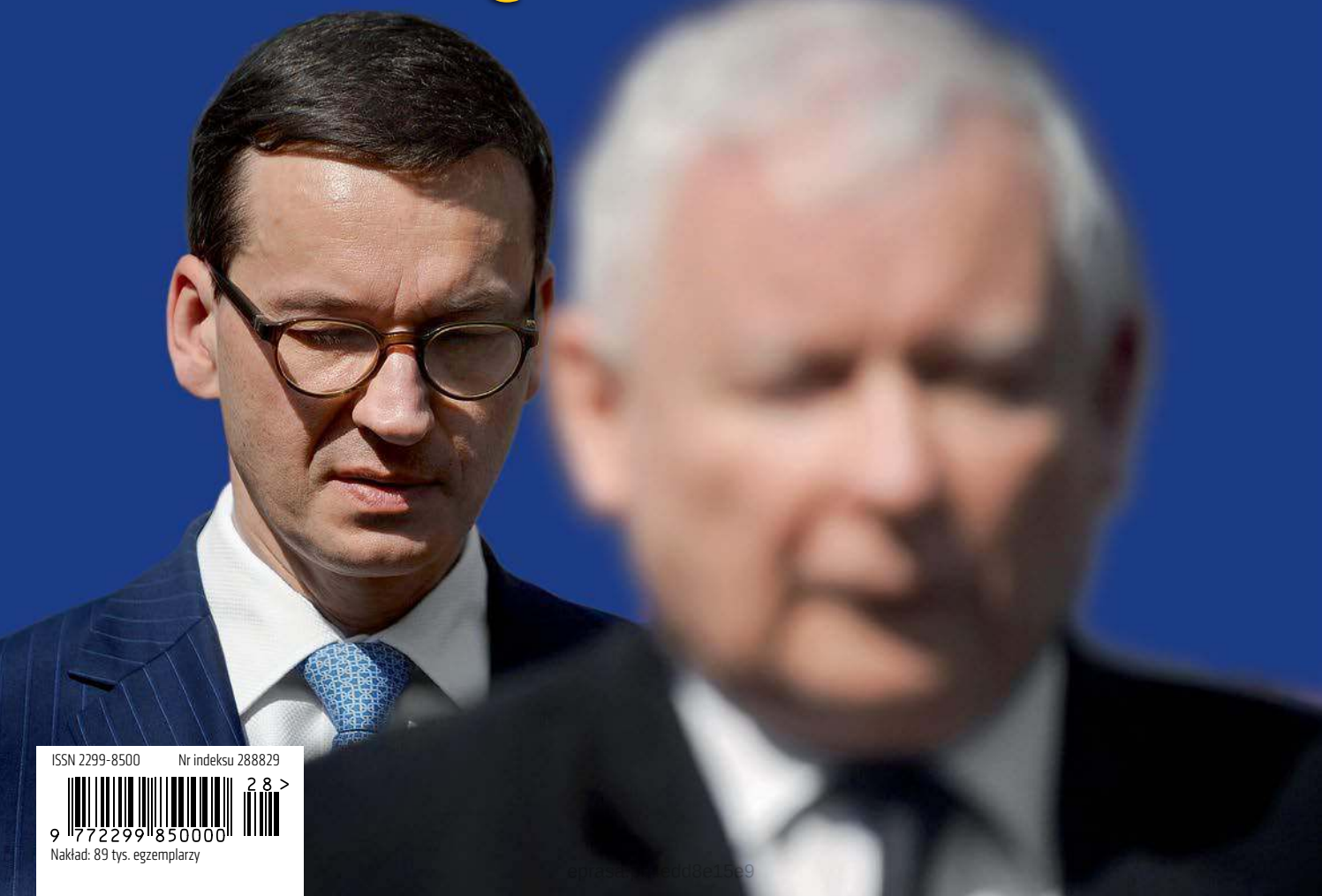
WOJNA O BITWĘ
POD GRUNWALDEM



Dlaczego tak ostro
atakują ojca Rydzyka

PIOTR SEMKA ZAGLĄDA ZA KULISY WŁADZY:

Kto rządzi PiS-em?



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 89 tys. egzemplarzy

opracowanie redakcyjne

STRAŻNIK PAMIĘCI

2018

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



VI EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie
w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła,
które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje,
organizacje, które w minionym roku podjęły nowe
inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które
w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość
o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 31.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl
lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PARTNERZY STRATEGICZNI

PATRONAT HONOROWY

WSPÓŁORGANIZATOR





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Niebezpieczeństwo sekciarstwa

Ileż to razy słyszałem, że PiS i obecna władza niszczą polską debatę publiczną. Że wprowadzają w nią agresję, złość i wściekłość. Że obrażają, poniżają itd., itp. Że używają języka nienawiści i pogardy. Ciekawe jednak, że zwolennicy takiego poglądu na ogół nie są w stanie zauważyć, że druga strona sporu politycznego, czyli oni sami, nie tylko oddaje pięknym za nadobne, lecz także – jestem przekonany – często wielokrotnie rządzących w agresji wyprzedza.

Oto słowa prof. Andrzeja Rzeplińskiego, byłego przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego, na temat Jarosława Kaczyńskiego:

Stefan Niesiołowski, ale właśnie PROFESOR Rzepliński, były szef TK. Ten sam profesor, który przy każdej okazji załamuje ręce nad poziomem dyskusji, ubolewając nad „brutalizacją życia publicznego”. Inna zwoleńniczka walki z mową nienawiści, Joanna Scheuring-Wielgus, nazwała w tym samym dniu co prof. Rzepliński Mateusza Morawieckiego największym polskim banksterem po 1989 r., mitomanem i kłamcą. Scheuring-Wielgus to nie postać wagi Rzeplińskiego, ale – jak widać – przykład idzie z góry i hamulce puszczają.

Tym atakom polityków sekundują antypisowskie media. Niektóre już dawno przemieniły się w agitki i maszyny propagandowe. Tytuł informacji z pierwszej strony „Gazety Wyborczej” (to nie żart, to naprawdę jest informacja!): „PiS i Prezydent niszczą praworządność w Polsce”. A to tezy towarzyszącego jej komentarza: „Od 4 lipca każdy, kogo PiS wskaże jako wroga, może zostać skazany przez sąd będący w rękach partii rządzącej”. Rządy PiS to „władza autorytarna” i „dyktatura ciemniaków”, prezydent Andrzej Duda zaś to „wielokrotny gwałcieł” konstytucji, który „popełnił zbrodnię kwalifikowaną”. Autor tych wywodów nie zauważył oczywiście niedorzeczności: jeśli po 4 lipca każdy wróg PiS będzie mógł siedzieć w więzieniu, to dlaczego zarówno on sam, jak i jego koledzy pozostają na wolności? Logika wskazywałaby na to, że albo nie są wrogami PiS (to chyba nieprawda i bardzo by się na mnie obrażili, gdybym pozbawił ich tego miana), albo cała ta opowieść jest brednią. Tylko że nie o logikę chodzi. Chodzi o nastrój, o emocje, o nieustanne utwierdzanie się i podniecanie

rzekomym stanem zagrożenia. Nic dziwnego, że słysząc podobne głosy, Lech Wałęsa zapowiedział wyjazd do Warszawy z bronią, z czego na razie szczęśliwie się wycofał.

Wyraźnie widać, że opozycja utraciła już zdolność autokontroli. Duża jej część stała się po prostu oszalałą grupą sekciarzy, dla których uprawianie polityki sprowadza się do coraz mocniejszych i bardziej wrzaskliwych ataków na władzę. Wyrzucają z siebie emocje i frustracje, dokonując symbolicznej – skoro realna jest niemożliwa – destrukcji przeciwnika. Oczywiście można się pytać, ile razy może się skończyć demokracja? Czy demokracja, która już raz upadła, może upaść drugi, trzeci, enty raz? Czy zbrodnia kwalifikowana nie powinna się skończyć powstaniem? Czy wobec gwałtu nie powinno się wezwać społeczeństwa do broni? Takie pytania jednak nie padają. Język nie służy do opisu, ale do budowania wewnętrznej spójności grupy i do zapewniania jej dobrego samopoczucia. Tylko że to, co służy tożsamości sekty, ma dwie konsekwencje.

Po pierwsze, prowadzi do przegranej politycznej. Tak długo, jak długo opozycja nie potrafi się uwolnić od hysterii, tak długo nie ma szans realnej walki o władzę z PiS. Po drugie, i to jest rzecz naprawdę niebezpieczna, część najbardziej podnieconych sekciarzy faktycznie wierzy, że Polska jest w rękach tchórzy, cwaniaczków, banksterów, dyktatorów i reżimowców, i gotowa jest z tym walczyć w każdy możliwy sposób. Nawet jeśli to margines, to jest on groźny. Ryzyko, że ekstremizm tej grupy będzie wzrastał, jest tym większe, że sądząc po sondażach, PiS władzy oddawać nie zamierza. ©©

RYSUNEK TYGODNIA



„Choć ten tchórz, który nami rządzi, taki polski cwaniaczek, był na tyle cwany, że rządzi, nie ponosząc odpowiedzialności”. Określenie prezesa PiS mianem tchórza, cwane go cwaniaczka – to ma być ta właściwa forma debaty? Przecież te bluzy są klasycznym przejawem pogardy i poniżającego języka. I to używa ich nie pierwszy lepszy publicysta, nawet nie zwykły poseł, nawet nie

TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA

CO SIĘ DZIEJE W GŁOWIE KACZYŃSKIEGO

Kto teraz rządzi PiS-em?



60 MARIAN PIĘKA
POŚWIĘCENIE, WALKA, ALE I MYŚL

62 POLEMKA Z ARTYKUŁEM I ODPOWIEDŹ
SŁAWOMIRA CENCKIEWICZA

**„ŚWIATOWY ZWIĄZEK
ŻOŁNIERZY... PRL?”**

HISTORIA

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
CZYJ TEN GRUNWALD?

Wojna o bitwę pod Grunwaldem

68 ANNA HERBICH
OCALAŁE Z PIEKŁA WOŁYNIA

ŚWIAT

74 ROZMOWA Z DUŃSKIM
DZIENNIKARZEM ŚLED CZYM

GAZPROM TO TARAN
Nord Stream 2 nie do zatrzymania?

77 JACEK PRZYBYLSKI
MRO CZNA STRONA DŹWIĘKU

82 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ZNIESŁAWIONY BOHATER

EKONOMIA

84 STEFAN SEKOWSKI
ŚWIŃSKA WOJNA TRZYDZIESTOLETNIA?
Jak walczyć z ASF

LATO „DO RZECZY”



88 JOANNA BOJAŃCZYK
ELEGANCKA DAMA LITWY
Najlepsze kurorty Europy – Połąga

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
JAK CHRONIĆ SERCE
Zapobiec powikłaniom cukrzycy

KRAJ

22 ROZMOWA Z PIOTREM ANDRZEJEWSKIM
NIE MA I NIE BĘDZIE DWUWŁADZY
Adwokat, członek Trybunału Stanu
o reformie sądownictwa

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**WIELKIE BRUKSELSKIE
TŁUCZENIE TALERZY**

28 MARCIN MAKOWSKI
OPERACJA IZRAELSKA

31 WOJCIECH WYBRANOWSKI
KLAN GAWŁOWSKICH

34 ŁUKASZ WARZECHA
IMIGRANCY JUŻ TU SĄ

36 ROZMOWA Z LIDIĄ KOCHANOWICZ
Z FUNDACJI LUX VERITATIS
DZIEŁA O. RYDZYKA SŁUŻĄ LUDZIOM

40 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
BIEGNAĆ DO SŁAWY

KULTURA

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CHRZEŚCIJAŃSKI HOLLYWOOD
Bóg na dużym ekranie

45 PIOTR GOCIEK
KOGO BOLI MRÓŻ

48 ROZMOWA Z SIMONEM REYNOLDSEM
ROCK TO JUŻ MUZEUM

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, KSIĄŻKI,
PŁYTY, GRA**

OPINIE

56 ANDRZEJ TALAGA
O ROSJI REALNIE
Kreml nie jest partnerem do gry

58 ROMUALD KMIĘCIK
HUCPA WOBEC POLSKI

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (12), WARZECHA (13), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (65), ZYCHOWICZ, KOPER (71), KOWALCZUK (80), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Kierunek
ORLEN



Złap Waszą piłkę!

**Tankuj, kupuj i odbierz
w atrakcyjnej cenie!***

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych
lub 4900 punktów VITAY.

Kierunek jest jeden...



ORLEN

*Sprzedaż promocyjna do 05.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orken.pl.
eprasa.pl 4edd8e15e9

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu publikujemy list od warszawianki zbulwersowanej dewastacją na Starym Mieście. Zachęcamy Państwa do dzielenia się swoimi opiniami w listach (tych tradycyjnych i e-mailach kierowanych na adres: listy@dorzeczy.pl). Wszystkie czytamy, najciekawsze staramy się publikować.

Feministki jak kibole

Tak jak środowisko kibiców może się wstydić za część swoich przedstawicieli (tzw. kiboli), tak kobiety mogą się wstydić za feministki. Ja przynajmniej się wstydzę. I tak jak przez stadionowe burdy, bójki z policją, dewastacje, paskudne słownictwo etc. kiboli do normalnych kibiców przylgnęła nieprzyjemna łatka, tak teraz wyczyny radykalnych feministek odbijają się na wszystkich kobietach.

Kilka dni temu na Facebooku zobaczyłam zdjęcia pomazanych murów budynku należącego do parafii pw. Męczeństwa św. Jana Chrzciciela w Warszawie (nie kościoła, ale również zabytku). Nie wierzyłam, myślałam, że to jakaś internetowa prowokacja. Niestety nią nie jest. Budynki parafii, kilka kroków od kościoła, gdzie pochowany jest kard. Wyszyński, pięć minut spacerkiem od Zamku Królewskiego, rzeczywiście oszpecono. Na murze budynku ktoś, kto podpisał się jako „mitochondrialna Ewa”, namazał czerwoną farbą: „Oto krew moja i ciało moje – wara

wam”, obok napisy: „Mordercy”, „Pedofile”, a całość „dzieła” wieńczy napis na chodniku: „Dość piekła kobiet!”. Pomijam treść zarzutów, bo żyjemy w wolnym kraju, każdy może mieć swoje poglądy. Może nienawidzić Kościoła albo uważać, że „piekło kobiet trwa”. Jednak jak można używać takich metod? Nie wiem, kto jest za to odpowiedzialny, ale wiem, że wielu kobietom uważającym się za feministki ta akcja się spodobała. A to niejedynie miejsce pomazane w ostatnich dniach w Warszawie. Czy Wy, feministki, nie rozumiecie, że szkodzicie nie tylko nam – kobietom uważającym, że nie żyjemy w piekle – lecz także swojej własnej sprawie? Zachowujecie się jak kibole malujący na murach przy nazwie znienawidzonej drużyny gwiazdę Dawida czy wyraz „Jude”. To o Was bardzo źle świadczy.

Naprawdę nie czuję się uciśniona, naprawdę nie mogę patrzeć, gdy na transparentach rysuje się lub – używając najbardziej wulgarnych określeń – wypisuje się nazwy moich organów. Po co ta nienawiść do mężczyzn? Skąd ta agresja i wulgarność? Czas wyjść z przedszkola, gdzie dziewczynki trzymały się razem, a chłopcy razem i zdarzało się, że obie grupy walczyły ze sobą. Feministki, wyjdźcie z przedszkola i przestańcie mówić w imieniu kobiet, w moim imieniu, a zacznijcie wyłącznie w swoim własnym! Bo to nie są tożsame pojęcia, o czym, mam nadzieję, pamiętają normalne kobiety i normalni mężczyźni.

**Z poważaniem
Marta z Warszawy**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociel**, **Waldemar Łysiak**,
Krzysztof Masłoni, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika**
Ćosić (Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**, **Piotr Gursztyn**,
Katarzyna, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalcuk (Rzym)**,
Jakub Kowalski, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Anna Piotrowska, **Jan Pospieszalski**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sękowski**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz**
P. Terlikowski, **Błażej Torajski**, **Matthew Tymmand**, **Paweł Wawrzynski**, **Szewach**
Weiss, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wośki**, **Tomasz Wróblewski**,
Wojciech Wybranowski, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**,
Damian Cygan, **Karol Gac**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz**
Maranowski (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**

Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia),
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieszka-Wójciszewska**, **Włodzisław Zakrzewski**
Fotoreporterzy: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztofa**, **Miroslaw Owczarek**

Okładka: **Adam Chelstowski/Forum**; oprac. graf. **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawcą tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 89 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Wakacyjna Akcja Caritas

BY WAKACJE NIE POZOSTAŁY TYLKO MARZENIEM



wyślij sms:
WAKACJE

na nr **72052**
(koszt: 2,46 z VAT)



dokonaj wpłaty
z dopiskiem

**Wakacyjna
Akcja Caritas**

na konto Caritas Polska:

77 1160 2202 0000 0000 3436 4384

Pomóż dzieciom
z niezamożnych
rodzin wyjechać
na wakacje



www.wakacyjnaakcja.caritas.pl

Patroni medialni:



Akcję
wspierają:



eprasa.pl 4edd8e15e9



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rokosz będzie słabł

Choćbyście robili jeszcze coś dobrego, siedzicie tutaj zbyt długo. Powiadam więc: odejdźcie, już chcemy was się pozbyć!". Te słowa Cromwella do posłów angielskiego parlamentu zwanego długotrwałym przyszły mi na myśl, gdy oglądałem tragi-komedię z odchodzeniem – bez ostatecznego odchodzenia – prezes Małgorzaty Gersdorf z fotela I prezesa Sądu Najwyższego.

Duża część środowiska sędziowskiego – hałaśliwa, lecz nie reprezentująca całości – dała się wepchnąć w wojnę do upadłego

Ogłoszenie przez Kancelarię Prezydenta, że pani prezes przeszła w stan spoczynku, kończy pewną epokę w wojnie o reformę sądownictwa.

Małgorzata Gersdorf będzie jeszcze miesiącami, a może latami ogłaszana przez opozycję legalną I prezes SN. Być może jeszcze parę razy demonstracyjnie będzie próbowała jak gdyby nigdy nic wejść

do swego gabinetu w gmachu na pl. Krasińskich w towarzystwie Grzegorza Schetyny czy Kamili Gasiuk-Pihowicz, ale – jak się zdaje – impet sędziowskiego rokосу będzie słabł. Zresztą sama Gersdorf dawno już pogodziłaby się z logiką zmian, gdyby nie presja ze strony grupy sędziów, którzy od 2015 r. poczuli w sobie powołanie do bycia symbolami opozycji. Profesorowie Rzepliński, Zoll, Łętowska, wspierani autorytetem prof. Adama Strzembosza, nigdy serio nie pomyśleli o jakimkolwiek kompromisie.

Nie. Ich dewizą było: „Na pewno wygramy! Będziemy walczyć do końca świata i nawet jeden dzień dłużej”. Umacniali ich w oporze liderzy opozycji, „Gazeta Wyborcza”, aktorzy z pretensjami do roli trybunów ludowych, egzaltowane aktywistki KOD i zagraniczni kibice opozycji.

Nie miejsce tu na wracanie do konstytucyjnych sporów. Uważam, że nasza ustawa zasadnicza daje podstawy przedwczesnego wygaszenia kadencji prezes SN i części sędziów SN drogą ustawy sejmowej.

Chodzi mi o coś innego. We wszystkich dojrzałych demokra-

cjach wobec sporu konstytucyjnego jakaś grupa przedstawicieli środowiska sędziowskiego dawno już szukałaby drogi do jakiegoś kompromisu. W Polsce niepokojąco duża część środowiska sędziowskiego – hałaśliwa, lecz nie reprezentująca całości – dała się wepchnąć w wojnę do upadłego.

Przeciwnicy zmian pytają: „Skąd wiara, że po reformie sądy będą działały lepiej?”. Nie ma takiej gwarancji. Jednak po dwóch latach konfliktu wiem jedno: sędziowie zaangażowani w spór po stronie dotychczasowego establishmentu powinni byli odejść i dać szansę na nowe rozdanie. Tych nowych będziemy teraz rozliczać z tego, jak sprawują swe funkcje. Jednak proszę mi nie kazać brać na serio aktorów prawno-politycznego show z ostatniego tygodnia.

Metoda wojny do upadłego była formą walki o zachowanie swojego statusu w niezmiennym kształcie. Walki aż do spalonej ziemi. Pomyślcie o logice działania tej grupy, moi koledzy po piórze, którzy dziś załamujecie ręce nad sądowym krajobrazem po bitwie. © ©

NOWY SZEF SZTABU GENERALNEGO

Prezydent Andrzej Duda mianował generała broni Rajmunda Andrzejczaka szefem Sztabu Generalnego. Generał Andrzejczak jest absolwentem Wyższej Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu i Wojskowej Akademii Obrony Republiki Czeskiej w Brnie. Był m.in. dowódcą 1. Batalionu Pancernego Ułanów Krechowieckich w Orzyszu, a także dowódcą 17. Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej w Międzyrzeczcu. Dowodził polskim kontyngentem UNDOF na Bliskim Wschodzie na granicy izraelsko-syryjskiej, był też dowódcą brygady podczas dwóch zmian misji w Afganistanie. (ww) © ©



FOT. JACEK DOMINI/REPORTER

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
„TAJNA HISTORIA FUTBOLU”
„SAMOZWANIEC.
MOSKIEWSKA ŁADACZNICA”

Cena: 148 zł
Oszczędność: 109 zł

+



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł



MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4edd8e15e9

MUNDIAL OKIEM JASTRZĘBIA

Metafora z Bahamów. Niestety

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Są na świecie prawdy brutalne ocierające się o bluźnierstwo. Służę aktualnym usłyszonym przykładem: „Ty, ziomek, ten mundial 2018 bez naszych to się dużo lepiej ogląda! Te drużyny to walczą i grają do końca, a tych naszych to chyba wzięli do Rosji dla kontrastu”. Znęcanie się nad kadrą Nawałki należałoby zakończyć, bo żadna to nie była niestety kadra, tylko wstyd na kolanach. O tym wstydzie na kolanach zacząłem myśleć nawet metaforycznie.

Bo ja przepraszam, ale ja, tak jak baaardzo wielu internautów światowych, widziałem filmik pomundialowy Grzegorza piłkarza Krychowiaka z Bahamów. I niestety szkoda, że go widziałem, i szkoda, że go nie mogę „odzobaczyć”. Państwu, którzy filmiku nie widzieli, odradzam czytanie dalej mojej pisaniny, gdyż go krótko omawiam. Otóż na tym filmiku rozkosznik Krychowiak robi sobie, jak dziecię, orla na piaszczystej plaży całym sobą, a następnie znienacka oraz niespodziewanie dziewczyna jego,

Celia, nagrywająca ten filmik, skrada się do klęczącego od tyłu i wsadza mu przez kąpielówki

palec w pupę. Niestety, przykro mi, ostrzegałem. Następnie śmieje się radośnie dziewczyna oraz sam piłkarz Krychowiak również zanoszą się chachaniem.

I jest to metafora brutalna, ocierająca się o bluźnierstwo, że oni tym naszym na tym mundialu od tyłu znienacka. A nasi co? Śmieją się na wyspach pięknych, niestety. Ty, Krychowiak, Ciebie to serio śmiesz? Czy jest mi ktoś w stanie wytłumaczyć, po jaką cholere wrzuca się takie filmiki do Internetu???

Dobra, zostawmy tego Krychowiaka, który do tej pory nie kojarzył mi się za bardzo z piłką, tylko z modowym lanserstwem, a teraz będzie mi się kojarzył z plażą o nazwie Faj. Kto zatem po Nawałce? Przydałby się jakiś trener. Po co my tego Staśka Czerchesowa Ruskim oddaliśmy? Był sobie w Legii i był mistrzowsko, i trzeba go było przechwycić reprezentacyjnie. Swoją drogą nieprzewidywalność sportu to jego piękno (wiem, że to banał, no i co?). Naszego Nawałkę i jego reprezentację hołubiono przed mundialem nie tylko pozycjami górnymi w różnych rankingach, a na Czerchesowie i Sbornej wieszano psy. I? I Rosja sprawiła wszystkim wielką niespodziankę twardą grą, a nasi też sprawili niespodziankę, choć inaczej podnoszącą adrenalinę...

Dodać trzeba, że w powietrzu wisi jednak żyła na lewej ręce rosyjskiego piłkarza Artima Dziuby. Tak się chłopak ucieszył ze strzelenia wyrównującej bramki Hiszpanii, że rozłożył ręce w geście zwycięstwa, a tam żyła mu wylazła na przedramieniu, chętna do pozowania fotografom. A na tej żył ślad po igle, a świat swoje o dopingu wie, a o rosyjskim dopingu to naprawdę sporo wie świat, więc zaczęły się

spekulacje, czy Sporna sobie nie dopinguje troszeczkę nazbyt odważnie. Zobaczymy za pięć lat, jak światowe federacje zbadają próbki.

Za wcześniej więc na wnioski o dopingu i na zastanawianie się, z czym ten mundial 2018 będzie się nam kojarzył, więc tylko krótko. Mnie z paroma pozasportowymi śmiesznościami już się kojarzy. Na przykład z tym Maradoną nawąchanym na trybunach tak, że mecze jego ukochanej Argentyny musiał widzieć co najmniej w 4D, a może nawet widział bramki, zanim padły. Tutaj z ostrożności procesowej pragnę zaznaczyć, że chodzi mi wyłącznie o nawąchanie rosyjskim woźdudem, żadnych innych skojarzeń nie miałem, no skąd? Swoją drogą biografia Maradony pt. „Ręka Boga” Jimmy’ego Burnsa wymaga pilnego rozszerzenia na „Ręka i nos Boga”, pewnie się doczekamy.

I jeszcze będzie mi się kojarzyć mundial z tym wspaniałym piłkarzem i przemarnym aktorzyną Neymarem oraz jego uciśnionym rolowaniem się po faulu w meczu z Serbią, które to kręciołki stały się inspiracją do setek przeróbek pokazujących komedianta toczącego się po jezdniach, trasach narciarskich, pustyniach itd. Ludzie to są tacy złośliwi, że policzyli nawet, iż aktorek Neymar w czterech meczach leżał na murawie 13 minut i 50 sekund. Z tego 50 sekund nie udawał.

Z pięknym, dramatycznym meczem Japonia – Belgia będzie mi się kojarzyć ten mundial, w którym to meczu typowana na karmę dla Belgów Japonia wygrywała już 2:0, żeby dać sobie w ostatnich doliczonych minutach wydrzeć zwycięstwo i przegrać 2:3. Wielkie, wielkie widowisko.

A na koniec pragnę jednak odwołać to, co na początku napisałem. Szkoda, że naszych nie ma już na tym mundialu. Szkoda oraz ech. ©©

Autor był redaktorem naczelnym „Super Expressu”, obecnie jest prezesem firmy R4S.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Muzykami nie jesteśmy, ale...

GRAMY NAJLEPIEJ W POLSCE

Trójka
POLSKIE RADIO





RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nie nasza klasa

Miał zaiste rację Marian Hemar, pisząc, że satyrę czyni cytat, a nie komentarz. Oto więc i on (cytat, nie Hemar): „Warstwa inteligentka jest tylko jedną z grup społecznych, a jej szczytne umysłowe i kulturowe prerogatywy są klasowej natury, podlegając dziedziczeniu. Transfery społeczne się zdarzają, lecz

go tygodnika „Polityka” filozof z UJ i ideolog lewicy – tak, lewicy – Jan Hartman. I dalej w podobnym duchu: z chama pana nie zrobisz żadną edukacją, ma znać swoje miejsce. Nie w takich słowach, ale w tym sensie.

Na swój sposób lubię Hartmana – w swym zacietrzewieniu zatracił zupełnie żmijową cnotę „mądrości etapu”, która była siłą michnikowszczyzny. Mówi otwartym tekstem wszystko, co się na lewicy myśli, i dzięki temu jest naprawdę pożyteczny. Dlatego nie będę tracił miejsca na wykazywanie oczywistego idiotyzmu jego stwierdzenia – zwracam tylko uwagę na jego kontekst. Dla kogoś, kto lewicę i lewicowość zna z podręczników i jej własnych deklaracji, postawa Hartmana może stanowić szok. Gdyby za zamkniętym, klasowym społeczeństwem i dziedziczeniem „kulturowych prerogatyw” opowiedział się, powiedzmy, Korwin

– ale nie wyznawca, de nomine, „sprawiedliwości społecznej”?

Ale kto lewicę zna z praktyki jej działania, z codziennych elukubracji różnych jej portali, wypowiedzi polityków – ten tylko się uśmiechnie, jak ja w tej chwili. Tak, lewica dzisiejsza to, wbrew zeszlowiecznym hasłom, gromada jaśnie paniczów, zjednoczonych pełną pasją pogardą dla „chamów” z małych, katolickich (to w dyskursie lewicy kluczowa, wykluczająca obelga) miasteczek, po tamtejszych obciachowych szkołach. Niekiedy oczywiście wśliznie się między nich ktoś kiepsko urodzony, jak sam Hartman pisze, zdarzają się wyjątki – ale tylko za cenę mimikry, gorliwego naśladowania paniczykowskich zachowań.

I fakt, że „chamstwo” przestało swej naturalnej, przyrodzonej elity słuchać, chce się rządzić samo, jest dla nich ustrojowym horrendum i postawieniem świata na głowie. Tak się porobiło. ©©

Lewica dzisiejsza to gromada jaśnie paniczów, zjednoczonych pełną pasją pogardą dla „chamów”

pomysł, by z dzieci robotników i chłopów w trzecim pokoleniu uczynić czytelników Żeromskiego, a nawet Masłowskiej, był od początku absurdalny i takimż pozostaje do dziś”. Tako rzecze w swoim felietonie dla lewicowe-



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Zagazowana koalicja

Pracownikom NIK udało się rzecz wyjątkowa – na zaledwie 50 stronach sumarycznie, ale wyczerpująco pokazali osiem lat rządów koalicji PO-PSL i jej genialnych ekonomiczno-gospodarczych posunięć. Bo choć odtajniony w ubiegłym tygodniu raport NIK dotyczy kulis zawarcia przez ekipę Donalda Tuska, a personalnie Waldemara Pawłaka, skrajnie niekorzystnego dla Polski „kontraktu gazowego z Rosją” i – co się z tym wiąże – podarowania Gazpromowi ok. 1 mld zł, to można z dużą dozą pewności założyć, że w podobny sposób przygotowywane były także

inne gospodarcze porozumienia. Przypomnę tylko, że niedawno „Do Rzeczy” ujawniło, iż – także za rządów PO – ogłoszono przetarg na dostawę śmigłowców dla wojska, nie analizując wcześniej jego potrzeb w tym zakresie.

Wracając do tego, jak ekipa Tuska negocjowała „kontrakt jamalski”. W raporcie NIK czytamy, że „negocjacje rządu polskiego z rządem rosyjskim w latach 2009–2010 były podjęte przez stronę polską bez merytorycznego przygotowania”, a także, że „strona polska nie miała wypracowanej strategii negocjacyjnej”. Wreszcie, że w procesie negocjacyjnym „pozycja Polski

była pogorszona zarówno wskutek ww. nieprawidłowości, jak i błędów popełnionych w trakcie negocjacji”.

Raport NIK był przez pięć lat tajny, po jego ujawnieniu wydawałoby się oczywiste, że w państwie, które nie chce uchodzić za „papierowe”, Waldemar Pawlak, były minister gospodarki, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za błędy i uchybienia albo chociaż doczekamy się próby postawienia go przed Trybunałem Stanu. Złudzenia. Jak wiele afer poprzedniej i jeszcze wcześniejszych ekip rozmyje się w zapowiedziach rozliczeń i niekończących się śledztwach „w sprawie”. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Trzy cytaty

1. Ja na kolana padłem. Ale zaraz krzyku swojego zaprzestali, a tylko go Radca do Protokołu zaciągnął.

Powiada dalej J.W. Poseł:
– W tej myśli ja tu Panów z panem Gombrowiczem na Sesję wezwałem, żeby uradzić jak i co robić. A bo nie tylko Geniuszami, Myślicielami, nadzwyczajnymi Pisarzami Naród nasz sławny Prze-

Bohaterstwem naszym zadrzą i ustąpią! (Porwali się więc, a pierwszy Minister, drugi Pułkownik, trzeci Radca i krzyczą: – Bohater, Bohater, Bohaterstwo, Bohaterstwo!).

Ja na kolana padłem. [...]

2. Lubię się przy tym między sobą za łby brać, oj, lubią, lubią, a najgorsze, że sami nie wiedzą o co. Bo każdy sobie coś pomyśli, a zanim zrozumie to, co pomyślał, to już mu się zdaje, że to, co pomyślał, jest jedynie godne uwagi na świecie, i chce walić w łeb każdego, kto pomyśli inaczej. A tu drogi wyboiste i błotniste, chłopek furmanką jadąc, trzęsie się i drzemie, jeszcze zleci i łeb rozwali. A domy niewykończone, bo majster się upił, a architekt uciekł z żoną przedsiębiorcy. A bank zamknięty, bo coś tam nakradli, a na pocztę okienko zamknięte, bo urzędnik je śniadanie. A kolej nie dojechała, bo palacz obraził się na mąszynistę, wysiadł i poszedł w pole. A trzech facetów miało się spotkać w „Ziemiańskiej” na Mazowieckiej, a trzeci nie przyszedł wcale i już teraz żadnego komitetu nie założą, bo się pokłócili przez telefon, „że z panem nie można się umawiać”.

sławny, ale tyż to Bohaterów mamy i gdy tam w kraju nadzwyczajne dziś jest Bohaterstwo nasze, niechże i tu ludzie widzą, jak to Polak staje! Co i obowiązkiem Poselstwa jest żeby gruszek w popiele nie zasypiać, a wszem wobec Bohaterstwo nasze ukazywać, bo Bohaterstwo nasze wroga przemoże, Bohaterstwo, Bohaterstwo Bohaterów naszych nieodparte, niezmożone trwogą moce piekielne napełni, które przed

Lubią się przy tym między sobą za łby brać, oj, lubią, lubią, a najgorsze, że sami nie wiedzą o co

A będą te miliony na ulicach?!



3. Żołnierz nasz bił się wspaniale. Szczerniałe szkielety domów Warszawy, armaty, które huczały na Helu, beznadziejne walki partyzanckie – stanowią przykład o wiele ponad cnotę żołnierską wybiegający. Tu już nie powinnoś żołnierska, tu już grało bohaterstwo rozpaczliwe.

Za żołnierzem stało całe społeczeństwo, kobiety, dzieci – dzieci przede wszystkim. Polska jest krajem bohaterskich dzieci.

Czytajcie Gombrowicza, Dygata, Cata-Mackiewicza. Zwłaszcza dziś. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wygrana bez honoru

Liczyłem na jeszcze kilka piłkarskich odcinków

„Między Tweetami”, ale jaki koń jest, każdy widzi. „Rzadki przykład zwycięstwa w meczu o honor, w którym przegrywa się honor” – skomentował nasze 1:0 z Japończykami Jakub Olczyk z „Weszło”.

Chociaż z drugiej strony, gdyby reprezentacja miała w sobie coś z finezji KPRM komunikującej zmiany w ustawie o IPN, wszystko dałoby się opisać bez tego defetyzmu? „Zaprezentowaliśmy się najlepiej spośród wszystkich zespołów. Byliśmy świetnie przygotowani pod każdym względem, a z Senegalem i Kolumbią udało nam się wypracować kompromis, który w przyszłości zapoczentuje. Selekcjonerze, ucz się od premiera!” – zaproponował Marcin Dobski z „Wprost”.

A teraz już poważnie, zapytany o tempo prac nad ustawą o IPN, Jarosław Kaczyński odparł: „Gdybyśmy zaczęli dyskutować, znalazłyby się siły, które by to zablokowały”. Najgorsze te dyskusje nad projektami ustaw, te bezsensowne pytania opozycji, propozycje zmian. Po co to komu?” – stwierdził Jan Kunert z „Polsatu”. To ironia, czy jednak dobra zmiana zapukała do stacji?

„Natanianchu i Kaczyński powinni dostać za wspólną deklarację walki z antysemityzmem i antypolonizmem pokojowego Nobla. Nikt nie zrobił tyle dla przełamania stereotypów i wzajemnych uprzedzeń oraz budowania pomostów pomiędzy narodami” – rzucił z kolei Tomasz Sakiewicz. I to jest bardzo słuszna koncepcja. Szczególnie intryguje cichy bohater negocjacji, „Natanianchu”. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie?

Teraz trochę prawdziwych problemów zwykłych ludzi, a nie jakieś ustawy. „Jakie to dziwne, jakie to nieprawdopodobne, jak mawiał Ionesco. Patryk Jaki na nagraniu w TVP o tym, że ktoś był słupem w repywatyzacji i kompletnie nie da się głosu mocniej zrobić, czwarty raz, piąty raz, no nie da się głośniej, ledwie słycać – krasnoludki” – napisała Teresa Bochwic, członkini KRRiT. „Niech sobie Pani baterie w pilocie wymieni” – zasugerował z sympatią jeden z internautów.

Na koniec żart bez komentarza. I jednak trochę o piłce. „Dlaczego PiS zaplanował zamach na SN na 3.07? Bo gralibyśmy o ćwierćfinał. Gdyby nie fatalna postawa Polaków. Wówczas głowy byłyby na boisku” – Roman Giertych. ©©



FOT. PAMEL GONMADA

LEPSZY HEJT NIŻ NIC

Aktorka Joanna Koroniewska największą popularność zdobyła dzięki roli w serialu „M jak miłość”. Po tym, gdy odeszła z serialu, by skupić się na rodzinie i wychowaniu dzieci, postanowiła powspominać, co było dla niej najtrudniejsze w czasie, gdy była gwiazdą „M jak miłość”. Okazuje się, że najbardziej przeszkadzało jej to, że była utożsamiana z postacią, którą grała, a ta nie zawsze była lubiana przez widzów. – Byłam wyzywana np. na przystankach autobusowych przez starsze panie, którym myliła się rzeczywistość serialowa z tą prawdziwą. Najwięcej hejtu pojawiło się, gdy moja bohaterka była związana z postacią graną przez Steffena Möllera. Małgosia go rzuciła. To był szczytowy moment, w którym byłam odbierana jeden do jednego jako Małgorzata Mostowiak – mówiła w Telewizji WP aktorka. – Kiedy moja postać rzuciła faceta w serialu, brałam akurat udział w „Tańcu z gwiazdami”. Po pierwszym odcinku byłam najniżej w tabeli. Ludzie mnie rzeczywiście nie znosili. Mnie poprzez postać, którą grałam – dodawała. Wtedy przynajmniej budziła jakieś emocje. A dziś? Nikomu się z niczym nie kojarzy. A wiadomo, że w show-biznesie to gorsze niż najgorszy hejt!

SZTUKA PROWADZENIA SPORÓW

Aktorka Olga Frycz poczuła na własnej skórze hejt swoich fanek za to, że na Instagramie pochwaliła się współpracą z różnymi markami. Dotąd Frycz uchodziła za gwiazdę, która gardzi udziałem w reklamach, sprzedawaniem prywatności i innymi celebryckimi zwyczajami. Okazało się jednak, że dała się złamać, co wzburzyło jej sympatyków. Ona sama na to wzburzenie odpowiedziała wzburzeniem jeszcze większym. A wszystko działo się na Instagramie. – Możecie mi wierzyć lub nie, ale nie zgadzam się na reklamowanie wszystkiego. Zgadzam się, że osoba, na której profilu co drugi post jest postem sponsorowanym, może stracić w waszych oczach wiarygodność, ale to nie daje wam prawa do hejtu. Bo hejt jest generalnie zły – broni się Frycz. Po czym przechodzi do kontrataku. – Zanim zaczniesz siać zamęt na moim profilu i zionąć jadłem w komentarzach, przejrzyj skrupulatnie swój profil i zastanów się, czy faktycznie u ciebie wszystko jest takie cacy. Zanim napiszesz o wartościach odżywczych polecanych u kogoś ciasteczek, pomyśl, ile razy wrzuciłaś zdjęcie z big makiem i ile świń i krów zjadasz rocznie, a później robisz zdjęcia padliny na kolorowym talerzu w modnej kafejce – zakończyła. Musimy koniecznie zapamiętać ten erystyczny trik – jak ktoś cię hejtuje (za cokolwiek), odpowiedz, że

jest podłym mięsożercą. Po takim ciosie już się nie podniesie!

LEPIEJ NIE WI(E)DZIEĆ

Dżoana Krupa, o czym wie cała Polska i pół Ameryki, jest gotowa, by zostać mamą. Opowiedziała o tym już chyba wszędzie, więc teraz od słów pora przejść do czynów. Przy czym Dżoana zapewnia, że choć jakiś czas temu zamroziła swoje jajeczka (przy udziale kamer, a jakże!), to chce, by do zapłodnienia doszło naturalnie. Kandydat na ojca już jest, to nowy partner Dżoany o imieniu Douglas. Problem w tym, że Douglas mieszka w USA, a Dżoana właśnie zaczyna kręcić kolejny sezon programu „Top Model” i jest uziemiona w Polsce. Celebrytka znalazła na to sposób. – By uniknąć długiej rozłąki z ukochanym, podpisując kontrakt na nową edycję, zażyczyła sobie, by narzeczony był zawsze u jej boku – donosi „Super Express”. – Produkcja musi opłacić jego przelot z Los Angeles do Warszawy i zapewnić parze apartament małżeński – czytamy. Okazuje się, że hotel też nie może być pierwszy lepszy. Musi mieć siłownię, basen i spa. Dżoana zastrzegła sobie w kontrakcie ośmiogodzinne przerwy między zdjęciami, by mieć czas na odpoczynek i regenerację. Dysponując już wiedzą dotyczącą komfortowych warunków, w jakich ma się poczuć potomek Dżoany, boimy się otwierać jakiegokolwiek kolorowe gazety i portale. Bo więcej już ani widzieć, ani wiedzieć naprawdę nie chcemy!

SEXY PAZNOKCIE



FOT. RADOŚĆ WAWRZECKI/FORUM

Agnieszka Szulim, teraz Woźniak-Starak, opowiedziała „Faktowi”, jak dba o swoją urodę. Oczywiście nie dba wcale, bo szkoda jej czasu, jest piękna w sposób naturalny, jak wszystkie celebrytki. – Dbanie o siebie wymaga długich godzin i nie przepadam za tym, mimo że efekt jest tego wart – ocenia Agnieszka. – Jak jestem u kosmetyczki, to pożytkuję ten czas na przeczytanie

ciekawej gazety, wszystko, by czymś się zająć i nie zanudzić – dodaje.

Potem mówi jeszcze, co sprawia, że czuje się seksowna. – „Czy ja jestem dzisiaj sexy?”, nie myślę o tym po przebudzeniu i w ogóle nie zawracam sobie tym głowy. Najlepiej czuję się nago, oczywiście pod warunkiem że mam pomalowane paznokcie. To mi wystarczy, by czuć się sexy – zapewnia celebrytka. Szkoda, że nie dodała, że właśnie została twarzą lakierów do paznokci i dlatego musi opowiadać te wszystkie bzdury. No ale takie wyznanie byłoby za mało sexy. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, strasznie nas boli, zresztą jak połowę januszów i grażyn w tym kraju, iż piłkarze występowali w reklamach i dostawali za to pieniądze. Przecież wiadomo, że jeśli już musieli gdzieś grać, to powinni być to charytatywne występy w kółku teatralnym podczas miesiąca równości. A jeśli już koniecznie miałyby to być reklamy, to czy naprawdę pieniądze są jedyną walutą, w jakiej mamy rozliczać wzajemne świadczenie usług? W końcu o wiele bardziej społecznie sprawiedliwe byłoby, gdyby np. taki Glik otrzymał honorarium w blachodachówce, Lewandowski w szamponie, a Błaszczkowski w cipsach.

Zaczęło się. Chcielibyśmy wyjechać na wakacje, w ramach bezpłatnego urlopu w ramach umowy-zlecenie, ale boimy się, że w którąkolwiek stronę tego kraju się nie ruszymy,

to spotkamy Polaków. A Polacy na wakacjach wiadomo: piją, są głośni, mają czelność głośno się cieszyć i zabierają osobodzieci, iżby robiły kupy na wydmach.

Doszło więc do tego, iż nawet na wakacjach w Polsce będziemy zapewne wstydzić się używać języka polskiego, iżby nikt nie pomyślał, że mamy coś wspólnego z takim przeciętnym januszem lub grażyną, albo – nie daj unio – pobieramy „500+” i jest to źródło finansowania naszego wakacyjnego tripu.

Kolega gej pojechał na Podlasie, gdzie próbował się porozumiewać wyłącznie po angielsku. Wbrew oczekiwaniom nikt go nie zbił, nawet kiedy wymazał się po twarzy nutellą i udawał zagubioną osobę pigmentododatnią. Miejscowi napoili go bimbrem, dali prowiant na drogę i skierowali do pekaesu do Warszawy. Ale biletu już mu nie kupili, więc na szczęście jakiś element dyskryminujący wystąpił!

Wyobraźcie sobie, iż do tego kraju pierwszy raz od ponad stu lat przyleciał sęp płowy. Wyjaśniamy tym, którzy właśnie odebrali wyniki matur: to taki osoboptak, który żywi się padliną. Czy na pewno jest przypadkiem, iż sępoosoba pojawiła się w tym kraju akurat w momencie, kiedy umiera demokracja? Of kors nie jesteśmy przesądni, iż to zabobony i podkar-pacie, ale nasze wewnętrzne oko podpowiada nam, iż sęp w kraju jest zapowiedzią rychłych klęsk i katastrof, a przypomnijmy, iż już niedługo wybory samorządowe. Istnieje ryzyko, iż znów będziemy mieć do czynienia z niedemokratycznym rezultatem wyborów, więc nic dziwnego, iż sępoosoba postanowiła odwiedzić ten kraj i pewnie pozostanie w nim na dłużej. ©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

SCORPIONS

CRAZY WORLD TOUR 2018

29 lipca 2018 Atlas Arena Łódź

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl, EMPIK



Prestige 10
MJM

Radio
złoteprzeboje

wprost

RZECZY

GAZETA BANKOWA

Gitarzysta

Perkusista

pap

cgm.pl

onet

DEATH

4 GOLD

TOYA

Multikino

empik

PRESS

VIXON

ams

Zmiany, zmiany, zmiany. Według ohydnej i ekskluzywnej plotki wkrótce możemy się doczekać nowego szefa Najwyższej Izby Kontroli. Nie sama zmiana jest tu najważniejsza, bo od dawna wiadomo, że obecny szef Krzysiek Kwiatkowski ma przechłapanie. Ciekawsza jest informacja, kto mógłby go zastąpić. To nie kto inny jak Mariusz Błaszczak, mężczyzna pracujący, który żadnej pracy się nie boi. Jego zastępcą miałby zaś być Jakub Skiba.

Co w takim razie z MON, obecnym polem działań mężczyzny pracującego Mariusza Błaszczaka? Wedle tej samej ohydnej plotki nowym ministrem obrony miałby zostać Michał Dworczyk, obecnie szef kancelarii premiera Mateusza, wcześniej wiceminister obrony. Wśród wieści istnieje jednak rozbieżność co do terminu przeprowadzenia operacji. Optymiści mówią o najbliższych miesiącach, pesymiści – że po wyborach. Ale nie zaznaczają których.

Mało kto wie, że minister Dworczyk już teraz organizuje w rządzie takie specjalne centrum (i nie jest to centrum prof. Parucha, który ma własne centrum). Centrum Dworczyka zajmuje się rozmaitymi sprawami związanymi z obronnością i wojskowością, bo to interesuje go w życiu najbardziej. Kiedyś była to polityka wschodnia. Szczerze mówiąc, widzimy nawet w tej sekwencji pewien sens.

Tymczasem zmienił się szef sztabu generalnego – gen. Leszka Surawskiego zastąpił gen. Rajmund Andrzejczak. Ludzie słabo poinformowani twierdzą, że zmiany chciał minister Błaszczak, który musiał przekonywać do niej prezydenta Andrzeja Sebastiana. Ludzie dobrze poinformowani twierdzą, że było odwrotnie.

Potwierdzamy. W przygotowaniu gruntu pod wspólne oświadczenie premierów Polski i Izraela, czyli niespodziewany epilog chryi z nowe-



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

lizacją ustawy o IPN, czynny udział brały służby. A konkretnie Mosad i Agencja Wywiadu. I tutaj pewnego rodzaju zaskoczenie, bo Izraelczycy, którzy uważają swoją służbę za jedną z najszcześniejszych, jako pierwsi puścili farbę. Uspokajamy na wszelki wypadek: owszem, poczyniono pewne ustalenia, ale Polska nie zgodziła się na udostępnienie Izraelczykom ani cel w Kiejkutach, ani lotniska w Szymanach.

Skoro już mowa o służbach specjalnych. Spieszymy donieść, że słynna wielka reforma służb wyczekiwana od początku kadencji na razie trafiła do piachu. Kaczor Dyktator zdecydował bowiem, że otwieranie kolejnego frontu przed wyborczym trójskokiem może wyjść dobrej zmianie bokiem. Na razie więc nie wyjdzie w ogóle.

Potwierdzamy: o porozumieniu z USA i Izraelem w sprawie IPN wiedziało tak niewiele osób, gdyż trzeba było strzec się wroga. Nie, nie chodzi tylko o Rosjan, Niemców i Eine Totalopposition. Przede wszystkim o kolegów z rządu, którzy nadmiernie uwierzyli w retorykę wstawania z kolan i hasło: „Nie oddamy ani przecinka”. Churchill miał jednak rację – jest wróg, śmiertelny wróg, a na końcu kolega partyjny.

Wsprawę równoległej konferencji obu premierów zaangażowano także wojsko. Gdyby speclaptop do elektronicznych podpisów zawiódł na Łotwie prezydenta Andrzeja Sebastiana, w gotowości pozostawały dwa F-16. W sumie żałujemy, że ich nie wykorzystano. Zawsze to miło byłoby zobaczyć, jak ustawa, która przesłała cały proces legislacyjny w ekspresowym tempie, na koniec nabiera jeszcze prędkości 2175 km/godz.

Ciekawa sprawa – nie wszystkim w Zjednoczonej Prawicy podoba się pomysł zmian w ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego. Szczególnie uważnie przyglądają się im przedstawiciele stronnictw sojusznicznych. Niektórzy źli ludzie sugerują, że może nie chodzić o zastrzeżenia prawne, lecz polityczne. Nowa ordynacja premiuje dużych. A gdyby tak mali, którzy wchodzą w skład Zjednoczonej Prawicy, chcieli kiedyś wystawić sobie osobną listę, to co? To klops. Stąd przyglądanie się i myślenie.

Druga ciekawa sprawa – tak, słyszeliśmy, że Ministerstwo Sprawiedliwości też włączyło się w przyglądanie i myślenie. Znaczący nad zmianami w ordynacji. I chyba na razie nie jest szczęśliwe.

Nowa ordynacja premiuje dużych. A gdyby tak mali, którzy wchodzą w skład Zjednoczonej Prawicy, chcieli kiedyś wystawić sobie osobną listę, to co? To klops

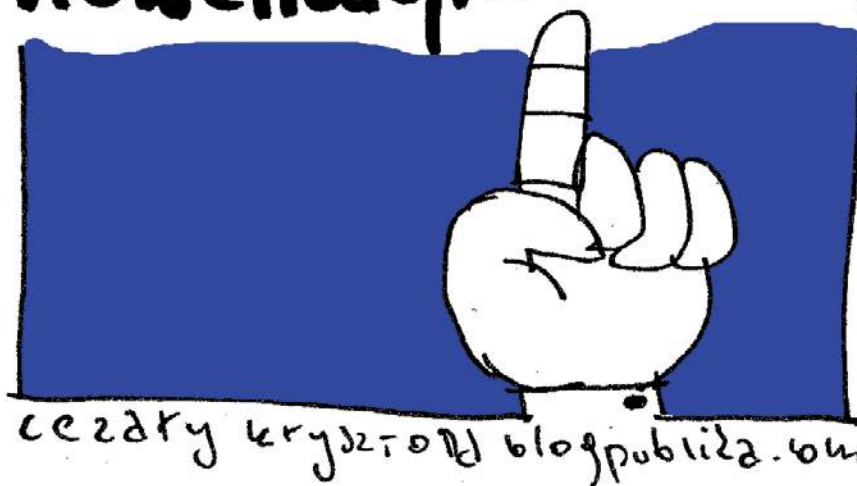
Jest lato, można więc znów oczekiwać spacerów przedstawicieli Eine Totalopposition po plażach i kurortach Bałtyku. Niestety, Grzegorz Ludojad Schetyna nie wydał na razie komendy „Naprzód!”. Wszystko przez wątpliwości. Młode wilczki już dawno rozłożyłyby gdzieś platformerskie miasteczko gier i zabaw, ale istnieje obawa, czy aby wstrętna PKW nie zakwalifikuje tego jako przedterminowej kampanii wyborczej. Łkamy. Przecież konstytucja sama się obroni.

Tymczasem zaczyna się sezon urlopowy. Powęszyliśmy trochę. I wiecie co? Udało nam się ustalić, że są w rządzie dobrej zmiany ministrowie, którzy jeszcze nigdy nie byli na urlopie za granicą. Czyż to nie ostateczny dowód na ksenofobiczność i nacjonalizm reżimu kaczystowskiego?

Co innego przedstawiciele Eine Totalopposition. To ludzie otwarci i europejscy, uwielbiający się kulturowo ubogacać i zdobywać nowe doświadczenia. Dlatego Borys Budka, wicek od sprawiedliwości minionego reżimu, zdążył już popracować nad opalenizną w Kalabrii.

Jak lato, to i sezon ogórkowy. Efektownie zaczął się nad Szprewą, gdzie przebywał jeden z panów G. Berlin został nawiedzony przez Magdalenę Ogórek. I tu

Nowelizacja ustawy o IPN była naszym wielkim sukcesem, ale dopiero nowelizacja nowelizacji...



Zawsze myśleliśmy, że europosłowie potrafią i bez tłumaczy porozumiewać się przynajmniej w języku basic lengtydź

ujawnimy tajemnicę, o której nie wiedzą nawet najbardziej wścibskie tabloidy. Otóż wbrew temu, co sugerują złośliwcy, Ogórek nie jest anorektyczką. Mało tego – uwielbia golonkę.

Apropos jedzenia. Stało się – ledwie puściliśmy tydzień temu parę, że jesienią będzie nowy społeczny programik rządu, a już ktoś w Ministerstwie Edukacji wypruł się pismakom, że chodzi o dokarmianie dzieciaków. No to i my przestajemy milczeć. Otóż jest problemik, bo programik wymaga przesunięcia pieniędzy z innych resorcików i programików. A czasu mało.

W każdym razie chętnie byśmy posłuchali w związku z tym jakieś szczerzej dyskusji, np. minister Anny z minister Elżbietą.

sesji pytań i odpowiedzi. Wszystko to w cieniu innej tragedii, dużo poważniejszej. Chodzi o strajk tłumaczy w europarlamentie. Bezczelni translatorzy uważają, że pracują zbyt wiele po godzinach i po nocy. Chcieliśmy zauważyć, że ostatnio Donald z Brukseli chciał przerwać o pierwszej w nocy szczyt migracyjny, żeby wszyscy mogli się wyspać. Niestety, uparta Frau Angela nakazała inaczej.

Apropos programiku – jest w nim propozycja wydłużenia przerwy obiadowej w szkołach do 40 minut. Tak się składa, że rok temu Kaśka Lubnauer i trzy inne Nowoczesne Kropki żądały od MEN, żeby wydłużyć przerwy do 30 minut. Sami widzicie, jak to działa. Gdyby Kaśka zażądała, żeby wydłużyć je do godziny, to minister Anka nakazałaby dwugodzinne. Zaczynamy żałować, że już nie chodzimy do szkoły.

Nie programik, lecz pogromik. Urządzili europejscy sojusznicy Eine Totalopposition premierowi Mateuszowi w Strasburgu podczas

Ofiarą strajku padli m.in. europosłowie z frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Ledwie zaczęli swe spotkanie, a już musieli kończyć, gdyż beczelni tłumacze oświadczyli, że pracują godzinę, i basta. Trochę nas zbiła z tropu ta wiadomość. Zawsze myśleliśmy, że europosłowie potrafią i bez tłumaczy porozumiewać się przynajmniej w języku basic lengtydź. Teraz nie dziwi nas, dlaczego swego czasu wiceprzewodniczącym europarlamentu zrobiono Richarda Henryka Czarneckiego. On potrafi zamówić kolację po francusku. ©©



Piotr Semka

Czy Jarosław Kaczyński wycofuje się powoli z polityki? Czy Mateusz Morawiecki to fachowiec na zlecenie, czy następca tronu? Kłopoty zdrowotne Kaczyńskiego wzmocniły falę plotek o wejściu premiera w buty lidera PiS

Samotne wystąpienie przed w większości krytycznymi posłami europarlamentu w Strasburgu. Odpowiadanie ze spokojem na agresywne pytania arogantów pokroju Guya Verhofstadta. To w obozie PiS już tradycyjna próba ognia. W styczniu 2016 r. przeszła ją z powodzeniem Beata Szydło. Teraz z nastrojami sali musiał się zmierzyć Mateusz Morawiecki.

Jeśli ktoś z frakcji socjalistów czy liberałów liczył, że Morawiecki będzie próbował ułagodzić salę, to się mylił. Premier tłumaczył, czym się różni doświadczenie takich krajów jak Polska od przeszłości Zachodu. „Czy wiedzą państwo, że sędziowie stanu wojennego skazywali moich kolegów z Solidarności na kary wieloletniego więzienia? Czy wiecie, że kilku z tych sędziów zasiada w Sądzie Najwyższym? Solidarność musi zawierać refleksję, że postkomunizm się nie zakończył” – mówił premier Morawiecki.

Tylko politycy opozycji wypominali po tym wystąpieniu, że Morawiecki miał załagodzić spory z Unią zamiast rzucać wyzwanie niechętniej sali w Strasburgu. W PiS powszechnie uznano, że „test strasburski” premier zdał z powodzeniem, że z tym europarlamentem dialog nie jest możliwy. Trzeba poczekać, aż wyłoni się nowy, a na razie wytrzymać presję.

SUKCES JAK SZTANDAR BOJOWY

„Polska umie wygrywać!” – ten tytuł bije w oczy na czołówce ostatniego numeru tygodnika „Sieci”. Na okładce premier Morawiecki pewnie patrzy w oczy czytelnikowi. „Mam sen o polskiej potęgze. Polska może być potęgą” – tym cytatem zaczyna się 10-stronicowy wywiad. Czytając rozmowę, można odnieść wrażenie, że tytuł wywiadu równie dobrze mógłby brzmieć: „Morawiecki umie wygrywać”. Premier z wyraźną satysfakcją przedstawia wspólną deklarację Polski i Izraela jako sukces,

Co się dzieje w głowie Kaczyńskiego



podobnie jak uzyskanie na szczycie Unii w Brukseli zamknięcia idei rozdziału kwot imigrantów.

Satysfakcję szefa rządu można zrozumieć. Spór z Izraelem odczuł jako kłopotliwy ciężar wrzucony na jego barki tuż po rekonstrukcji rządu. Na dodatek do ogólnego zamieszania wywołanego nie z jego winy dorzucił własny kiks na konferencji w Monachium. Morawiecki wyciągnął z tej porażki jeden wniosek. Osobiście skupił się na rozwiązaniu tego kryzysu dyplomatycznego, który fatalnie wpłynął na ważne dla polski relacje z Waszyngtonem. Otoczenie medialne premiera snuje opowieści o licznych rozmowach telefonicznych Morawieckiego z Benjaminem Netanjahu. Jedno trzeba przyznać. Sprawę załatwiono w absolutnej dyskrekcji z bonusem w postaci deklaracji historycznej Izraela, na którą będzie można się powoływać w przyszłości. Temu służy też mądra inicjatywa wydrukowania oświadczenia w formie płatnego ogłoszenia w największych zachodnich dziennikach na całym świecie (choć oczywiście błędem było drukowanie ich w izraelskich gazetach, krytycznych wobec Netanjahu). Samo to jednak, że drukowanie, uzgodnionej wydawałoby się, deklaracji premierów wywołuje kryzys, pokazuje, jak krucha i słaba jest pozycja zwolenników dialogu, zarówno w Warszawie, jak i w Jerozolimie.

Premier wniósł do polskiej polityki nowy styl myślenia o rozwiązywaniu sporów z zagranicą.

Ciekawie charakteryzuje go jeden z dziennikarzy ekonomicznych: „Morawiecki zastosował w polityce wyuczoną w biznesie zasadę »stop losses«, czyli »cięcia strat«. Jeśli jakiś czynnik nagle zaczyna generować straty dla firmy – trzeba się go pozbyć możliwie szybko za dającą się zaakceptować cenę, ale bez marnowania dalszego czasu i pieniędzy. Konflikt z Izraelem w oczach premiera generował wymierne straty, trzeba więc było go zakończyć, by nie szkodził ważniejszym planom”. Tyle tylko, że polityka z Izraelem to płochy rumak. W ostatnich dniach okazało się, jak bardzo deal Morawiecki–Netanjahu jest kontestowany z jednej strony przez izraelską opozycję, a z drugiej strony przez zwolenników tezy, że większość Polaków była bądź sprawcami, bądź obojętnymi świadkami Holokaustu. Premier Morawiecki ma więc okazję odkryć, że logika biznesowa „cięcia strat” nie musi się w pełni sprawdzać w skomplikowanych grach na styku dyplomacji i historycznej traumy.

Drugi sukces – odejście Unii od pomysłów na relokację imigrantów – Morawiecki osiągnął wraz z czeskim premierem Andrejem Babišem i przy życzliwej postawie Włoch, ale chętnie przedstawiał go jako swój osobisty sukces. Czy słusznie? Na pewno premier pokazał, że czuje się coraz pewniej na salonach unijnych. A sam szczyt pokazał, że wschodni „outsiderzy” nie są bez szans wobec Berlina i Paryża.

Oba sukcesy były niezmiernie potrzebne Morawieckiemu wobec fiaska nadziei na jakiś kompromis z Brukselą w kwestii reformy sądów. Tym bardziej że opozycja uznała, iż po zmianie w ustawie o IPN trzeba iść za ciosem i wymusić pozostanie sędzi Małgorzaty Gersdorf na stanowisku I prezesa SN.

Tutaj Morawiecki już nie mógł ustąpić. O ile wszczęcie sporu z Izraelem uważał za błąd – o tyle w kwestii reformy sądów wie, że Kaczyński jest niewzruszony, a i sam wykazuje osobiste zaangażowanie w idee wysłania na emeryturę sędziów SN z karierami z PRL.

Sytuację premiera utrudniało na dodatek uznanie przez media opozycyjne, że wygaszenie sporu z Jerozolimą to dowód na odsuwanie Kaczyńskiego przez Morawieckiego na dalszy plan.

Na stronie Gazeta.pl Jacek Gądek pisał: „Mateusz Morawiecki poległ w Monachium, ale powstał w Warszawie. Ten dzień zmieni PiS. Cała machina władzy zadziałała po myśli premiera Mateusza Morawieckiego i to bez jednego publicznego piśnięcia sprzeciwu w szeregach władzy. Bezradność [...] opozycji to jedynie marne tło dla chirurgicznej operacji przeprowadzanej przez Mateusza Morawieckiego. Jest ona pokazem sprawczości i skuteczności premiera – tak w polityce krajowej, jak i międzynarodowej. Pierwszym tak spektakularnym”.

STRATEG POTRZEBUJE PRAKTYKA

W jakim stopniu Morawiecki działał sam, a w jakim stopniu był realizatorem poleceń Jarosława Kaczyńskiego?

Wiele wskazuje na to, że jedno mogło doskonale uzupełniać się z drugim. Prezes PiS mógł być informowany o wszystkich etapach rozmów z Jerozolimą i zachowywać sobie prawo weta, jeśliby uznał warunki izraelskie za zbyt wygórowane.

A Morawiecki ze swej strony dbał, by rozmowy odbywały się dyskretnie i były na wysokim poziomie dyplomatycznego kunsztu.

Kaczyński pytany przez „Gazetę Polską”: „Czy pan uczestniczył w jakiś



FOT. PAVEŁ WISNIEWSKI/EAST NEWS

„sposób w negocjacjach?” odpowiedział: „Bezpośrednio oczywiście nie, ale byłem informowany na bieżąco o ich przebiegu i wypowiadałem swoje opinie i uwagi na temat tego procesu”. Prezes PiS zadbał, by osobiście zjawić się na komitecie politycznym partii, na którym zatwierdził błyskawiczny plan przyjęcia poprawki do ustawy o IPN przez Sejm.

Morawiecki dobrze zdał ten swoisty egzamin ze zdolności do działania z nadania Kaczyńskiego, ale z pozostawioną mu autonomią doboru ludzi i środków. I test ten w oczach Kaczyńskiego zdał. Wszystko wskazuje, że to nie koniec ambitnych zamiarów.

W wywiadzie dla „Gazety Polskiej” prezes PiS sugeruje, że rozwiązanie sporu z Izraelem było przygotowaniem pola do znacznie poważniejszej operacji dyplomatycznej.

„Gazeta Polska”: „Deklaracja premierów Polski i Izraela znosi niedogodność w naszych relacjach z Białym Domem?”

Kaczyński: „To bardzo ważna jej konsekwencja. [...] Rozmawiamy o takim wzmocnieniu bezpieczeństwa Rzeczypospolitej, jakiego nigdy nie było”.

Czy chodzi o stworzenie na terenie Polski stałych baz wojsk amerykańskich?

W jednym cytowany już Jacek Gądek ma rację. Po załatwieniu sporu z Izraelem Morawiecki „wraca silniejszy, z nową generałską gwiazdką na ramieniu i karniejszym wojskiem pod sobą”.

W tej sytuacji zawiedzione nadzieje prezesa PiS na ugodę z Brukselą nie muszą specjalnie obciążać premiera. W oczach Kaczyńskiego Morawiecki dał sobie radę na dwóch równie ważnych frontach. A w Strasburgu rzucił w twarz zachodnim adwersarzom, że nie potrzebuje ich łaski.

TWARZĄ W TWARZ

Jaki typ relacji łączy prezesa PiS z premierem? Mistrz i czeladnik? Zamawiający robotę i fachowiec do konkretnego zadania? Władca i kandydat na delfina?

„Morawiecki to ktoś, kto dość sprawnie zdobywa sobie coraz większą władzę, ale za zgodą Kaczyńskiego. Premier za każdym razem pyta o zgodę na wchłonięcie kolejnego odcinka wpływów. Ostatnio temu procesowi pomagała polityczna absencja prezesa” – wskazuje jeden z polityków bywający na Nowogrodzkiej.

W opowieściach polityków PiS krytycznych wobec szefa rządu Morawiecki to ktoś w rodzaju magika, kto umie zafascynować szefa PiS swymi projektami. „Ma

cierpliwość do długich rozmów z Kaczyńskim, w których umiejętnie sprzedaje swoje pomysły i ambicje” – mówi inny przedstawiciel obozu dobrej zmiany.

„Podobnych relacji nie było między Kaczyńskim a Beatą Szydło. Morawiecki potrafił zaimponować Kaczyńskiemu swoją erudycją i tak lubianą przez prezesa znajomością historii. To zadziało”.

Kolejny polityk wskazuje: „To trochę jak siła narracji Szeherazydy, która potrafiła opowiadać tak zajmująco sułtanowi opowieści, że ten odkładał co rusz moment, w którym chciał ze sprawną narratorką się rozstać”.

Wspomniana Beata Szydło to przykład, jak nastawienie prezesa wiele daje. Kaczyński nigdy nie przepadał za Szydło i teraz nie oponuje przeciw marginalizowaniu w nowym rządzie byłej premier. Jednak rzecz nie w samym talencie opowiadacza czy sympatiach. Kaczyński dobrze wie, czego chce w polityce, i szuka do swoich pomysłów odpowiedniego wykonawcy.

Napoleon pytał ponoć przed nominacjami, czy kandydat na generała ma szczęście. Kaczyński przygląda się poczynaniom premiera i też uważnie bada, czy Morawiecki umie zapracować na powodzenie. A ten bardzo się stara, by swemu szczęściu pomagać.

We wspomnianym już ostatnim wywiadzie dla tygodnika „Sieci” Morawiecki pytany o ocenę całej sprawy nowelizacji ustawy o IPN zdołał się na refleksję, która być może wyjaśnia znacznie więcej. „Szachowy mistrz świata Emanuel Lasker powiedział: »Jeśli wydaje ci się, że znalazłeś dobry ruch, znajdź jeszcze lepszy«”.

Jeśli uznać te słowa za przedstawienie spojrzenia premiera na funkcjonowanie rządu, to wyjaśnia to niedawną dymisję ministra rolnictwa Krzysztofa Jurgieła.

Ministra uznawano w mediach za nietykalnego członka starej gwardii PC. A jednak Morawiecki zdołał przekonać Kaczyńskiego, że zaprzeszczone zasługi nie równoważą obecnych słabości niemłodego już polityka. „Jeśli ktoś sądzi, że dla Kaczyńskiego stare zasługi to gwarancja nietykalności na ministerialnym stołku, to się myli. Jurgieła w partii wszyscy lubili, ale był on coraz bardziej zgrany” – mówi jeden z polityków.

„Kaczyński zawsze myśli w kategoriach sukcesu w najbliższych wyborach. A zdobyć większość w sejmikach przynajmniej połowy województw nie uda się bez zdobycia maksymalnie wielu głosów na wsi. Wobec rolników potrzebne jest jakieś nowe otwarcie. Do tego potrzeba nowego

ministra rolnictwa ze świeżymi pomysłami. I następca Jurgieła ma nimi zabłysnąć” – zauważa jeden z tuzów PiS.

Krążą plotki, że Morawiecki lada moment wymieni kolejne szwankujące trybiki w rządowej maszynie. Według „Wprost” Macieja Świrskiego, szefa Polskiej Fundacji Narodowej, mają zstąpić – reżyserka Anna Ferens i Robert Lubański, dotychczasowy rzecznik Trybunału Konstytucyjnego.

Jedno jest pewne – Morawiecki traktuje rząd jako mechanizm, w którym winno być jak najmniej słabych punktów.

Jednocześnie wie, że nie może posuwać się daleko, naruszać równowagę sił w gabinecie. Gdy po dymisji ministra Jurgieła pojawiły się plotki, że kolejni do odstrzału będą minister koordynator ds. służb specjalnych Mariusz Kamiński i minister energii Krzysztof Tchórzewski, Morawiecki natychmiast je zdementował. „Sugerowanie mi zamiaru zdymisjonowania ministra Mariusza Kamińskiego i Krzysztofa Tchórzewskiego [...] jest kosmicznym wymysłem” – mówił w wywiadzie dla „Sieci”.

PRZENIKANIE DWÓCH ŚWIATÓW

Rząd i partia. Dwa różne światy, choć mocno połączone. Przykładowo minister Joachim Brudziński jest faktycznym zastępcą Kaczyńskiego w PiS, a jednocześnie podlega premierowi jako szef MSW.

Premier musi na tym polu poruszać się bardzo ostrożnie. Po pierwsze – Morawiecki jest nowy. W partii dopiero od marca 2016 r. Po drugie dba, by posądzenia o chęć zdobycia władzy nad partią nie zepsuły relacji w rządzie. A „stary PiS” i ziołbryści obserwują poczynania premiera z dużą uwagą.

Morawiecki idzie więc najbezpieczniejszą drogą. Wie, że wygra, jeśli stanie się atrakcyjną dla wyborców twarzą zmian. To dlatego na serio wziął się do nauki występowania przed ludźmi i zdobywania ich sympatii. To dlatego objeżdża większe i mniejsze miasta w ramach akcji „Polska jest jedna” i testuje umiejętność kontaktu z tłumem. „Morawiecki jest coraz cieplej przyjmowany na spotkaniach. Mówi jeszcze za długo, niekiedy ściąga na siebie kpiny, że zbyt zasluchany jest w swój głos, ale ludzie go słuchają. Jeszcze niedawno wieszczono, że jako zimny bankier nie rozhušta żadnej sali. Dzisiaj na taką opinię zdecydowałoby się znacznie mniej osób” – mówi jeden z polityków PiS.

Jednego nikt nie przywidrywał wcześniej – pasji premiera do historycznych

dywagacji. Życzliwi mu politycy PiS starają się go tego oduczyć. Na próżno. Większych błędów jednak ostatnio nie robi.

Polityk „starego PiS” mówi: „TVN jeździ za premierem na każde jego spotkanie. Kręcą wszystko, longiem. Widać, że czyhają na jakąkolwiek wpadkę. I nic. Od miesięcy nie potrafią mu wyciągnąć żadnego niezręcznego zdania”.

Morawiecki zneutralizował zarzuty, że nie polepszył relacji z Brukselą – po wrocie partii po wiosennej zapaści do wysokich wyników w okolicy 40 proc.

Niekiedy jednak premier wraca do sposobu myślenia czystego pragmatyka utylitarne. Gdy w wywiadzie dla „Sieci” spytano go o problem mafii zajmujących się ściąganiem ludzi z Azji pod pozorem pracy terminowej – Morawiecki nagle zmienił się w człowieka rynku.

„Jeśli jest zapotrzebowanie na rynku pracy, którego Polacy nie mogą czy nie chcą wypełnić, to niepodjęcie rękawicy obniża nasz wzrost gospodarczy. [...] Na pewno system powinien być sprawny i szczelny.

PiS” z niemiłym zaskoczeniem obserwowano, jak szybko Morawieckiego „kupiła” choćby „Gazeta Polska”.

W tej sytuacji nieproporcjonalnie wiele emocji wywołują też w „starym PiS” zapowiedzi włączania na listy samorządowe działaczy z partii „Wolni i Solidarni”, czyli ze środowiska Kornela Morawieckiego. „Nadchodzi coś nowego, nie sposób stwierdzić, jak będzie wyglądać nowy PiS, ale nikt nie ma złudzeń, że Morawiecki go jakoś ucentruje i wywrze na partię swój wpływ” – mówi jeden z weteranów partii.

Beata Szydło nie ma już raczej ambicji być dla tych tendencji przeciwwagą. Od momentu kiedy przyznała, że „nie wyklucza startu do europarlamentu” – przestano widzieć w niej kogoś, kto ma ochotę do walki o sprawowanie rządu dusz w partii.

Osobną pozycję zachowują Joachim Brudziński i Mariusz Błaszczak. Jednak ton w rządzie nadają już ludzie premiera i postacie z kręgu Jarosława Gowina – tacy jak minister zdrowia Łukasz Szumowski, szefowa finansów Teresa

Już w momencie zaprzysięgania obecnego szefa rządu w grudniu 2017 r. prezydent kurtuazyjnie zwracał się do Morawieckiego: „Jest pan moim premierem”. Przez te ponad pół roku relacje obu polityków były bardzo poprawne.

Prezydent najwyraźniej musiał być wprowadzony w negocjacje z Izraelem, skoro błyskawicznie podpisał nowelizację ustawy o IPN. Ze swej strony Morawiecki stara się nie wypowiadać na temat kontrowersyjnej idei prezydenckiego referendum.

Słabą stroną tego aliansu są błędy popełniane od dłuższego czasu przez prezydenta. Czas pokaże, czy wspólne wybranie przez Andrzeja Dudę i prezes Małgorzatę Gersdorf sędziego Józefa Iwulskiego na „p.o. prezesa SN” – nie okaże się kolejnym błędem wlokącym się za głową państwa.

„Obaj politycy nie mają punktów spornych – wskazuje jeden z polityków zbliżonych do Nowogrodzkiej. Mogą wiele zyskać na cichej kooperacji. I wierzyć, że biologia jest po ich stronie”.

Na razie jednak medycyna wydaje się mieć szansę pomóc Jarosławowi Kaczyńskiemu na wyjście z dolegliwości kolana. Prezes PiS za parę miesięcy ma być znów w pełni sił. Jest u końca kuracji przeciw infekcji bakteryjnej i jeśli operacja kolana się uda – za miesiąc, dwa zniknie ból, z którym Kaczyński zmagał się w większym lub mniejszym stopniu od dwóch lat.

„Kaczyński będzie w najlepszej formie od paru lat – przypuszcza obserwator z okolic Nowogrodzkiej. – Można zakładać, że zechce trafić ze swoim powrotem na scenę w kluczowej fazie kampanii samorządowej i rozwiązać czarne legendy o nowotworze”. Tego powrotu do pełni sił oczekują z utęsknieniem wszyscy ci w PiS, którzy martwią się, by Morawiecki nie zaczął jeszcze pewniej rozdawać kart w partii.

„Co się dzieje w głowie Kaczyńskiego? – zastanawia się jeden z polityków rządzącej partii. – Myślę, że dla Jarka Morawiecki jest osobą bardzo dobrze rokującą, ale wciąż uważnie obserwowaną. Kaczyński myśli w kategorii całego czworoboju – wyborów samorządowych, elekcji do europarlamentu oraz Sejmu i wreszcie boju o prezydenturę. Do każdego z tych etapów szuka optymalnych wykonawców wyznaczonych zadań. Morawiecki dostał większe pole manewru, ale to nie znaczy, że prezes nie trzyma pewnie lejcy w tym zaprzęgu”.

Morawiecki to ktoś, kto dość sprawnie zdobywa sobie coraz większą władzę, ale za zgodą Kaczyńskiego. Premier za każdym razem pyta o zgodę na wchłonięcie kolejnego odcinka wpływów

Dziś jednak z każdego zakątka Polski płyną do mnie apele o ręce i głowy do pracy”.

Wraz z Morawieckim i jego dbałością o nadzór nad obsadą kadr w spółkach Skarbu Państwa pojawił się w PiS nowy, nieznan wcześniej czynnik przewagi. Pieniądze w dużym biznesie i promowanie ścieżek kariery dla młodych i ambitnych. Kiedy zacznie się to przekładać na pozycję Morawieckiego w partii? – pytają w „starym PiS”. Łączy się to z nieufnością do części mianowanych z polecenia premiera fachowców, często z przeszłością z epoki Tuska. Jednak tu na razie premier musi zderzać się z obszarami decyzji kontrolowanymi wciąż osobiście przez Kaczyńskiego. Prezes potrafi wykreować własnych faworytów, takich jak Daniel Obajtek, nowy prezes Orlenu.

Jednak partia się zmienia. Pierwsze, niełatwe rządy z lat 2005–2007 i „epoka smoleńska” w PiS zaczynają być z wolna coraz bardziej wspomnieniem. Po odejściu Antoniego Macierewicza w rządzie zostało już tylko dwóch „tożsamościowców” z początku wieku – Zbigniew Ziobro i Mariusz Kamiński. W „starym

Czerwińska, technologii Jadwiga Emilewicz, cyfryzacji Marek Zagórski, inwestycji Jerzy Kwieciński czy nowy minister rolnictwa Jan Ardanowski.

„Tacy ministrowie jak Adamczyk, Kowalczyk, Tchórzewski czy Zaleska mają prawo coraz częściej czuć się jak dinozaury, dla których wcześniej czy później zabraknie miejsca w wizjach wielkiego Mateusza” – żartuje jeden z polityków PiS, ale słychać w tym realne emocje pulsujące w partii.

Tyle że sarkania na wycinanie „starego PiS” niewiele znaczą, póki decyzje kadrowe premiera żyruje demiurg z Nowogrodzkiej.

ENTENTE CORDIALE Z PREZESEM W TLE

W końcu XIX w. Bismarck pytany, co wpłynie na kształt sojuszy w kolejnym stuleciu, odrzekł: „To, że po obu stronach Atlantyku żyją dwa potężne narody mówiące tym samym językiem”.

Kto wie, czy dla przyszłości obozu PiS równie ważne nie stanie się to, że premierem (rocznik 1968) i prezydentem (rocznik 1972) są dziś politycy z jednej generacji.



**Z mecenasem Piotrem Andrzejewskim,
członkiem Trybunału Stanu**
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Zmiany zachodzące obecnie w prawodawstwie świadczą o odrzuceniu tradycji demokratycznego państwa prawa” – powiedziała przed budynkiem Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Gersdorf.

PIOTR ANDRZEJEWSKI: Twierdzenie to jest nieuprawnione i stanowi wyraz wzięcia udziału przez Małgorzatę Gersdorf w politycznej walce z działalnością obozu dobrej zmiany. Nie podzielam tego poglądu.

poważ przegrywamy większość spraw w Strasburgu...

Tylko czy dotychczas wprowadzona reforma sądownictwa rzeczywiście rozwiąże ten problem?

Oczekujemy zmian w Kodeksie postępowania karnego oraz w Kodeksie postępowania cywilnego, nakazujących rozpoznanie spraw w określonym terminie. Konieczne jest zdyscyplinowanie

Nie ma i nie

Czy pańskim zdaniem wtorkowe spotkanie prezes Gersdorf z prezydentem przyniosło jakąkolwiek zmianę?

Nie sądzę.

„Jesteśmy świadkami kroczącej zmiany ustroju Polski” – stwierdził Michał Laskowski, rzecznik Sądu Najwyższego, w rozmowie z Onetem. Jak ocenia pan tę wypowiedź?

Jesteśmy na drodze do realizacji art. 45 ustawy zasadniczej, który głosi, że sędziowie nie są żadną nadzwyczajną kastą, nie są szafarzami sprawiedliwości, lecz sługami podsądnych. Przeciwnicy obecnej władzy, zamiast podczas antyrządowych demonstracji wymachiwać konstytucją, powinni ją po prostu przeczytać. Wówczas dowiedzieliby się, że zgodnie z jej zapisami każdy z nas ma prawo do sprawiedliwego, jawnego rozpatrzenia swojej sprawy bez nieuzasadnionej zwłoki przez właściwy, niezależny sąd i bezstronnych, niezawisłych sędziów. Przez przewlekłość postę-

wanie sędziów w tym zakresie. Warto przy tym postawić pytanie: Czy uczestnik manifestacji politycznej powinien sprawować wymiar sprawiedliwości (władzę sądowniczą) jako bezstronny i niezawisły? Może się zdarzyć, że jego podsądnym będzie ten, przeciwko któremu ta manifestacja się odbywa. Gdyby moją sprawę miał rozstrzygać taki sędzia, złożyłbym wniosek o wyłączenie go z procesu, ponieważ nie daję gwarancji ani niezawisłości, ani bezstronności w wymiarze sprawiedliwości. Sędziowie mogą wyrażać opinie, nie mogą jednak brać aktywnego udziału w rozgrywkach politycznych.

Wróćmy do Sądu Najwyższego. Małgorzata Gersdorf nie złożyła wniosku do prezydenta o pozostanie na stanowisku I prezes SN. „Konstytucja gwarantuje mi to stanowisko, bardzo zaszczytne, na sześć lat i nie widzę powodu, żebym miała zgłaszać się do władzy wykonawczej z prośbą, to w ogóle nie wchodzi w grę” – stwierdziła.

Czy kierowca może nie widzieć powodu, aby przestrzegać obowiązujących przepisów drogowych, powołując się na wolności przyznane mu w konstytucji?

Wielu prawników niechętnych PiS twierdzi, że konstytucja gwarantuje Małgorzacie Gersdorf dookończenie sześciolletniej kadencji, co by oznaczało, że niezależnie od nowych ustaw powinna pozostać na stanowisku do 2020 r.

FOT. PIOTR BLANKIEWICZ/STYX

Kadencyjność dotyczy organu władzy państwowej, ale każdy organ ma podwójny charakter: strukturalny i personalny. Kadencyjność organu jako struktury jest regulowana przez konstytucję, a kadencyjność konkretnej osoby, zajmującej dane stanowisko, jest zależna od przewidzianej przez prawo zdolności faktycznej i prawnej do sprawowania danego urzędu. Ustawa ustanowiła regułę powszechnie obowiązującą, że osoby sprawujące funkcję we władzach sądowniczych przechodzą w stan spoczynku po ukończeniu 65. roku życia. Prezes Małgorzata Gersdorf nie jest wyłączona

Założenie, zgodnie z którym ten, kto mianuje sędziego, dyktuje mu charakter rozstrzygnięć, to pogląd dla sędziego obraźliwy i nieuprawniony.

Uważa pan, że Julia Przyłębska jest od PiS niezależna, że jest bardziej apolityczną prezes TK niż jej poprzednik Andrzej Rzepliński?

Julię Przyłębską obdarzył władzą sędziowską prezydent na wniosek poprzedniego składu Krajowej Rady Sądownictwa. Była w zakresie spełniania przesłanki bezstronności i niezawisłości, a także niezależności jako warunku sprawowania wymiaru sprawiedliwości

władzy państwowej grozi do 10 lat więzienia.

„Sędziowie, którzy rozpoczęli służbę w Sądzie Najwyższym przed dniem wejścia w życie ustawy z dnia 8 grudnia 2017 r. o Sądzie Najwyższym, powinni pełnić tę służbę do ukończenia 70. roku życia, bez spełnienia jakichkolwiek dodatkowych warunków” – czytamy w uchwale podjętej przez SN.

Teza ta nie odnosi się do aktualnego systemu obowiązującego prawa. Sędziowie jako nieusuwalni są z zachowaniem wszelkich praw poza aktywnym sprawowaniem wymiaru sprawiedliwości przesunięci w stan spoczynku. Dożywotnio

będzie dwuwładzy

ustawowo z tej reguły, przyjętej zgodnie z konstytucyjnymi uprawnieniami władzy ustawodawczej. Problemem jest fakt, iż pani Gersdorf głosi pogląd, że konstytucję należy stosować bezpośrednio. Pogląd ten dotyczy sytuacji, kiedy konstytucja nie odsyła do regulacji ustawowej. Sędziowie są obowiązani stosować ustawę i konstytucję jako wzajem dopełniający się zakres obowiązującego ich prawa. Zasada komplementarności, zupełności, niesprzeczności systemu prawa, która wiąże każdego sędziego w ocenie rzeczywistości i sprawowaniu wymiaru sprawiedliwości, nakazuje najpierw stosować się do ustaw. Jeżeli zaś sędzia – w tym prezes SN – ma wątpliwości co do konstytucyjności danej ustawy, to powinien w toku rozpoznania sprawy zwrócić się w ramach skargi konstytucyjnej do Trybunału Konstytucyjnego. TK jest jedynym organem władnym rozstrzygać zgodność z ustawą zasadniczą i wygasiać obowiązywanie uznanej za sprzeczną z konstytucją normy prawa. Żaden sędzia spoza TK nie ma prawa do samodzielnego rozstrzygania zgodności ustawy z konstytucją, zwłaszcza w zakresie dotyczącym jego uprawnień.

Na ten argument z ust wielu autorytetów prawniczych zapewne usłyszałby pan odpowiedź: „Ale TK w obecnym składzie jest upolityczniony, całkowicie zależny od PiS, więc składanie tam jakichkolwiek wniosków nie ma sensu”.

obdarzana zaufaniem w innym układzie politycznym. Nie ma powodu, żeby twierdzić, że jest inaczej.

Jeśli chodzi o spór wokół SN, to czy grozi nam dwuwładza sądownicza? Czy realnym zagrożeniem jest postępujący rozkład państwa prawa?

Nie ma i nie będzie żadnej dwuwładzy. Cenię odmienne poglądy, ale najbardziej cenię przestrzeganie prawa. A sędziowie SN, którzy nie chcą się podporządkować ustawie, to prawo łamią. To nie jest rozkład systemu sądownictwa, tylko problem niektórych sędziów z przestrzeganiem prawa.

pobierają sędziowskie uposażenie, tyle że nie będą sprawować swojej funkcji.

Komisja Europejska wszczęła postępowanie w sprawie Polski w związku z ustawą o SN. Zdaniem KE to uchybienie zobowiązaniom państwa członkowskiego, ponieważ brak jest kryteriów, którymi ma się kierować prezydent, podejmując decyzję o zgodzie na przedłużenie zajmowania stanowiska sędziego SN, a ponadto nie ma możliwości przeprowadzenia kontroli sądowej takiej decyzji. KE twierdzi, że to narusza zasadę niezależności sądownictwa. Tym samym, według unijnej instytucji, Polska łamie swoje zobowiązania

Jeżeli zaś sędzia – w tym prezes SN – ma wątpliwości co do konstytucyjności danej ustawy, to powinien w toku rozpoznania sprawy zwrócić się w ramach skargi konstytucyjnej do Trybunału Konstytucyjnego

Dobrze, ale ci sędziowie mogą np. okupować budynek sądu. I co wtedy?

Jeśli zablokują sąd tak, jak postawie totalnej opozycji zablokowali salę sejmową, to trzeba będzie przenieść sąd do innego budynku, a okupujących obciążyć kosztami i postawić przed odpowiedzialnością dyscyplinarną i karną. Za przeciwdziałanie przemocą funkcjonowaniu naczelnych organów

wynikające z określonych przepisów Traktatu o UE i Karty praw podstawowych UE.

KE obecnie zaprzestała kontynuacji postępowania na podstawie art. 7 traktatu lizbońskiego, licząc się z jego nieskutecznością. Postępowanie to dotyczy zarzutu aksjologicznego i nie może stanowić podstawy do dyktowania konkretnych zmian władzy ustawodawczej państwa członkowskiego. Komisja UE usiłowała odwołać

■ się do konstatacji „wyraźnego ryzyka poważnego naruszenia przez państwa członkowskie wartości Unii Europejskiej” (art. 2 traktatu lizbońskiego), jak poszanowanie godności osoby ludzkiej, wolność, demokracja, równość, państwo prawne, poszanowanie praw człowieka. Wartości te są wspólne państwom członkowskim w społeczeństwie opartym na pluralizmie, tolerancji, sprawiedliwości oraz równości kobiet i mężczyzn. Natomiast stwierdzenie takiego naruszenia nie nastąpiło, gdyż nie ma w tym zakresie jednomyślności w Radzie Europejskiej.

Musimy się jednak liczyć z prawem unijnym.

UE niestety próbuje ograniczyć suwerenność państw członkowskich. W traktacie lizbońskim została odwrócona zasada pomocniczości. Nasz system prawa mówi, że w miarę możliwości kompetencje powinny być przekazywane w dół, od władzy centralnej w stronę samorządów. Unia natomiast opiera się na odwrotnej zasadzie – jeżeli Bruksela uzna, że dane cele lepiej realizuje centrala, to można ich realizację odebrać państwom członkowskim, nawet jeżeli są to wyłączne kompetencje państwa członkowskiego, takie jak określenie sposobu wykonywania wymiaru sprawiedli-

misji źródeł prawa, komisji konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego RP, zgodnie z którym Polska może się zrzec niektórych – czytaj: wszystkich – funkcji naczelnich organów państwowych na rzecz organów międzynarodowych. Ten przepis narusza polską suwerenność bez ograniczeń i moim zdaniem w pytaniach referendalnych pana prezydenta oraz Senatu powinniśmy zapytać o celowość jego utrzymania przy korekcie bądź zmianie konstytucji.

„Powiem od razu, że jeśli chodzi o prawo, to ja mogę doczytać, ale ja wiem, co jest dobre, a co złe. Mnie nauczyły tego dzieci. Pracuję w takiej grupie trzylatków i to jest dopiero nauka życia” – tak swoją kandydaturę na ławnika Sądu Najwyższego uzasadniała Bogusława Rutkowska. Skutecznie – została przyjęta. W ocenie części komentatorów przesłuchanie kandydatów było kuriozalne. Po co nam ławnicy, którzy nie mają pojęcia o prawie?

Zadaniem sądu jest ferowanie rozstrzygnięć, które w ramach systemu prawnego powinny jednocześnie realizować zasadę słuszności i sprawiedliwości, w oparciu o sumienie. Tego czysto ludzkiego podejścia często brakuje sędziom zawodowym. Do dziś aktualna jest rzymska zasada,

Czy nie wypadałoby jednak, żeby ławnik wykazywał się elementarną znajomością prawa?

Znawcą prawa ma być sędzia zawodowy. Ławnicy mają być ludźmi uczciwymi i rzetelnymi. Prawo stanowione winno być stosowane zgodnie z prawami naturalnymi, wynikającymi z Dekalogu, etyki zawodowej i sumienia. Sędzia zawodowy ma zawsze przewagę w znajomości prawa nad ławnikiem, który musi się stosowanego prawa uczyć od sędziego zawodowego. Wzorem dla nas jest Konstytucja 3 maja z 1791 r., która zakładała wybór sędziów ziemskich pierwszej instancji. Warto byłoby też, śladem amerykańskim, wprowadzić możliwość odwołania sędziego ze sprawowanej funkcji. Dzisiaj mamy bowiem do czynienia z totalnym brakiem odpowiedzialności tego środowiska. Dobrze, że od 4 lipca sędziowie mogą być oceniani już nie przez – z reguły wyrozumiały dla „swoich” i kierujący się zasadą solidarności zawodowej – układ wewnętrzny, ale przez Izbę Dyscyplinarną.

Wracając do ławników... Czy jesteście jako społeczeństwo gotowi na demokratyzację wymiaru sprawiedliwości?

W stulecie niepodległości możemy się poszczycić faktem, że po 123 latach niewoli dokonaliśmy wzorcowej kodyfikacji różnych systemów prawnych, biorąc to, co najlepsze, z systemów trzech państw zaborczych.

W międzyczasie była PRL...

Tak, ale pewne schematy prawa przedwojennego dalej funkcjonowały. Paradoksalnie, w PRL, w ramach odziedziczonego po II RP systemu, np. był teoretycznie szeroki zakres środków prawa do obrony w procesie, zwłaszcza w postępowaniu dowodowym. Na tym tle III RP wypada błado.

A czy dobrym rozwiązaniem jest skarga nadzwyczajna? Pojawiają się zarzuty, że może ona pogłębić problem, określany często jako największa bolączka wymiaru sprawiedliwości, czyli przewlekłość postępowań.

Tak twierdzą tylko ci, którzy krytykują wszystko, co wymyśli obóz dobrej zmiany. Skarga nadzwyczajna to nic nowego – to w przybliżeniu powrót do skutecznego rozwiązania, którym była rewizja nadzwyczajna. Przecież to nie jest tak, że każdy może ją złożyć. W ramach politycznego kompromisu z Komisją UE ograniczono liczbę podmiotów mających taką możliwość do dwóch – Rzecznika Praw Obywatelskich i prokuratury. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Prawo stanowione winno być stosowane zgodnie z prawami naturalnymi, wynikającymi z Dekalogu, etyki zawodowej i sumienia

wości czy zasady bezpieczeństwa państwa (problem relokacji uchodźców).

Czy KE w toku tego skróconego postępowania może zwrócić się ze skargą na nieprzestrzeganie praworządności przez Polskę do Trybunału Sprawiedliwości UE i o zastosowanie tymczasowych środków zabezpieczających, zamrażających obsadę wakatów SN?

Nie. Wynegocjowany przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego dodatkowy protokół w sprawie stosowania Karty praw podstawowych UE do Polski i Zjednoczonego Królestwa – tzw. protokół polsko-brytyjski wyłącza kompetencje w tym zakresie Trybunału Sprawiedliwości UE.

Czy jednak prawo unijne jest nadrzędne nad prawem polskim?

Konstytucja zawiera przepis, dodany w ostatniej chwili, z pominięciem podko-

która głosi: „Dajemy sądowi fakty, a on nam daje prawo”. Czyli na końcu i tak każda sprawa rozstrzygana jest indywidualnie. A do tego potrzebna jest nie tylko znajomość prawa, lecz także elementarne, konkretne poczucie sprawiedliwości. W procesie Grudnia '70, który trwał latami, to właśnie ławnicy reprezentowali poczucie sprawiedliwości. Sędziowie zawodowi ich przegłosowali, zgodnie ze swoją interpretacją prawa, uznając, że masakra na Wybrzeżu to była bójka z użyciem broni ze skutkiem śmiertelnym. Także dzisiaj sędziowie zawodowi, w swoim poczuciu nieomyślności i przekonaniu, że są poza kontrolą swojego środowiska, często nadużywają podstawowych zasad prawnych. Ławnicy są od tego, by korygować ewentualną bezdusność i schematyzm myślenia sędziego i nadać mu wymiar humanitarny.

The background of the advertisement is a photograph of a modern, white building with a large, rectangular infinity pool. The pool's edge is perfectly aligned with the horizon, creating a seamless transition between the water and the sea. The building's architecture is minimalist, with clean lines and large glass panels. The sky is a deep blue with some light clouds. The overall mood is serene and luxurious.

Radisson **BLU**
RESORT, ŚWINOUJŚCIE

#BluView
NA MORZE

REZERWUJ

+48 91 40 40 700, reservations.swinoujscie@radissonblu.com

HOTELS DESIGNED TO SAY YES!

Wielkie brukselskie tłuczenie talerzy

FOTO: JACQUES PETRUSSA / PAP



Rafał A. Ziemkiewicz

Debata, która miała być poświęcona przyszłości UE, była w rzeczywistości furiackim krzykiem europejskiej elity: nie pasujecie do nas! Czym Polska tak rozwściecza Europę?

Debata, formalnie poświęcona przyszłości Unii Europejskiej i polskim postulatami w tym względzie, w istocie będąca kolejnym odcinkiem trwającego od dwóch lat serialu strofowania i dyscyplinowania Polski, nasunęła mi nieodparcie seksistowskie skojarzenie. Europa, w osobach przemawiających posłów i posłanek, zachowała się wobec nas jak rozgoryczona żona, której „się zebrało” i w furii zasypuje małżonka lawiną pretensji o wszystko,

wyciąga jakieś zadawnione pretensje sprzed lat, jakieś głupstwa, plotki czy zupełnie bezpodstawne urojenia, i wykrzykuje to beładnie, nie słuchając żadnych wyjaśnień. Jednego tylko nie powie: o co jej chodzi naprawdę.

A naprawdę przyczynę jej wściekłości da się streścić w jednym zdaniu: „Bo ty mnie już nie kochasz!”. Przy czym to zdanie w istocie rzeczy znaczy jeszcze co innego: „Bo ty już nie jesteś taki, jakiego cię brałam”.

Nie chodzi, proszę państwa, o Trybunał, o konstytucję, wiek emerytalny – to wszystko preteksty. Gdyby Sejm nie „skonwalidował” piątki wybranych na lewo sędziów z poprzedniej kadencji albo prezydent zawetował skrócenie kadencji prezes Gersdorf, europarlament z podpuszczenia „totalnej opozycji” młóciłby w ubiegłym tygodniu „złamanie konstytucji” polegające na uniewinnieniu Mariusza Kamińskiego albo zmianie dyrektora w stadninie koni. I tak samo słyszelibyśmy od europosłów, że polski rząd aresztował Frasyniuka za noszenie białej róży, że

represjonuje i zamyka do więzień ludzi, którym się obecna władza nie podoba, że zamyka antyrządowe media i temu podobne.

Chodzi o to, że nie jesteśmy tacy, jakimi się jeszcze niedawno dominujące w Unii lewicy wydawali: nie jesteśmy „liderem transformacji” i modelowym wzorcem „modernizacji przez kserokopiarę”, jak celnie podsumował starania ostatniego ćwierćwiecza prof. Legutko.

@

Istotną, prawdziwą pretensję wścieklej na nas Europy wyraziła deputowana jednej z grup skrajnej lewicy: „Nie słuchacie Komisji Weneckiej, nie słuchacie komisji europejskiej, nie słuchacie nas”.

Jeszcze niedawno wydawało się, że słuchamy. Potakiwaliśmy przemianom cywilizacyjnym dokonującym się na zachodzie kontynentu z neoficką gorliwością, zachwycaliśmy się nimi, a poklepywanie po plecach przyjmowaliśmy z zachwytem jako największy możliwy zaszczyt. Może nie do końca tak było, ale zachodnie kręgi

opiniotwórcze tak właśnie to widziały. Nie miały przecież – i nadal nie mają, jak dowodzą choćby cytowane wyżej oskarżenia o rzekome represje – wiedzy o Polsce innej, niż przedstawiają im przedstawiciele elit III RP, dziś odrzuconych i zapiekłych w „totalnej” opozycyjności.

A te zapewniały je, że wszystko idzie dokładnie według wskazań. Jest jakaś – jak to ujął był Władysław Bartoszewski, przemawiając jako minister spraw zagranicznych RP – „hołota ciemna, co na wsi zapadłej siedzi i świata nie zna”, są stare baby w moherowych beretach, zawodzące po kościołach i nabijające kabzę demonicznemu o. Rydzykowi, ale ton nadają „młodzi, wykształceni i z dużych miast”, perfekcyjnie odklonowani z DNA „Guardiana” i „Le Monde’a”. Rządzi wprawdzie prawicowa Platforma Obywatelska, ale to prawica zgodna z normami unijnymi, jak brytyjscy konserwatyści – atrapa, uspokajająca pozorami tradycjonalizmu wymierającego „jak dinozaury” Polaka-katolika, żeby oszczędzić mu przedśmiertnych konwulsji.

Na usprawiedliwienie elit III RP można zapisać, że one same w swoją bajkę wierzyły – i im także świat zawalił się dwa lata temu na głowy. Wściekłość, z jaką miały się po europarlamencie Róża Thun czy Julia Pitera, ma podobne przyczyny jak wściekłość Guya Verhofstadta i jego zastępczyni. W zachodnich salonach krzyki totalnej opozycji i jej błagania o sankcje podtrzymują jednak nadzieje, że to, co się stało, nie stało się. Że to tylko jakieś chwilowe tąpnięcie, po którym Polska wróci do roli – tu już nasuwa mi się skojarzenie nie tylko seksistowskie, ale wręcz rasistowskie – „dobrego czarnucha”, posłusznego, znajcego swoje miejsce i pilnego w spełnianiu oczekiwań. Mateusz Morawiecki trafił rozwścieczoną Europę, miotającą w niego oskarżeniami niczym talerzami, w najczulszy punkt, mówiąc, że pomimo tych wszystkich krzyków, oskarżeń, Komisji Weneckiej, art. 7, wniosku do Trybunału i tak dalej, poparcie dla PiS jest wciąż znacznie większe niż dla opozycji.

Żeby długo się nad tym nie rozwodzić – to nie była żadna debata nad polską praworządnością, o polskiej wizji przyszłości Europy nie wspominając. To był wielki, furiacki krzyk europejskiej elity: nie pasujecie do nas!

@

No fakt, nie pasujemy. Chodźmy do kościoła, nosimy patriotyczne emblematy, nie chcemy się „ubogacić” w kierunku

multi-kulti ani uznać konkubinatów, z jednopłciowymi włącznie, za małżeństwa.

Rzecz w tym, że myśmy się przecież na to nie umawiali. Przeciwnie. W czasie negocjacji akcesyjnych i przy podpisywaniu traktatu obowiązywała wersja dokładnie odwrotna: Wspólnota nie będzie się wtrącać w regulacje obyczajowe nowych krajów członkowskich. Obiecywano nam wyraźnie, że Unia chce mieć w nas partnera handlowego i (choć tego już może nie eksponowano) rezerwuuar stosunkowo taniej, ale dobrze wykwalifikowanej siły roboczej, i za to płaci otwarciem swych rynków i funduszami strukturalnymi – wychowywać nas nie zamierza. Nie tylko obiecywano, było to nawet czymś w rodzaju spisanej intercyzy – którą dziś Komisja Europejska, przekraczając wobec Polski traktatowe kompetencje, uznaje milcząco za niebyłą.

Ludzie mądrzy życiowym doświadczeniem pokoleń dawno już zdefiniowali główny problem cyklicznie pojawiający się u młodych małżonków: ona wierzy, że on się zmieni, a on wierzy, że ona zawsze pozostanie taka sama – i oboje są potem rozczarowani. Jeśli ktoś ma mi za złe, że nadmierne brnę tu w małżeńską metaforę, niech się zastanowi, jak dobrze ta formuła opisuje emocjonalne napięcie między Polską a Europą. My wchodziliśmy do Unii przekonani, że Zachód jest i pozostanie tym Zachodem z naszych peerelowskich snów, ostoją normalności, wolności, rajem – do głowy nam nie przyszło, że może ulec takiej degeneracji i tak daleko zabrnąć w realizowaniu, wydawało nam się, raz na zawsze skompromitowanych nauk Karola Marksa. Unia natomiast brała nas w przekonaniu, że przeffastryguje nas i przerobi na swoją modłę jak Irlandię.

Co więcej, obie strony nadal w siebie tę nadzieję hodują, choć dziś wydaje się ona mocno poobijana. Zachód wierzy, że naciski, sankcje i propagandowa chłosta obudzi w Polsce ducha michnikowszczyzny i na powrót uczyni z niej kraj, dla którego reprezentatywna będzie Róża Thun, a nie Beata Szydło. Polska krzepi się kolejnymi zwycięstwami eurosceptyków, patrzy z nadzieją na Austrię (no, może po antypolskich wypowiedziach Kurza nieco mniej), na Włochy, spodziewa się, że te tak bardzo nadskakujące elity Unii w następnych wyborach wylecą w powietrze.

Jak będzie – paźwiom, uwidzimy. Małżeńska metafora zawodzi o tyle, że przecież nie ma jednej Polski, tylko dwie,

ta „pisowska” i „antypisowska”, i tak samo nie ma jednej Europy. Więc któraś ze stron może się oczekiwanej zmiany doczekać.

Co jednak, jeżeli się okaże, że on się nie zmieni, a ona nigdy już nie będzie taka jak kiedyś?

@

Wyjścia są dwa. Metafora każe je nazywać – rozwód albo separacja.

W rozwód, jak na razie, nikt nie wierzy i nie wydaje się, żeby ktoś go na poważnie chciał. Jednak świat zmienia się szybko, można by wskazać wiele rzeczy, które się stały w zaledwie kilka lat po tym, jak wydawały się zupełnie niemożliwe. Bez wątpienia, wylewając na Polskę swoje żale i piętrząc absurdalne dla Polaka, kłamliwe oskarżenia, oparte na donosach rodzimej targowicy, europosłowie robią wiele dla oswojenia Polaków z myślą, że może jednak przyjąć taki moment, taka sytuacja, kiedy polexit będzie mniejszym złem niż podążanie tą samą drogą co reszta Unii.

Separacja natomiast ubierana jest w różne projekty. Na Zachodzie miałyby być „Europą dwóch prędkości”. To oczywiście oparte jest na wierze, że ta „pierwsza” prędkość, osobna strefa euro, odcięta od obciążenia, jakie dla niej stanowią mają nowe kraje członkowskie, szybko okazałaby się tak atrakcyjna i tak by zaimponowała, że skruszony partner powróciłby z płaczem i na kolanach.

My wolimy wizję, którą przedstawił Mateusz Morawiecki. Żeby przemyśleć, co nas łączy – gospodarka, w największym skrócie – i na tym się skupić, próbując zapomnieć o tym, co było złego.

Na razie trzeba poprzestać na zarysowaniu tych wizji, bo obie strony obstają przy swoim. Europa wierzy, że wywierana na Polskę presja, nawet jeśli nie ma szans na to, by nas jakoś ukarać, to skłoni polskiego wyborcę, by na jesieni i w przyszłym roku stopniowo odsunąć PiS od władzy i wrócić na drogę „kserokopiarki”. My wierzymy, że kolejne kraje będą iść drogą Włoch i ostatecznie to nam przyniesie Zachód rację, tak jak w sprawie relokacji imigrantów.

Talerze i wzajemne pretensje poleciały, obie strony wykrzyczały, co chciały, i powiedziały sobie – zobaczysz! Nie, to ty zobaczysz! No, ale obie przecież mieszkają wciąż pod wspólnym dachem i nieprędko się to zmieni, więc trzeba posprzątać i zająć się wspólnymi sprawami.



Marcin Makowski

Porozumienie między Polską a Izraelem w związku z kryzysem dyplomatycznym po nowelizacji ustawy o IPN prowadzone było w ścisłej tajemnicy. Kto był zaangażowany w rozmowy i czy to naprawdę koniec polsko-izraelskiego impasu?

Rozmawiałem niedawno z ważnym człowiekiem z Nowogrodzkiej. Stwierdził z zaskoczeniem, że to pierwszy raz od 1989 r., gdy w Polsce udało się podobną operację utrzymać w sekrecie – powiedział mi jeden z urzędników obecnego rządu, kiedy zapytałem go o kulisy negocjacji premierów Morawieckiego i Netanjahu, zakończonych wycofaniem się z kontrowersyjnych zapisów nowelizacji ustawy o IPN oraz wydaniem wspólnego oświadczenia.

Po ponad tygodniu od tych wydarzeń aura tajemniczości – pomimo usilnych zabiegów KPRM – zaczęła opadać. Dzisiaj wiemy już znacznie więcej, m.in. kto z kim negocjował treść dokumentu, z czyjej inspiracji i przy jakich kontrowersjach.

FAZA PREZYDENCKA, FAZA PREMIEROWSKA

Z informacji „Do Rzeczy” wynika, że cały proces negocjacji wokół kryzysu dyplomatycznego związanego z ustawą o IPN podzielony był przynajmniej na dwie fazy rozmów: wstępną, prowadzoną przez Pałac Prezydencki, oraz zaawansowaną, znajdującą się pod bezpośrednią kuratelą Kancelarii Prezesa Rady Ministrów od początku marca. W pierwszym etapie, tj. po podpisaniu przez prezydenta Andrzeja Dudę ustawy i skierowaniu jej do Trybunału Konstytucyjnego, główny ciężar rozmów z USA i Izraelem wzięł na siebie minister Krzysztof Szczerski, który miał wypracować zgrab deklaracji, przekazanej następnie do zaufanych współpracowników Mateusza Morawieckiego.

Kiedy zadaję Szczerskiemu pytanie o zaangażowanie obozu prezydenckiego oraz jego osobistą rolę w całym procesie, nie chce komentować szczegółów. – Prezydent był w tej sprawie w stałym

Operacja izraelska



FOT. MICHAŁ DYLIK / PEPOL

kontakcie z premierem Morawieckim, a ja z ministrem Dworczykiem. Również po to, aby nowelizacja odbyła się zgodnie z procedurami formalnymi. Decyzja prezydenta o podpisaniu ustawy poprzedzona została wymaganymi dokumentami z biura prawnego kancelarii, przekazanie treści ustawy do podpisu zostało odpowiednio zabezpieczone. Potrzebna była sprawność aparatu państwa, a mówimy tu o przygotowaniach wymagających kilkudniowego wyprzedzenia odnośnie do dyspozycji operacyjnych, a nie kilkugodzinnego – odpowiada szef gabinetu prezydenta.

Moje źródła donoszą, że przynajmniej część pracowników KPRP wiedziała o planowanej operacji tydzień wcześniej, z czego do niektórych urzędników niższego szczebla informacja z zastrzeżeniem całkowitej poufności dotarła w sobotę, ostatniego dnia czerwca.

Z punktu widzenia chronologii wydarzeń, zmierzających do błyskawicznej „nowelizacji nowelizacji” ustawy, którą przeprowadzono w Sejmie i Senacie cztery dni później, istotny był jeszcze jeden termin – czwartek 21 czerwca. Właśnie wtedy podczas popołudniowego spotkania prezydium komitetu politycznego PiS przy Nowogrodzkiej, w którym udział wzięli premier Mateusz Morawiecki, prezes Jarosław Kaczyński, wicepremierzy Beata Szydło i Piotr Gliński, marszałkowie Sejmu i Senatu Marek Kuchciński i Stanisław Karczewski oraz szef MSWiA Joachim Brudziński, miało dojść do ogłoszenia planu działania w obu izbach parlamentu i przekazania dyspozycji o nieinformowaniu parlamentarzystów do ostatniego możliwego momentu. Wszystko po to, aby uniknąć przecieków. „Gdybyśmy zaczęli dyskutować, znalazłyby się siły, które by to zablokowały” – stwierdził później Kaczyński w wywiadzie dla Polskiego Radia. Oczywiście w całej „operacji izraelskiej” istotne są również personalia osób, które nadzorowały jej poszczególne elementy. Pomimo oficjalnego embarga na ujawnianie ich nazwisk część ukazała się w izraelskich mediach, a do części udało mi się dotrzeć i potwierdzić podczas rozmów z ważnymi urzędnikami rządu oraz obu kancelarii.

„OJCOWIE SUKCESU”

Chociaż w większości wypowiedzi polityków PiS przewija się wątek dwóch zaufanych ludzi premiera oraz prezesa, którzy po stronie polskiej mieli prowadzić negocjacje ze środowiskiem Beniamina Netanjahu, podczas wielomiesięcznego

procesu było ich jednak znacznie więcej. Jak ustaliłem, istotną rolę łącznika pomiędzy Jarosławem Kaczyńskim a środowiskami amerykańskich i izraelskich Żydów odgrywał wiceprezes partii, członek Komitetu Politycznego oraz sekretarz stanu w KPRM, Adam Lipiński. Ciężar właściwych negocjacji – ze strony premiera oraz zabezpieczenia wywiadowczego – spoczywał jednak na barkach koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego oraz szefa Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Michała Dworczyka. To oni według moich źródeł mieli odgrywać rolę negocjatorów oraz „zaufanych ludzi” prezesa i premiera. Ich prace uzupełniało dwóch europosłów Prawa i Sprawiedliwości: głównie prof. Ryszard Legutko, a pomocniczo Tomasz Poręba. Znaczącą rolę miał odegrać również wiceminister Bartosz Cichocki kierujący zespołem ds. dialogu prawnohistorycznego oraz szef Agencji Wywiadu Piotr Krawczyk.

Netanjahu wiedział, że część lewicowych środowisk w Izraelu rzuci mu się do gardła, wkalkulował to w koszt polityczne zawieszenia broni z Polską

Oczywiście oficjalnie politycy rządowi do końca bronią zakładanej na początku anonimowości. – To była nasza decyzja wewnętrzna, żeby negocjatorzy nie byli ujawniani – odpowiedział mi Andrzej Pawłuszek, doradca Mateusza Morawieckiego. Kiedy o potwierdzenie nazwisk prosiłem również minister Jadwigę Emilewicz, która brała udział w delegacji w Izraelu, nie chciała komentować kulisy operacji, odpowiadając jedynie, że: „To osobista zasługa premiera”.

Według ustaleń „Do Rzeczy” w poniedziałek 2 lipca podczas narady w KPRM zapadła również decyzja, aby nie kontynuować medialnie tematu negocjacji, który ma być stopniowo wygaszany na tle konfliktu o Sąd Najwyższy. Według izraelskiego dziennikarza Baraka Ravid, który dotarł do izraelskiej strony negocjacyjnej układanki, premiera Beniamina Netanjahu mieli natomiast reprezentować Yossi Ciechanover – były dyrektor generalny w ministerstwie spraw zagranicznych

– oraz Jakob Nagel – były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego. Siłą rzeczy, obaj bliscy ludzie premiera Izraela.

WIEDŃ I MOSSAD

Jak informowały izraelskie media oraz wspomniany już dziennikarz Barak Ravid, główne rozmowy pomiędzy delegacjami (choć strona polska miała nalegać na Warszawę) odbywały się na neutralnym gruncie w stolicy Austrii – Wiedniu, oraz siedzibie izraelskiego wywiadu Mossadu w Gilot pod Tel Awiwem, gdzie w połowie czerwca „dopinano” ostatnie elementy oświadczenia. Według moich rozmówców z Izraela od końca marca dochodziło do wielu spotkań, nie tylko w wymienionych lokalizacjach, żadne jednak nie odbyło się w Polsce. Dyskusje nad ostatecznym kształtem oświadczenia szefów rządów były przewlekłe i trwały od końca maja do końca czerwca, ponieważ ważono każde słowo i zastanawiano się nad każdym z nich, szczególnie nad fragmentami dotyczącymi antypolonizmu oraz wojennych kolaborantów mordujących Żydów. Strona izraelska chciała za wszelką cenę uniknąć zrównania skali zbrodni i kolaboracji Żydów z Hitlerem z przypadkami współpracy bądź zbrodni dokonanych przez przedstawicieli innych narodów.

Według mojego rozmówcy niepewność po stronie Izraela dało się wyczuć niemal do ostatniej chwili. – Netanjahu wiedział, że część lewicowych środowisk w Izraelu rzuci mu się do gardła, wkalkulował to w koszt polityczne zawieszenia broni z Polską. Nie chciał jednak brać całego ryzyka na siebie, dlatego zanim przemówił, sprawdził, czy prezydent Andrzej Duda podpisze zmienioną treść ustawy. On się autentycznie obawiał, że może nastąpić jakieś nieoczekiwane veto, dlatego wołał mieć wszystko na papierze – stwierdził informator „Do Rzeczy”, który zna kulisy negocjacji.

Kiedy pytam Sławomira Dębskiego, szefa Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych o zimnowojenny entourage negocjacji, odpowiada, że nie jest nim zdziwiony, a rządowi chodziło o obniżenie kosztów politycznych przedsięwzięcia. – Wystarczy sobie wyobrazić, co by było w przypadku przecieków. Karty były trzymane bardzo blisko przy orderach, i słusznie. To, że rozmowy toczyły się na neutralnym gruncie, jest czymś naturalnym. Chodziło o wyeliminowanie możliwości, że ktoś niezyczliwy całemu procesowi zauważy obecność wysokich

rangą urzędników czy dyplomatów w Polsce albo Izraelu – a to się może zdarzyć nawet przez przypadek na lotnisku – aby stracić element dyskrecji. W dyplomacji często podobne negocjacje prowadzi się w hotelach i środowisku, w którym przypadkowe spotkanie jest mało prawdopodobne, a nawet gdyby do niego doszło, na wiele sposobów można je wytłumaczyć, nie dekonspirując prawdziwego celu wizyty. Negocjacje były prowadzone podręcznikowo – stwierdził Dębski. Jak dodał, nie przeceniałby jednak wątku wywiadowczego całej sprawy i nie pisał scenariusza, w którym służby wpłynęły na dyplomację Polski i Izraela. – Na pewno były one aktywne przy zabezpieczaniu wydarzenia i poufności rozmów oraz korespondencji. Warto też pamiętać, że w Izraelu każdy dyplomata i polityk ma za sobą służbę wojskową, a wielu z nich pracowało wcześniej w służbach wywiadowczych lub cywilnych – dodał szef PISM.

– Bez względu na to, jak przebiegały rozmowy, efekt finalny jest zadowalający. Warto, aby teraz niektóre osoby w Izraelu przeprosiły za swój dotychczasowy antypolonizm – stwierdził natomiast Jonny Daniels, prezes fundacji From the Depths.

MSZ POZA GRĄ

Istotną częścią wspólną procesu negocjacyjnego zarówno po stronie Polski, jak i Izraela była jeszcze jedna rzecz. Mianowicie niemal całkowite wykluczenie pośrednictwa czy zaangażowania ministerstw spraw zagranicznych. – W negocjacjach brali udział posłowie, ministrowie, europarlamentarzyści, ale nie MSZ. To jest ciekawe, prawda? W Izraelu mogą to zrozumieć, bo MSZ jest w rękach innej frakcji, ale u nas niby w rękach tej samej. Istnieje jakieś napięcie pomiędzy premierem a kolegą Jackiem [Czaputowiczem, ministrem spraw zagranicznych – przyp. red.] – mówi mi jeden z ważnych członków Prawa i Sprawiedliwości. Jak twierdzą inni rozmówcy „Do Rzeczy” z kręgów rządowych i ministerialnych, „trudno, żeby MSZ było zdziwione”. Jak twierdzi, to właśnie z resortu Jacka Czaputowicza wpływały najbardziej szkodliwe dla negocjacji przecieki – ze słynną notatką z negocjacji w Waszyngtonie, którą ujawnił Onet – na czele. Natomiast mój izraelski rozmówca dodaje, że o negocjacjach do ostatniej chwili nie wiedzieli również ambasadorzy obu państw, a kręgi osób wtajemniczonych zarówno premier Morawiecki, jak i Netan-

jahu ograniczyli dzięki temu do „zaufanego minimum, zapobiegając dywersji”.

Być może właśnie to dmuchanie na zimne przełożyło się na zaskoczenie nie tylko opinii publicznej oraz posłów Zjednoczonej Prawicy, lecz także opozycji, która w większości, pomimo protestów odnośnie do braku debaty w Sejmie, zagłosowała za wycofaniem się z zapisów penalizujących kłamstwo przypisujące narodowi polskiemu zbrodnie popełnione przez nazistowskie Niemcy. – Nie ulega wątpliwości, że przy samych negocjacjach odnośnie do treści oświadczenia uwzględnienie antypolonizmu oraz antysemityzmu w jednym paragrafie było dla strony izraelskiej czymś trudnym do przyjęcia, ale na tym polega kompromis. Nie zmienia to jednak faktu, że nad dokumentem od początku do końca pracowano wspólnie. W moim odczuciu obie strony na tym wygrały – powiedział mi doradca premiera Andrzej Pawluszek, gdy zapytałem go o trudności podczas negocjacji oraz bilans zysków i strat. – Ameryce zależało, aby doszło do tego porozumienia – dodał.

Kręgi osób wtajemniczonych zarówno minister Morawiecki, jak i Netanjahu ograniczyli do „zaufanego minimum, zapobiegając dywersji”

Siłą rzeczy wątek amerykański, obok wykluczenia MSZ, to druga tajemnica poliszynela samych negocjacji. Chociaż oficjalnie oba rządy zapewniają, że działały suwerennie i bez żadnych nacisków, to moje źródła potwierdzają, że Stany Zjednoczone wywierały nieformalną presję na Polskę i Izrael. – W interesie Donalda Trumpa było wygaszenie konfliktu między sojusznikami, których i tak nie ma na świecie wielu. To był również interes Beniamina Netanjahu, który chce mieć dobre stosunki z blokiem państw V4 i przy niepewnej sytuacji politycznej w kraju głowę wolną od konfliktu z liderem Grupy Wyszehradzkiej – przekonuje mój rozmówca z kręgów PiS.

Postanowiłem jednak zapytać o ten wątek również Kancelarię Prezydenta, łącząc wygaszenie tego odcinka frontu ze zwiększeniem szans na spotkanie

głów państw USA i Polski. – Spotkanie Duda – Trump nie było nigdy wprost kojarzone z nowelizacją ustawy o IPN, a strona amerykańska nigdy nie stawiała warunku, że może do niego dojść, jeśli nasze prawo zostanie zmienione. Dopóki gospodarz, czyli Biały Dom, nie ogłosi terminu wizyty, nie mogę się na ten temat wypowiadać szczegółowo, ale zapewniam, że rozmowy, które obecnie trwają, są już bardzo zaawansowane. Atmosfera wokół ustawy mogła mieć natomiast wpływ na nastroje wśród kongresmenów, którzy odgrywają ważną rolę przy takich decyzjach. Bez dyskusyjnie cała ta sprawa wywołała u części z nich ostre reakcje, a ustawa utrudniała lobbing spraw polskich w Kongresie i stworzyła zły wizerunek w amerykańskich mediach. Nie było jednak nigdy mowy o żadnym zaryglowaniu drzwi dla Polski w Waszyngtonie – stwierdził prezydencki minister.

Paradoksalnie na ostateczny wydzźwięk przeprowadzonych sprawnie i w sekrecie negocjacji może mieć jednak wpływ inna, wydawałoby się, banalna rzecz. Chodzi o wykupioną przez polski rząd, a finansowaną przez bank PKO publikację serii ogłoszeń z treścią wystąpienia obu premierów w największych mediach świata. Opublikowanie oświadczenia po polsku, hebrajsku i angielsku miało być niekonsultowane z Beniaminem Netanjahu ani nieskoordynowane z izraelskim rządem. Według tamtejszych mediów oficjalnym językiem ewentualnie opublikowanego później oświadczenia miał być angielski, dlatego właśnie Netanjahu przestał mówić po hebrajsku podczas telewizyjnego wystąpienia, gdy doszło do tej części. Chodziło bowiem o wyeliminowanie różnic w tłumaczeniu słów na języki ojczyste. Gdy ogłoszenia ukazały się 5 lipca, m.in. we francuskiej, w niemieckiej, amerykańskiej i izraelskiej prasie, wygaszony – wydawać by się mogło – konflikt znowu wszedł w gorącą fazę. Oświadczenie premierów potępił instytut Yad Vashem oraz izraelski minister edukacji Naftali Bennett. Z kolei Yaakov Nagel, zaufany człowiek premiera Netanjahu, stwierdził w „The Times of Israel”, że „Polski rząd wycofał się z zapisów ustawy IPN z podkulonym ogonem. Zmieniliśmy prawo, nie dając im (polskiemu rządowi) nic w zamian”.

Jak mawiają dyplomaci, choć nie takie były intencje, sytuacja jest po raz kolejny „rozwojowa”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Wybranowski

Baron zachodniopomorskiej Platformy Obywatelskiej, jego żona, teściowie pasierba i zaufani współpracownicy. Jak wynika ze śledztwa w sprawie afery melioracyjnej, były sekretarz generalny PO miał stworzyć układ, którego ważnymi ogniwami byli bliscy mu ludzie



Stanisław Gawłowski wyprowadzany z sali sądowej po kwietniowym posiedzeniu aresztowym

FOT. ANDRZEJ SZCZOCKI/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Klan Gawłowskich

W najbliższą środę 11 lipca Sąd Okręgowy w Szczecinie zdecyduje, czy przedłużyć o kolejne trzy miesiące areszt tymczasowy dla zatrzymanego 15 kwietnia posła Stanisława Gawłowskiego, byłego sekretarza generalnego Platformy Obywatelskiej. Do tej pory usłyszał on pięć zarzutów, z tego trzy dotyczące przestępstw korupcyjnych. Według śledczych Gawłowski miał przyjąć co najmniej 175 tys. zł łapówki w gotówce oraz dwa zegarki wartość ok. 25 tys. zł każdy, podzegać do wręczenia ok. 200 tys. zł łapówki i ujawnić informację niejawną. A wszystko to przy okazji korupcji i licznych nieprawidłowości przy przetargach oraz realizacji ponad stu inwestycji, które prowadził szczeciński Zachodniopomorski Zarząd Melioracji i Urządzeń Wodnych w czasie, gdy Gawłowski pełnił funkcję wiceministra środowiska w rządzie PO-PSL. Śledztwo w tej sprawie prowadzone jest od 2013 r.

Niezależnie od niego Centralne Biuro Antykorupcyjne od lutego prowadzi kontrolę oświadczeń majątkowych Gawłowskiego. Jak twierdzą nasze źródła w CBA, na razie jest jeszcze za wcześnie na stawianie wniosków, analitycy służby sprawdzają m.in. to, czy majątek Gawłowskiego i jego bliskich ma pokrycie w legalnych źródłach przychodu.

Wiadomo, że prokuratura chce rozszerzyć listę zarzutów stawianych Gawłowskiemu o kolejne dwa: popełnienia innych przestępstw o charakterze korupcyjnym i prania brudnych pieniędzy. Aby tak się stało, Sejm musi kolejnym raz uchylić mu immunitet; stosowny wniosek prokurator generalny przesłał już do marszałka Sejmu.

Dotychczasowe ustalenia śledztwa pokazują sposób tworzenia mechanizmu korupcyjnego, w którym jednymi z ważniejszych postaci byli baron zachodniopomorskiej PO oraz członkowie jego rodziny i przyjaciele.

GAWŁOWSKI, POLITYKA I KUMPEL PASIERBA

Problemy „klanu Gawłowskich” zaczęły się dość niepozornie – od zatrzymania w 2014 r. przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego tropiących ustawiane „przetargi melioracyjne” w Zachodniopomorskiem Andrzeja K., wicedyrektora ds. inwestycji Zachodniopomorskiego Zarządu

Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie, oraz Tomasza P., byłego już dyrektora zarządu. P. to działacz Platformy Obywatelskiej w tym regionie, wcześniej aktywista Polskiego Stronnictwa Ludowego i zarazem dobry znajomy Stanisława Gawłowskiego. W regionie uchodził za jego prawą rękę.

W tym samym czasie służby zatrzymały kilku przedsiębiorców, którzy mieli uczestniczyć w ustawianych przetargach. Wśród nich Krzysztofa B., współwłaściciela firmy Hydrobudowa Bałtyk z Darłowa – dobrego znajomego i wspólnika pasierba Stanisława Gawłowskiego.

Przedsiębiorca, występując jako osoba fizyczna, wygrał kilka lukratywnych przetargów organizowanych przez szczeciński ZZMiUW. Za każdym razem

ABW wpadli wicedyrektorzy ZZMiUW w Szczecinie: Mieszko K. i Maciej H. W regionie uważa się, że obaj posady dostali z politycznego klucza. Mieszko K. był aktywnym działaczem Platformy, wcześniej członkiem młodzieżówki tej partii, kojarzonym z Gawłowskim.

Cofnijmy się jeszcze do 2014 r. Zatrzymany wówczas Tomasz P. już podczas pierwszego przesłuchania miał iść na współpracę z prokuraturą. To najprawdopodobniej on ujawnił kulisy działania grupy, która ustawiała przetargi, i opowiedział śledczym o roli, jaką w całej sprawie odegrał ówczesny wiceminister ochrony środowiska. Miał też zeznać, że otrzymał 200 tys. zł łapówki od Krzysztofa B. Za co? Za ustawianie przetargów melioracyjnych. Kwota



oficjalnym powodem wygrywania przetargów była cena niższa od konkurencji.

– Znam przedsiębiorcę z Darłowa, jego rodziców. Z moim pasierbem próbują, a właściwie próbowali sił w biznesie, ale na szczęście ich wspólna działalność nie dotyczyła przetargów organizowanych przez Zarząd Melioracji – przekonywał wtedy Stanisław Gawłowski w rozmowie z portalem „Głosu Koszalińskiego”.

Tomasz P. nie był jedynym bliskim Gawłowskiemu działaczem PO zatrzymanym w „aferze melioracyjnej”. W 2017 r., w trakcie kolejnych zatrzymań, w ręce

wydaje się dziś niezbyt duża w stosunku do wartości przetargów. Z przecieków ze śledztwa wiemy, że Tomasz P. miał ustawić przetargi na łączną kwotę co najmniej 55 mln zł.

Krzysztof B., wspólnik pasierba Gawłowskiego, został zatrzymany pierwszy raz w czerwcu 2014 r. Usłyszał wówczas zarzuty działania w grupie przestępczej i utrudniania przetargów. Wyszedł na wolność za poręczeniem majątkowym. Jednak już kilka miesięcy później funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego przyszli po niego ponownie. Usłyszał zarzuty wręczenia funkcjonariuszom

szowi publicznie 200 tys. zł łapówki. Chodziło o ustawienie przetargu na budowę wrót sztormowych w Mielnie. Wartość – 20 mln zł.

– Informacje uzyskane podczas śledztwa zostały pozytywnie zweryfikowane w toku czynności operacyjnych, co pozwoliło prokuraturze na postawienie kolejnych zarzutów panu B. – tłumaczy nam osoba z kręgów śledztwa w sprawie „afery melioracyjnej”.

ŻONA POŚŁA I TEŚCIOWIE PASIERBA

W jednym z pobocznych wątków śledztwa zarzuty usłyszały już kolejne osoby związane z baronem zachodniopomorskiej PO. To Bogdan K., znany w Kołobrzegu przedsiębiorca, zatrzy-



Renata L.-G. przed przesłuchaniem
w prokuraturze FOT. DOMIN SE/EAST NEWS

many przez ABW w 2018 r. Mężczyzna usłyszał zarzuty wręczenia Gawłowskiemu łapówki na kwotę co najmniej 300 tys. zł na kampanię wyborczą oraz wybudowanego przez jego firmę na chorwackiej wyspie Brac apartamentu wartego ok. 48,5 tys. euro (Radio Szczecin podało, że wartość apartamentu w oficjalnych dokumentach została заниżona o połowę). W mediach pojawiły się informacje, że śledczy podejrzewają, iż nieruchomość była prezentem za życzliwość pośła PO i pomoc przy ustaleniu wartego 30 mln zł przetargu na inwestycje w Dolinie Parsęty.

Z chorwackim apartamentem mają też związek Piotr i Halina K., teściowie pasierba Gawłowskiego, którzy usłyszeli zarzut prania pieniędzy na kwotę ok. 403 tys. zł. Jak informowało Polskie Radio, w grudniu 2017 r. podczas przeszukania domów pośła Gawłowskiego znaleziono akt notarialny chorwackiej nieruchomości, z którego wynika, że jego właścicielami są Piotr K. i Halina K., pozostający w dobrych relacjach towarzyskich z byłym wiceministrem środowiska. Śledczy ustalili jednak, że rodziny K. nie było stać na zakup takiej nieruchomości. W momencie, gdy transakcja miała być zwierana, mężczyzna nie pracował, zaś jego małżonka zatrudniona była jako pielęgniarka. Z kolei tygodnik „Sieci” pisał, że córka Piotra i Haliny K. miała powiedzieć śledczym, że jej rodzice nigdy nawet nie byli w Chorwacji.

– Analiza ich przychodów w okresie poprzedzającym datę domniemanej transakcji pozwala wykluczyć, by dysponowali pochodzącymi ze źródeł legalnych środkami pozwalającymi na zakup takiej nieruchomości. Można więc domniemywać, że wystąpili tutaj wyłącznie w roli słupów – mówi nam osoba z kręgów śledztwa.

Zarzuty prania brudnych pieniędzy usłyszała już także żona Stanisława Gawłowskiego – Renata L.-G. Zdaniem śledczych żona Gawłowskiego miała utrudniać ustalenie pochodzenia nieruchomości, przekonała teściów pasierba Gawłowskiego do „spisku” i zorganizowała całą transakcję rzekomej „sprzedaży” nieruchomości. Jak wynika z nieoficjalnych informacji, śledczy mieli oprzeć się na zeznaniach m.in. Piotra i Haliny K. oraz materiałach przekazanych przez Głównego Inspektora Informacji Finansowej. Renata L.-G. nie przyznała się do zarzucanych jej czynów. Wcześniej, już po zatrzymaniu jej męża, kobieta sugerowała, że sprawa ma charakter polityczny albo też że to „zemsta za o. Rydzyka”. „Mój wspaniały mąż. Mądry, dobry człowiek. Tak niedawno bawił się beztrudno z wnukiem, a dzisiaj jest krzywdzony przez władzę we własnym kraju. Tylko dlatego, że jest opozycyjnym posłem” – pisała na Twitterze. Z kolei w rozmowie z „Newsweekiem” żona Gawłowskiego mówiła: „Prawo i Sprawiedliwość nienawidzi mojego męża. Najbardziej za to, że jako wiceminister odebrał pieniądze na geotermię Tadeuszowi Rydzyskiemu. Nawet hierar-

chowie mówili Staszewski: »Rydzyk Ci tego nigdy nie zapomni, zniszczy cię«”.

O Renacie L.-G. było głośno już w czasie, gdy jej mąż zajmował stanowisko wiceministra środowiska. W marcu 2009 r. „Rzeczpospolita” ujawniła, że kobieta była członkiem rady nadzorczej spółki P.L. Energia, należącej do Piotra Buszki, która to spółka w resorcie środowiska zabiegała o koncesje na poszukiwanie złóż gazu. Gawłowski przekonywał wówczas, że jego małżonka uczestniczyła tylko w jednym posiedzeniu rady nadzorczej spółki, po czym zrezygnowała z zasiadania w niej.

KORUPCJA CZY POLITYCZNA PROWOKACJA?

Partyjni koledzy pośła Stanisława Gawłowskiego przekonują, że cała sprawa i zatrzymanie ich klubowego kolegi są polityczną prowokacją Prawa i Sprawiedliwości. Sam Gawłowski jeszcze w grudniu, w licznych rozmowach z dziennikarzami, przekonywał, że nigdy nie wziął żadnej łapówki. W rzeczywistości sprawa budzi spore poruszenie wśród zachodniopomorskich działaczy PO – część bliskich Gawłowskiemu podziela opinię, że padł on ofiarą politycznych prześladowań. Inni mówią nieoficjalnie, że już znacznie wcześniej, jeszcze w okresie rządów ich partii, alarmowali centralę, iż Gawłowski buduje sobie w Zachodniopomorskiem „imperium”, a niektóre z jego działań mogą wiązać się z problemami dla PO.

Na razie problemy, również finansowe, ma sam Gawłowski. Kilkanaście dni temu stracił prawo do pobierania uposażenia i diety poselskiej. Przebywając w areszcie, nie wykonuje bowiem obowiązków związanych z ustawą o wykonywaniu mandatu pośła i senatora. „Aktualnie posłowi Gawłowskiemu uposażenie poselskie nie przysługuje – nie jest więc ono ani wypłacane, ani odkładane na żadne subkonto, nie będzie też wypłacone żadne wyrównanie po odzyskaniu wolności” – poinformowało Centrum Informacyjne Sejmu. Marszałek Sejmu wyznaczył też urzędnika, który otrzymał pełnomocnictwa do regulowania zobowiązań finansowych biura poselskiego Gawłowskiego.

Jak poinformowali prawnicy Gawłowskiego, polityk pisze w areszcie książkę-pamiętnik, w której ocenia bieżącą sytuację polityczną, swoje zatrzymanie i życie w areszcie. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Warzecha

Spór o imigrację zarobkową nie jest prosty, ale potrzebny. Skutki podejmowanych dziś decyzji będą widoczne dopiero po latach. Warto spróbować je przewidzieć

Ukraińskie imiona na plakietkach pracowników i charakterystyczny akcent to codzienność w fast foodach, supermarketach czy firmach kurierskich. Jedną z firm, zajmujących się dowozem jedzenia w Warszawie, zatrudnia wielu dostawców, których wygląd wskazuje na pochodzenie z rejonu środkowej Azji. Imigrantów spotyka się codziennie, i to wiele razy – tak przynajmniej jest w stolicy i większych miastach. Czyżby po cichu trwał proces demograficznej przebudowy Polski?

Ogromne wzburzenie, zwłaszcza na lewicy, wywołał niedawno tweet wiceprezesa Ruchu Narodowego Krzysztofa Bosaka: „Właśnie minął mnie kierowca Uber Eats – Hindus w turbanie, pedału na rowerze. Czy to, żeby pewna grupa ludzi miała zawiezione jedzenie, zamiast pójść samodzielnie do baru lub sklepu, jest tak istotną potrzebą gospodarczą, że chcemy iść w multi-kulti? Czy ta sprawa nie wymaga debaty?”

JEST O CZYM ROZMAWIAĆ

Deбата jest z pewnością potrzebna, ale bez emocji i uprzedzeń. Z góry więc można z niej wykluczyć lewicę, która na sam dźwięk słowa „imigranci” wpada w ekstazę. Tutaj nie ma mowy o rzeczowej dyskusji. Wpis Bosaka został przez lewicowych komentatorów przywitany standardowymi oskarżeniami o rasizm, podobnie jak moja własna uwaga na Twitterze, poczyniona jakiś czas później. Widząc w podmiejskim parku kilkuniosobową grupę panów o ciemnej karnacji – którzy zachowywali się zresztą bez zarzutu – odnotowałem, że takie obrazki każą zastanowić się, czy faktycznie problem nie wymaga przedyskutowania. Trudno jednak dyskutować ze środowiskami, które negują istnienie różnic cywilizacyjnych i twierdzą, że imigracja nie niesie ze sobą zagrożeń, a jedynie korzyści.

Lewica nie rozróżnia zresztą – co kluczowe – autentycznych uciekinierów, czyli

uchodźców, imigrantów socjalnych, czyli tych, którzy oczekują wygodnego życia na koszt państwa przyjmującego, i imigracji zarobkowej, czyli ludzi, którzy naprawdę przyjeżdżają ciężko pracować i zarabiać. Dla lewicy imigracja wszelkiego rodzaju jest zjawiskiem pożądanym. Pojawia się dodatkowo argument, że imigranci socjalni to w gruncie rzeczy także uchodźcy, tyle że uciekają nie przed wojną, lecz przed kiepskimi warunkami żywiołymi.

Gdy chodzi o imigrację socjalną, sporu właściwie nie ma. Trudno znaleźć dziś poważną siłę polityczną – może poza skrajną lewicą – która uznawałaby, że warto przyjmować ludzi, których życie nie jest zagrożone, a którzy nie mają ochoty ani pracować, ani się integrować. Istnieje spór o stanowisko wobec uchodźców, ale najciekawszy jest spór o imigrantów zarobkowych, bo tu linia podziału przebiega także w poprzek szeroko pojętej prawicy.

Po jednej stronie są klasyczni liberałowie, nastawieni na interesy przedsiębiorców. Po drugiej – narodowcy, formułujący istotne wątpliwości. Pomiędzy – spektrum pośrednich opinii.

W naszym kraju pracuje obecnie kilka milionów cudzoziemców. Tak – to nie błąd: kilka milionów. Nie jest to imigracja sensu stricto, bo teoretycznie ludzie ci przyjechali do Polski tylko na ściśle określony czas. W praktyce kontrola nad sytuacją jest iluzoryczna. W wielu przypadkach cudzoziemcy pracują po wygaśnięciu pozwolenia, tyle że na czarno. W samym 2017 r. urzędy wojewódzkie zarejestrowały oświadczenia przedsiębiorców o powierzeniu pracy cudzoziemcom dla 1,1 mln osób.

W awangardzie organizacji postulujących przyjmowanie cudzoziemców do pracy w Polsce wobec rosnącego deficytu podaży pracy jest Związek Przedsiębiorców i Pracodawców. Jego przedstawiciel, Marcin Nowacki, mówi, że ZPP jest przeciwny zasadzie przywiązania pracownika spoza UE – a o nich głównie toczy się spór – do pracodawcy, co bardzo uszytwnia rynek pracy. Dzisiaj taki pracownik nie może w trakcie swojego pobytu w Polsce zmienić miejsca zatrudnienia, bo pozwolenie jest wydawane na konkretne miejsce pracy w konkretnej firmie.



FOT. MATEUSZ WODARCZYK/EPORA

Imigranci już tu są

Tyle że ZPP absolutnie nie jest zwoleńnikiem otwierania drzwi na każdą grupę pracowników z dowolnego kraju. „To powinni być pracownicy bliscy nam kulturowo lub gotowi zaakceptować naszą kulturę” – mówi Marcin Nowacki, wymieniając przede wszystkim takie kraje jak Ukraina i Białoruś, ale także Wietnam, Nepal czy Filipiny. W tych dwóch ostatnich przypadkach mówimy o pracownikach, którzy wyspecjalizowali się w zarabianiu za granicą i niemal nigdy nie planują pozostania w kraju, gdzie znajdują zatrudnienie. Jeżdżą od kontraktu do kontraktu.

Inaczej jest z Wietnamczykami, których relatywnie spora diaspora (oficjalne szacunki mówią o ok. 50 tys.) zapuściła w Polsce korzenie, przyjechawszy jeszcze w latach 90. W mojej okolicy spore i bogato wyglądające domy zajmują wietnamskie rodziny, powiązane zapewne z nieodległym centrum handlowym w Wólce Kosowskiej. Dzieci, które albo przyjechały do Polski jako kompletne maluchy, albo urodziły się już tutaj, to przykład wzorowej integracji: uczęszczają do miejscowej szkoły, mówią po polsku bez śladu obcego akcentu, po okolicy chodzą z polskimi kolegami. To już właściwie Polacy. Wietnamska diaspora nie była wolna od przestępczości, ale ta przestępczość niemal nigdy nie kierowała się na zewnątrz. Wietnamczycy są zatem traktowani jako przykład dobrej integracji, braku uciążliwości dla otoczenia i ciężkiej pracy.

Co ciekawe, osiedlenie się w Polsce planuje stosunkowo niewielki odsetek zatrudnionych tu Ukraińców. Według „Barometru migracji zarobkowej – I półrocze 2018”, przygotowanego przez Personnel Service, o pozostaniu na stałe myśli zaledwie 11 proc. Zwolennicy kontrolowanej migracji zarobkowej wskazują, że powinno nam zależeć na tym, żeby jakaś część przyjeżdżających spoza UE osób w Polsce pozostała, bo tylko to będzie w stanie uratować w przyszłości polski system emerytalny.

Obszerny raport Stowarzyszenia Interwencji Prawnej, przygotowany przy współpracy ZPP przez dr Kingę Wysieńską i dr. Witolda Klausa, podaje, że cudzoziemców zatrudniało lub zatrudnia 10–15 proc. pracodawców.

WŁASNY ŚWIAT

I tu zaczyna się spór. Krzysztof Bosak uważa, że polityki migracyjnej nie mogą państwu dyktować przedsiębiorcy. „Jeśli jest problem z pracownikami, to firmy powinny w pierwszej kolejności starać

się znaleźć inne rozwiązanie niż ściąganie ludzi spoza Polski, na przykład zwiększenie wydajności” – mówi. Trudno jednak wyobrazić sobie zwiększenie wydajności w fast foodzie czy dostawie jedzenia.

Bosak podkreśla zarazem, że nie uważa, aby imigracja zarobkowa była zawsze zła, natomiast musi być zaplanowana, ograniczona i roztropna. Jego głośny tweet miał na celu zwrócenie właśnie na to uwagi.

Trudno odmówić Bosakowi racji, gdy wskazuje, że liczba imigrantów ma ogromne znaczenie. Przy czym nie ma różnicy, czy są to imigranci pracujący czy żyjący z socjału. Im jest ich więcej, tym mniejsza jest presja integracyjna, bo tym łatwiej jest im stworzyć całkowicie odrębny świat, w którym nie będą się stykać z Polakami. Sygnałem, że coś takiego już się częściowo dzieje, są audycje po ukraińsku w polskich rozgłośniach radiowych czy pojawiające się coraz częściej reklamy w języku ukraińskim.

Zwolennicy otwarcia drzwi dla imigrantów zarobkowych z Ukrainy argumentowali wielokrotnie, że obecność Ukraińców w Polsce daje nam tak pożądane miękkie oddziaływanie na naszego wschodniego sąsiada. Że Ukraińcy, pracujący w Polsce, ale zachowujący łączność z Ukrainą, będą mieli motywację, żeby zmodernizować własny kraj. To byłaby faktycznie ogromna korzyść z naszej gościnności. Powstaje jednak pytanie, czy formowanie się odseparowanych od Polaków ukraińskich środowisk, co naturalne przy tak wielkiej liczbie imigrantów jednej narodowości, tego efektu nie zniweczy.

Krzysztof Bosak wskazuje na jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Jako że Ukraińców jest w Polsce mnóstwo – oficjalne szacunki mówią o milionie osób, więc faktycznie jest to przynajmniej dwa razy tyle – siłą rzeczy będzie rosła liczba incydentów z ich udziałem. Już dziś pojawia się coraz więcej informacji o wypadkach spowodowanych przez pijanych ukraińskich kierowców. Lubelska policja dopiero co rozbiła wyjątkowo brutalny ukraiński gang, dokonujący rozbojów i grabieży. Nawet jeśli liczba pijanych kierowców czy przestępców w relacji do ogólnej liczby Ukraińców w Polsce mieści się w normie, to efekt wizerunkowy może być zły. A to z kolei może prowadzić do wzrostu nastrojów antyukraińskich i w konsekwencji – do popsucia dobrego wizerunku Polski, który na Ukrainie jest naszym niewątpliwym kapitałem. Miałem

niedawno okazję brać udział w dyskusji z Piotrem Tymą, prezesem Związku Ukraińców w Polsce. Tyma zaskakująco mocno stawiał tezę, że Ukraińcy są w naszym kraju coraz częściej przedmiotem agresji czy dyskryminacji.

Jest też pytanie, czy tańsi pracownicy spoza UE po prostu nie wypierają z rynku pracy droższych Polaków. We wspomnianym raporcie SIP 37 proc. przedsiębiorców zatrudniających takie osoby stwierdziło, że są oni tańsi niż pracownicy lokalni. 46 proc. nie miało wyrobionego zdania, zaś tylko 16 proc. uważało inaczej. Zarazem tylko 25 proc. przedsiębiorców przyznało, że płaci pracownikom spoza UE faktycznie mniej niż lokalnym. 42 proc. twierdziło, że płace są identyczne.

Dzisiaj mamy dobrą koniunkturę, niskie bezrobocie i pracownicy, również z zewnątrz Unii, mogą być potrzebni. Pytanie, co się stanie, gdy koniunktura się pogorszy, a miejsc pracy zacznie brakować. Nikt nie jest w stanie przewidzieć reakcji przedsiębiorców.

Jest tu jednak również aspekt stricte polityczny. Proimigranckie partie hodują swój elektorat. Wprawdzie w polskich warunkach od pozwolenia na pracę, które ważne jest rok (ale rząd zapowiada wydłużenie tego okresu), do uzyskania obywatelstwa, a więc prawa głosu, długa droga. Jest też pytanie, czy polski paszport jest aż tak atrakcyjny. Na razie jesteśmy na początku tej drogi, więc trudno odpowiedzieć.

PATRZMY W PRZYSZŁOŚĆ

Do czego jednak może to ostatecznie prowadzić, pokazuje przykład Niemiec, które zapełniły się Turkami w latach 90. Turkami – trzeba zaznaczyć – pracującymi, zarabiającymi, odprowadzającymi podatki. Nie była to imigracja socjalna. Dzisiaj Turków jest w Niemczech prawdopodobnie ok. 4 mln, czyli 5 proc. ogółu obywateli. Duża część z nich ma niemieckie obywatelstwo i stali się oni na tyle istotną siłą, że stosunek do Turcji jest jedną z ważnych kwestii wyborczych.

Spór o zarobkową imigrację nie jest prosty, a każda ze stron ma poważne argumenty. Problem w tym, że ta dyskusja wymagałaby spojrzenia daleko w przyszłość, bo skutki dzisiejszych decyzji mogą być widoczne dopiero za dwie, trzy dekady. A na dyskusje strategiczne mało kto ma dzisiaj w Polsce czas i cierpliwość. Łatwiej poprzetrzącać się obelgami.



Z Lidią Kochanowicz, dyrektor finansową Fundacji Lux Veritatis
rozmawia Kamila Baranowska

Dzieła o. Rydzyka służą ludziom



Lidia Kochanowicz z o. Tadeuszem Rydzykiem FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

KAMILA BARANOWSKA: Czy budowa Muzeum Pamięć i Tożsamość jest już przesądzona?

LIDIA KOCHANOWICZ: Tak, 20 czerwca została podpisana umowa między Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego a Fundacją Lux Veritatis, w której obie strony wyraziły wolę powołania takiego muzeum jako instytucji państwowej.

Umowa z resortem kultury jest kluczowa dla powstania tego muzeum?

Jest bardzo ważna, ponieważ gwarantuje, że Skarb Państwa przekaze 70 mln zł na budowę obiektu. Wkład Fundacji Lux Veritatis to: grunt pod budowę, środki finansowe na bieżące funkcjonowanie muzeum, zbiory muzealne, koncepcja architektoniczna obiektu, projekt budowlany, koncepcja ekspozycji stałej przygotowana przez uznanych projektantów. Nie jest to żadna sytuacja wyjątkowa w Polsce. Istnieją już takie muzea,

których organizatorami czy też założycielami są Skarb Państwa i fundacje czy stowarzyszenia. Pierwszym było Muzeum Historii Żydów POLIN, utworzone przez polski rząd, miasto stołeczne Warszawa oraz stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny. Z budżetu państwa przekazano 180 mln zł na wybudowanie budynku, a stowarzyszenie wniosło koncepcję wystawy i zapewniło realizację ekspozycji. Kolejną taką instytucją jest Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Tutaj Skarb Państwa przekazał 169 mln zł na zbudowanie obiektu, a Fundacja Rodziny Józefa Piłsudskiego dała pamiątki i eksponaty. Nasze muzeum jest jednym z wielu, które powstało w formule państwowo-prywatnej.

Co to będzie za muzeum?

Celem muzeum jest ukazanie ponad 1000-letniej historii chrześcijańskiej

Polski. Narratorem – osobą, która poprowadzi zwiedzającego – będzie św. Jan Paweł II. Przy czym podkreślam mocno, że nie będzie to kolejne muzeum poświęcone papieżowi Polakowi. Tutaj św. Jan Paweł II będzie przewodnikiem, który opowiada o najważniejszych wydarzeniach z historii naszego kraju i zachęca osoby odwiedzające muzeum do poszukiwania odpowiedzi na kluczowe pytania, takie jak: czym są patriotyzm, ojczyzna, naród, wolność, odpowiedzialność, ale też – co to jest dobro i zło.

Skąd pomysł na taki projekt?

Już wiele lat temu Ojciec Dyrektor zauważył potrzebę stworzenia miejsca, które w sposób spójny, zapewniający ciągłość myśli i narracji, ukazałoby najważniejsze postaci i przełomowe wydarzenia z dziejów Polski, mającej chrześcijańskie korzenie. Chcemy udowodnić, jak głęboko historia naszego kraju, jej kultura duchowa, nauka, sztuka, polityka i życie codzienne były oraz są związane z duchowością chrześcijańską, jak mocno wrosnięte są w nią etos polskiej wolności, zasada solidarności i dobra wspólnego. Do tej pory nikt nie zrealizował takiego projektu. Koncepcja wystawy stałej jest owocem pracy specjalistów z wielu dziedzin nauki, sztuki, ale też wynikiem wsłuchiwania się w potrzeby i oczekiwania Polaków.

Nie da się pokazać wszystkiego, trzeba dokonać jakiejś selekcji wydarzeń. Co będzie mocniej wyeksponowane, a co mniej?

W muzeum planujemy kilkanaście stref tematycznych: od przestrzeni poświęconej duchowym początkom narodu polskiego, narodzinom państwa polskiego, poprzez ślady Jagiellonów, Rzeczypospolitej wielu narodów, do kultury, religii. Ukazane będą słowa polskiego oręża, wielkie bitwy. Będzie też część poświęcona słynnym Polakom i strefa o wspaniałym dorobku naszej kultury. Opowiemy o polskim dążeniu do wolności i o dwóch totalitaryzmach. Pojawi się temat żołnierzy niezłomnych, a także walki o Kościół w Polsce. Będzie strefa poświęcona papieżowi Polakowi i jego pielgrzymkom do Polski oraz przestrzeń dotycząca zbiorowego doświadczenia Solidarności. Ostatnią częścią będzie testament św. Jana Pawła II.

Dużo tego...

Owszem. Oczywiście pewne strefy będą mniejsze, inne obszerniejsze. Dużo miejsca i uwagi chcemy poświęcić czasom II wojny światowej i Polakom,

■ którzy pomagali ludności żydowskiej – tym, którzy poświęcili swoje życie lub byli represjonowani za pomoc Żydom.

To odpowiedź na ostatnie wydarzenia – ustawę o IPN i reakcji, którą wywołała na świecie, a zwłaszcza w Izraelu?

Faktycznie, ostatnie wydarzenia pokazały, że wiedza o Polakach na świecie ma się nijak do prawdy historycznej i rzeczywistości, jednak Fundacja Lux Veritatis zajmuje się tym tematem od wielu lat, właściwie od początku swego istnienia, czyli od 1998 r. Jeszcze wcześniej, bo w 1995 r., na antenie Radia Maryja po raz pierwszy pojawił się apel Ojca Dyrektora o przekazywanie informacji dotyczących pomocy udzielanej przez Polaków Żydom w czasie II wojny światowej. Już w 2002 r. wydaliśmy dwa tomy książki „Godni synowie naszej Ojczyzny”, w której te relacje przedstawiliśmy.

Do dziś odnotowaliśmy ok. 40 tys. zgłoszeń, mamy tysiące godzin nagrań audio i wideo zrealizowanych przez pracowników fundacji, Radia Maryja, telewizji Trwam, często też studentów Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej,

widnieje tam 1170 nazwisk. Dla kogoś, kto tam wchodzi, jest to porażające, bo nagle widzi imiona i nazwiska często całych, wielopokoleniowych rodzin, po kilkanaście osób, w tym dzieci, kobiet w ciąży.

Czy te świadectwa są przez fundację jakoś weryfikowane?

Za każdym z nazwisk umieszczonych w Kaplicy Pamięci stoją dokumenty, które w każdej chwili można obejrzeć na stronie internetowej Kaplicy. Każdą historię musieliśmy dokładnie zweryfikować, szukaliśmy informacji w księgach parafialnych, poszukiwaliśmy innych świadków, badaliśmy zasoby IPN, Yad Vashem, wielu innych archiwów. Każda historia jest dokładnie badana, ponieważ zdajemy sobie sprawę, że w przypadku stwierdzenia choćby jednego błędu całe prowadzone przez nas prace naukowe zostałyby od razu podważone.

Za chwilę pojawi się zarzut, że muzeum, skupiając się na Polakach ratujących Żydów, jest jednostronne, bo były też w polskim narodzie inne, mniej chlubne postawy. O nich też będzie mowa?

sów, przewidziano interesującą ofertę dla dzieci i młodzieży. Mamy ciekawe pomysły, a także duży potencjał w postaci Radia Maryja, telewizji Trwam, toruńskiej uczelni, by stworzyć żywe muzeum, atrakcyjne także dla młodych odbiorców.

Platforma Obywatelska domaga się, by okoliczności zawarcia umowy na budowę muzeum między fundacją a Ministerstwem Kultury zbadało CBA. Pada sugestia, że to forma korupcji, polegająca na spłacie długu za poparcie w wyborach. Jak pani odpowie na ten zarzut?

Trudno takie zarzuty traktować poważnie, choć wiem, że ich cel jest poważny. Przez wiele lat działalności Fundacja Lux Veritatis była permanentnie kontrolowana. Ta umowa jest transparentna jak każdy projekt, który realizujemy, i sama się obroni. Mówienie, że to jakaś spłata długu za poparcie polityczne, to nonsens. Jeżeli ktoś słucha Radia Maryja lub ogląda TV Trwam, to na pewno zdaje sobie sprawę z tego, że nasze media nie są bezkrytyczne, jeśli chodzi także o obecny rząd. Jeżeli coś dzieje się nie tak w sprawach dla nas ważnych, czyli tych dotyczących wartości chrześcijańskich, to nie ma kompromisów. Myślę, że jesteśmy niewygodni dla każdej władzy, z każdej partii. Naszą siłą jest to, że jesteśmy niezależni, bo stoją za nami ludzie, którzy nas słuchają i oglądają. A tych jest bardzo dużo.

Pamiętam, jak pan Jan Dworak, poprzedni przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, mówił podczas komisji sejmowej przy okazji starania się przez nas o miejsce na multipleksie, że telewizję Trwam ogląda raptem 5 tys. osób. To nieprawda, jest ich dużo, dużo więcej.

Są na to jakieś badania?

Po wejściu na multipleks chcieliśmy zostać dołączeni do badań robionych przez Nielsen Audience Measurement, ale nie otrzymaliśmy warunków umowy.

Dlaczego?

To prywatna spółka i sama decyduje, z kim chce współpracować, a z kim nie. Z nami nie chciała. Zależało nam wtedy, by sprawdzić, jakie będą wyniki oglądalności po wejściu na multipleks i porównać je z tymi, które są robione innymi metodami, nie za pomocą wątpliwych metody telemetrycznej.

Co wynika z tych badań i jak są robione?

Badania oglądalności zlecamy niezależnemu instytutowi, który realizuje je,

Dużo miejsca i uwagi chcemy poświęcić czasom II wojny światowej i Polakom, którzy pomagali ludności żydowskiej

którzy odwiedzali świadków i rejestrowali ich wypowiedzi oraz wspomnienia.

To wspomnienia z czasów wojny czy konkretne historie o Polakach ratujących Żydów?

Są to konkretne historie o Polakach, którzy w czasie wojny mimo tego, że groziła im kara śmierci, pomagali ludności żydowskiej. Odzew i liczba świadectw, które zaczęły do nas napływać, przerosły nasze oczekiwania. Często zadajemy zgłaszającym się do nas osobom pytanie, dlaczego zdecydowały się akurat nam przekazać swoje świadectwa, pamiątki, informacje, i zwykle odpowiedzi są podobne. Po pierwsze – nikt ich o to wcześniej nie prosił, a po drugie – osoby te, nawet po roku 1989, bały się dzielić swoją wiedzą, nie mając pewności, co się z nią stanie i jak będzie wykorzystana. Apel Ojca Dyrektora dał nadzieję, że to nie zostanie schowane gdzieś głęboko do szuflady. I nie zostało. W Toruniu istnieje już Kaplica Pamięci, gdzie na granitowych płytach wyryto nazwiska Polaków, którzy oddali życie, ratując Żydów –

Nie wiem, to będzie zależało od decyzji dyrektora muzeum. My, jako Fundacja Lux Veritatis, przekazujemy jedynie koncepcję tej strefy tematycznej. Osobiście chciałabym, byśmy jednak skupili się na tych Polakach, którzy pomagali, ponieważ te mniej chlubne postawy są mocno i chętnie nagłaśniane, zupełnie nieproporcjonalnie do rzeczywistości. Skala pomocy i skala tej niechlubnej działalności jest nieporównywalna – pomagających było o wiele więcej niż donosicieli. Myślę, że naszym zadaniem powinno być oddanie chwały tym, którzy kierując się chrześcijańskimi wartościami, stanęli na wysokości zadania.

Kiedy pierwsi zwiedzający będą mogli odwiedzić muzeum?

Plany zakładają, że już w 2022 r. Mamy niewiele czasu, patrząc na skalę tego projektu, ale liczymy, że to się uda. Przez czas budowy muzeum też będzie żyło – opracowany jest bogaty program działania, m.in. organizacja wystaw mobilnych, konferencji międzynarodowych, konkur-

przeprowadzając zarówno ankiety metodą ustalonej ścieżki (osoba badana ma bezpośredni kontakt z ankietą), jak i wywiady telefoniczne. Wyniki obu badań są następnie porównywane. Robimy te badania od kilku lat, starając się zachować ciągłość, by mieć porównanie, co się zmienia i w jaki sposób się zmienia. Według tych badań ogląda nas łącznie ok. 10 mln osób.

To chyba niemożliwe. Średnia oglądalność obu głównych anten TVP to niecałe 1,5 mln widzów.

Mówimy o wszystkich tych, którzy deklarują, że oglądają telewizję Trwam, przy czym jedni oglądają ją codziennie, inni raz w tygodniu, jeszcze inni kilka razy w miesiącu. Około 3,4 mln ludzi ogląda nas codziennie, o różnych porach, ale codziennie. I ta liczba się powtarza w naszych badaniach. To jest nasza siła. Przypomnę też, że telewizja Trwam nie pobiera opłat za udostępnienie sygnału, kablówki nie płacą nam ani złotówki za to, że mają nas w swojej ofercie. Od niedawna mamy niewielkie wpływy z reklam, bo bardzo rygorystycznie podchodzimy do tego, co przyjmujemy na antenę, i często bywało, że treść reklamy lub podmiot, który ją zlecał, budził nasze wątpliwości. Pojawia się więc pytanie, z czego się utrzymujemy. Odpowiedź jest ta sama od lat – z całkowicie dobrowolnych darowizn naszych telewidzów. Jeśli ktoś zdaje sobie sprawę, ile kosztują utrzymanie telewizji obecnej na multiplexie, łącza, transmisje, sprzęt, studia itd., to myślę, że musi też mieć świadomość, ilu mamy sympatyków. Gdyby wspierających nas widzów było 5 tys., jak twierdził pan Dworak, to nie byłibyśmy w stanie się utrzymać.

Niektórzy twierdzą, że waszym największym wspierającym jest rząd. Opozycja uruchomiła specjalną stronę internetową, na której na bieżąco zlicza, ile pieniędzy dostał o. Tadeusz Rydzyk. Licznik wskazuje ponad 164 mln zł.

To kłamstwo. Przemysłany plan działania, by nas osłabić i zdeprecjonować to, co robimy. Wiadomo, że pierwsza informacja puszczona w eter jest najlepiej zapamiętywana przez odbiorcę, a późniejsze sprostowania już nie. Dzisiaj dziennikarze i politycy mogą bezkarnie pisać i mówić, co chcą, bez najmniejszego wysiłku, włożonego w sprawdzenie informacji. Wyjaśniam więc – Ojciec Dyrektor jest zakonnikiem. Jako zakonnik nie posiada niczego, bo żaden zakonnik – taka jest reguła każdego zakonu – nie może niczego posiadać. Wszystko, co otrzymują, jest własnością zakonu. Ojciec Dyrektor tak

jak każdy zakonnik mieszka w klasztorze, ma swój skromny pokój, je posiłki w sali wspólnej, nie ma żadnego własnego domu ani w Polsce, ani na Łazurowym Wybrzeżu, ani nigdzie indziej, bo go nie może mieć. Jedyne, co dostaje, to emerytura, którą pobiera, ale ją też oddaje do zakonu. Kiedy więc dziennikarze czy politycy mówią, że Ojciec Dyrektor jest jednym z najbogatszych Polaków, lub wyliczają, ile pieniędzy dostaje – to albo nie wiedzą, co mówią, albo wiedzą, co mówią, i robią to celowo. Obie sytuacje są dla nich dyskwalifikujące, bo okłamują ludzi.

Jako prezes zarządu fundacji Ojciec Dyrektor nie dostaje żadnego wynagrodzenia, nie otrzymuje też żadnych dywidend.

Dzieła, które tworzy wokół siebie, przeznaczone są dla ludzi i im służą. Komu to przeszkadza?

Odpowiedzieliby, że chodzi o inicjatywy i projekty, których pomysłodawcą jest o. Tadeusz Rydzyk, więc w sumie na jedno wychodzi.

To ja zapytam: Co jest złego w tych inicjatywach i w tym, że Ojciec Dyrektor je wspiera? Tak jak mówiłam, ani on sam, ani też inni ojcowie nie czerpią z nich żadnych korzyści, natomiast z poświęceniem wielu godzin dziennie pracują, tworząc te dzieła, wypełniając misję zakonu i swoją, docierając do Polaków w kraju i za granicą ze Słowem Bożym. Co złego jest w dziełach, które wspierają młodych ludzi i kształtują ich w myśl nauki Kościoła Katolickiego? Co złego jest w dziełach, które dają ukojenie w cierpieniu, osamotnieniu, niosą nadzieję na przyszłość, upominają się o godność i szacunek przynależny człowiekowi? Co złego jest w tym, że promują polskość? Jako prezes zarządu fundacji Ojciec Dyrektor nie dostaje żadnego wynagrodzenia, nie otrzymuje też żadnych dywidend. Wszystko można sprawdzić w sprawozdaniach finansowych. Dzieła, które tworzy wokół siebie – najpierw radio, potem telewizja, następnie uczelnia, teraz muzeum – przeznaczone są dla ludzi i im służą. Komu to przeszkadza?

Kontrola CBA w sprawie umowy na budowę muzeum nie jest jedyną w ostatnim czasie. Poseł Nowoczesnej zawiadomił CBA i urząd skarbowy, by zbadały sprawę aut, które Ojciec Dyrektorowi miał przekazać bezdomny pan Stanisław.

Ci, którzy postanowili rozgrzać ten temat medialnie, doskonale wiedzieli, że były to samochody, które otrzymał nie Ojciec Dyrektor, lecz Warszawska Prowincja

Redemptorystów, która ma koncesję na nadawanie Radia Maryja, a rzecz dotyczy 2002 r. Faktem jest, że samochody przekazał bezdomny, który wygrał w totolotka. Kupił sobie mieszkanie, zabezpieczył swój byt i miał potrzebę podzielić się tym, co ma. Widocznie był sympatykiem radia i dlatego tutaj skierował swą pomoc. Jeden z tych samochodów jeździ i służy nam do dziś. Nie ma w tym nic sensacyjnego. Sprawa jest sprzed 16 lat, wszystko jest tu jasne i klarowne. Czy zatem nie szkoda czasu dziennikarzy i polityków,

kontrolerów urzędu skarbowego, CBA, innych instytucji?

To nie pierwsza i pewnie nie ostatnia wymierzona w nas akcja. Chodzi o to, by szkalować nie tylko dobre imię Ojca Dyrektora, lecz także zakonu, całego Kościoła katolickiego i wszystkich tych, którzy z Ojcem Dyrektorem współpracują. To powinno być karane.

Skierujecie sprawę do sądu?

Można złożyć zawiadomienie do prokuratury albo pozew z powodztwa cywilnego do sądu. Tylko co to da? Sąd w pierwszej instancji będzie ją rozpatrywał jakieś siedem lat, bo mamy już takie doświadczenie, potem druga instancja i kolejne cztery lata. Czy na końcu ktokolwiek będzie pamiętał, o co chodziło? Kłamstwo wybrzmiało już w przekazie publicznym i nic tego nie zmieni, tę regułę skutecznie wykorzystują przeciwnicy Ojca Dyrektora. Nie mamy czasu na angażowanie sił i środków w takie bezowocne działania. Chcąc wyprostować wszystkie krążące o nas bzdury i manipulacje, musielibyśmy nie robić niczego innego, tylko chodzić po sądach. Jesteśmy przekonani, że prawda obroni się sama. I skoro tylu ludzi nam ufa, chce nas słuchać, oglądać, wspierać, to znaczy, że tak właśnie jest.

Mam poczucie, że ten ciągły, trwający wiele lat bezpardonowy, agresywny atak na Ojca Dyrektora odniósł skutek przeciwny do założonego i Polacy już rozumieją, że jest on elementem walki z tą częścią społeczeństwa, która wyznaje wartości głoszone przez Radio Maryja i telewizję Trwam. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Biegnąc do sławy

postępującej agresji III Rzeszy, oboje zostali ewakuowani do Uzbekistanu. Poznali się w Samarkandzie, szybko zostali parą. W 1946 r., oboje z córką, która niedawno przyszła na świat, przeprowadzili się do Warszawy.

Wspólnie wychowywali ją przez sześć lat. Po rozwodzie Irena została z mamą, pracowniczką Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Mieszkały w jednym z bloków na Muranowie, flagowej inwestycji planu pięcioletniego. Ojciec, inżynier akustyk, wykładowca akademicki w Polsce i Szwecji, współpracował z kinematografią.

„Ciemnowłosa, wysoka i chuda niczym tyczka, powściągliwa, wiecznie z głową w książce – zapamiętała uczennicę Kirszenstein Marta Możdżyńska, jej koleżanka ze szkoły podstawowej. – Nie przypominam sobie, aby garnęła się do sportu. Przeciwnie – w dwa ognie czy siatkówkę grywała niezbyt chętnie. A zimą na prowizorycznym lodowisku osiedlowym, gdzie usiłowaliśmy kręcić na łyżwach piruety, właściwie nie bywała. Wyróżniała się za to pilnością w nauce, czego konsekwencją był status klasowej prymuski”.

CZWARTKI LEKKOATLETYCZNE

Według legendy o zainteresowaniu lekkoatletyką zdecydował... stoper. Na sprinterskim sprawdzianie z biegu na 60 m – pierwsza klasa liceum im. Jarosława Dąbrowskiego – nauczycielka WF zrazu uznała, że czas uzyskany przez uczennicę wynika z awarii sportowego chronometru. Dla pewności, kiedy Irenka odsapnęła, pedagog nakazała jej przebiec dystans ponownie. Uczyniła to jeszcze szybciej, toteż dostała skierowanie do Polonii Warszawa. Temu klubowi pozostała wierna.

„Wraz z grupą klubowych weteranów walczyłam o utrzymanie bieżni na stadionie Polonii, ale nasze wysiłki okazały się bezowocne. Przeważył głos lobby piłkarskiego, no i piłkarze zawłaszczyli cały stadion. Najgorsze zaś, że Warszawa nie ma dziś w ogóle reprezentacyjnego obiektu lekkoatletycznego, na którym dałoby się przeprowadzić mistrzostwa świata lub Europy. Władze miasta nie zaakceptowały gotowych już projektów takiego stadionu na terenie Skry, a także Warszawianki. [...] Nie przewidziano też bieżni na Stadionie Narodowym. W porównaniu z innymi stolicami europejskimi Warszawa wygląda pod tym względem fatalnie. Bardzo mnie to martwi” – mówiła Szewińska w roku 2008.



Tomasz Zbigniew Zapert

Siedem medali olimpijskich, 12 rekordów świata, 10 razy na podium mistrzostw Europy. To tylko ułamek osiągnięć Ireny Szewińskiej, zmarłej 29 czerwca w wieku 72 lat

Leningrad (ZSRS). Tak wypełniono rubrykę „miejsce urodzenia” w jej pierwszym dowodzie osobistym. Kiedy przyszła na świat – 24 maja 1946 r. – miasto nad Newą wracało do życia po wojennej blokadzie. Niemcy oblegali je niemal przez 900 dni, a obrońcy – zgodnie z wykładnią Stalina – nie mogli kapitulować, co sprawiło, że życie straciło ok. 2 mln osób. Od ostrzału, bombardowań, głodu, mrozu, epidemii...

Wątpliwe, by rodzice przyszłej ikony lekkiej atletyki się spotkali, gdyby nie

II wojna światowa. Ojciec, Jakub Gustaw Kirszenstein, pochodził z Warszawy. Jesienią 1939 r. zbiegł na wschodnią stronę linii demarkacyjnej rozgraniczającej dwa totalitaryzmy, które właśnie podzieliły między siebie obszar II RP. Będąc z pochodzenia Żydem, uznał, że pod okupacją sowiecką szanse na ocalenie ma znacznie większe. W ZSRS studiował inżynierię. Matka, Eugenia z domu Rafalska, należała do przedstawicieli kolonii polskiej w Kijowie. Jako jedną z niewielu ominęły ją bolszewickie represje. Jesienią 1941 r., wobec

W epoce małej stabilizacji narybek w biegach, skokach i rzutach wyławiano podczas Czwartków Lekkoatletycznych – cyklicznej imprezy dla młodzieży, której patronował „Express Wieczorny”. Finałowe zmagania tych zawodów nierzadko obserwował z trybun Jan Mulak, główny twórca naszego lekkoatletycznego Wunderteamu wraz z jego gwiazdami: Elżbietą Duńską-Krzesińską, Zdzisławem Krzyszkowiakiem, Januszem Sidłą. Czy w długonogiej brunetce, regularnie pokazującej konkurencji plecy, dopatrzili się fenomenalnego talentu?

„Moim idolem była Wilma Rudolph. Amerykanka podczas olimpiady w Rzymie (1960 r.) wygrała oba biegi sprinterskie i stanęła na najwyższym stopniu podium wraz z koleżankami ze sztafety. Zyskała przydomek Czarna Gazela. Stała się dla mnie wzorem do naśladowania. O tyle, o ile było to możliwe. To znaczy chodziłam do kina Muranów, gdzie codziennie emitowano kronikę rzymskich igrzysk (relacji telewizyjnych jeszcze w Polsce nie było), pokazując także kolejne triumfy mego sportowego bożyszcza” – zwierzała się redaktorowi Andrzejowi Romanowi.

MEDALE PRZED INDEKSEM

Nie zdawała sobie jeszcze wówczas sprawy, że za cztery lata ujrzy znicz olimpijski na własne oczy. Trzy miesiące przed wyjazdem do Tokio zdała maturę i dostała się na fakultet ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego. Indeks odebrała już w glorii medalistki. Trzykrotnej. W wieku 19 lat stała się postacią powszechnie rozpoznawalną. Jej fotografie zagostiły na okładkach prasy. Radio i telewizja zapraszały ją na wywiady. Bohdanowi Tomaszewskiemu opowiadała: – „Zanim zdecydowałam się biegać, próbowałam sił w skoku wzwyż. Z niezłym skutkiem, bo wynikiem 156,5 cm ustanowiłam rekord kraju w kategorii młodziczek. Ale w końcu bieżnia wzięła górę. Tam widzę swoje miejsce. Także na tej wiodącej do boiskowej piaskownicy”.

Ze skokiem w dal kilka lat później musiała się jednak rozstać na skutek urazu. Startowała już wtedy pod nazwiskiem męża. Poślubiła czterystumetrowca Janusza Szewińskiego. Pomagał jej w treningu (trenowali ją także Jan Kopyto i Gerard Mach) oraz uwieczniał w kadrze, bo został fotoreporterem „Przeglądu Sportowego”.

Drugi występ olimpijski (Meksyk 1968), chociaż okraszony dwoma laurami

– i rekordem świata na 200 m – wywołał także falę krytyki. Podczas biegu półfinałowego sztafety 4 x 100 m upuściła pałeczkę i nasz żeński kwartet zdyskwalifikowano. W kraju usiłowano wykorzystać to instrumentalnie. Ukoronowaniem nagonki na zawodniczkę stał się telewizyjny reportaż (?) Eugeniusza Pacha pt. „Porażka idola”, wpisujący się w klimat tamtych czasów.

Spreparowane wypowiedzi sztafetowych koleżanek Szewińskiej sugerowały, że pałeczkę zgubiła świadomie, ponieważ rywalizacja zespołowa kolidowała z jej przygotowaniami do występów indywidualnych. Wyjaśnienia „obwinionej” też poddano manipulacji, toteż jej obrona wyglądała nieprzekonująco. W rezultacie skłócono sztafetę i pojawiły się głosy odmawiające Szewińskiej prawa do reprezentowania Polski (sic!). Zarazem jednak hołdy piórem składał jej Wiech, Tadeusz Kubiak zadedykował jej wiersz pt. „200 metrów”, Józef Cyrankiewicz ofiarował talon na samochód, a władze Warszawy przyznały mieszkanie na osiedlu Za Żelazną Bramą.

NUMER JEDEN NA ŚWIECIE

Schyłek dekady lat 60. był dla niej przykry również z innego powodu. Otóż rozsierzeni hegemonią polskich sprinterek lekkoatletyczni działacze z NRD i ZSRS uknuli pseudomedyczną intrygę, w której następstwie zmuszono do zakończenia kariery sportowej Ewę Kłobukowską. Następne miejsce na ich celowniku zajęła Szewińska. Jej kobiecość też została zakwestionowana. Zamknęła im usta, rodząc w 1970 r. syna Andrzeja, w przyszłości siatkarza, reprezentanta Polski.

Zapewne przerwa macierzyńska sprawiła, że na olimpiadzie monachijskiej (w roku 1972) wywalczyła zaledwie jeden medal. I to z najmniej cennego

kruszczy. Spekulacje o zmierzchu mistrzyni zamknęła, powróciwszy z czempionatu Starego Kontynentu z trzema medalami. W głosowaniu międzynarodowych agencji prasowych została uznana za najlepszego sportowca globu roku 1974. Ani wcześniej, ani później nikt z Polski nie dostąpił takiego zaszczytu.

Poszła za ciosem. Z Montrealu przyniosła olimpijskie złoto w biegu na 400 m. Inkrustowane rekordem świata.

Sportową metę minęła podczas swej piątej olimpiady. Moskwa 1980. Półfinał 400 m. Przegrana. Bardziej z urazem niż z konkurentkami...

„Spektakularnych triumfów Ireny by nie było, gdyby nie jej mrówcza pracowitość, niebywała ambicja i konsekwencja w działaniu” – akcentował Mulak.

Niebawem powiła drugiego syna (Jarosław – informatyk). W stanie wojennym władze PRL zaprosiły ją do Patriotycznego Ruchu Ocalenia Narodowego. Ponoć była to oferta nie do odrzucenia, w przeciwnym razie odebrano by koncesję handlową, zapewniającą rodzinie Szewińskich utrzymanie. Lekka atletyka w tamtej epoce nawet czempionom nie gwarantowała życia rentiera.

Do sportu wróciła w III RP. Przez trzy kadencje kierowała Polskim Związkiem Lekkiej Atletyki. Uświetniała kolejne igrzyska, częstokroć dekorując medalistów. Marzyła, by Polki znowu zaistniały w biegach krótkodystansowych. Od czterech lat zmagająca się z chorobą nowotworową. Jeszcze na początku czerwca pojawiła się na pikniku olimpijczyków...

Działała w komisji Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego nadzorującej przygotowania do igrzysk olimpijskich Tokio 2020. Tam zaczęła olimpijską przygodę i tam zamierzała ją zakończyć. Nie zdążyła. Śmierć była szybsza. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Najcenniejsze medale Ireny Szewińskiej

- **IO 1964 Tokio:** 200 m i skok w dal – srebro; 4 x 100 m (wraz z T. Cieplą, H. Górecką i E. Kłobukowską) – złoto
- **IO 1968 Meksyk:** 100 m – brąz; 200 m – złoto
- **IO 1972 Monachium:** 200 m – brąz
- **IO 1976 Montreal:** 400 m – złoto
- **ME Budapeszt 1966:** 100 m – srebro, 200 m, skok w dal i 4 x 100 m (wraz z E. Bednarek, D. Straszyńską i E. Kłobukowską) – złoto
- **ME Helsinki 1971:** 200 m – brąz
- **ME Rzym: 1974:** 100 m i 200 m – złoto, 4 x 100 m (wraz z E. Długotęcką, D. Jędrejek i B. Bakulin) – brąz
- **ME Praga 1978:** 400 m – brąz, 4 x 400 m (wraz z M. Gajewską, K. Kacperczyk i G. Błaszak) – brąz



Chrześcijański Hollywood



Agnieszka Niewińska

Film o sile Różańca, życiu św. Maksymiliana Kolbego czy Ignacego Loyoli – po latach suszy w kinach przybywa chrześcijańskich produkcji. Nie brakuje festiwali i cykli filmowych, pojawił się nawet serwis VOD z takimi obrazami

Adwokat diabła, czyli agent specjalny M.J., dostaje zadanie rozpracowania chrześcijan, dotarcia do kobiety, za sprawą której dokonuje się światowa rewolucja. „Mówią o Ojcu, Synu, Bracie. Jest z nimi także kobieta. Nazywają ją Matką” – instruuje go przełożona. Tak zaczyna się film hiszpańskiego reżysera Juana Manuela Cotelu „Mary’s Land. Ziemia Maryi”, który łączy fabułę z dokumentem. Agent M.J. dociera bowiem do ludzi – top

modelki, polityka, byłej prostytutki – którzy za sprawą Maryi odmienili swoje życie. – Pewien ważny człowiek w świecie kina powiedział nam: „Takie filmy nie powinny powstawać, nie powinno być ich w kinach. Ludzie nie będą chcieli go zobaczyć” – wspomina Andrzej Sobczyk, współtwórca grupy Rafael, wydawcy książek i dystrybutora religijnych filmów. – Na początku dostaliśmy po głowie. Jednak zdecydowaliśmy, że „Mary’s Land” wprowadzimy do kin.

Było ich tylko 20. Zazwyczaj im więcej mija czasu od premiery filmu, tym mniej jest kin, w których można film obejrzeć, ale w przypadku „Mary’s Land” było odwrotnie. Kina same dzwoniły do nas z prośbą o kopie – dodaje. W krótkim czasie z 20 zrobiło się 80. Film był wyświetlany przez rok w całej Polsce i choć – jak podkreśla Sobczyk – nie był promowany, to obejrzało go w kinach 150 tys. widzów, a DVD rozeszło się w sporym nakładzie. – To było dla nas olśnienie, nowy kierunek: film religijny! – tłumaczy Sobczyk.

„Mary’s Land” miał swoją premierę we wrześniu 2014 r. Dzisiaj Rafael promuje kilkanaście filmów rocznie, z tego część wprowadza do kin. Szuka propozycji za granicą, ściąga filmy z USA czy Meksyku, a także sam produkuje. I nie jest jedynym dystrybutorem tego typu obrazów, a polski widz, który szuka takiego kina, ma ostatnio w czym wybierać.



„Dwie korony” – dokument fabularyzowany o życiu św. Maksymiliana Kolbego obejrzało 200 tys. widzów FOT. MATERIAŁY PRASOWE

św. Maksymiliana Kolbego. Główną rolę zagrał Adam Woronowicz, a obok niego wystąpili m.in. Cezary Pazura, Artur Barciś, Antoni Pawlicki. Film obejrzało 200 tys. widzów. – To rekord na dokumencie fabularyzowanym od wielu lat. Dla mnie jednak większym sukcesem jest sprzedaż filmu do kin w kilkunastu krajach. To oznacza, że „Dwie korony” są najlepiej sprzedającym się filmem za granicą – mówi „Do Rzeczy” Michał Kondrat, reżyser filmu oraz dyrektor Kondrat-Media, firmy dystrybuującej filmy. – Dzięki temu wiele osób na świecie pozna historię życia wielkiego świętego i wielkiego Polaka. Dowiedzą się też, że w czasie wojny, ryzykując życie, ukrywał 300 rodzin żydowskich, którym zapewnił nawet możliwość obchodzenia świąt żydowskich – opowiada Kondrat.

Przygotowuje już zresztą kolejny film „Miłość i Miłosierdzie”. Zapowiada, że obraz ujawni niepublikowane dotąd listy ks. Sopoćki i inne dokumenty rzucające nowe światło na prawdę o Bożym Miłosierdziu. Przy realizacji filmu współpracuje z Amerykanami. – Najwięcej dobrze realizowanych chrześcijańskich produkcji wychodzi z USA, choć głównie zajmują się tym protestanci. To ten rynek jest najbardziej obserwowany, dlatego zdecydowałem się współpracować z amerykańskimi producentami, a mój najnowszy film zrealizowany zostanie głównie w języku angielskim. Także w USA będzie jego największa dystrybucja. Planujemy wejść do 500–600 kin – mówi Kondrat.

CZARNO-BIAŁY OBRAZ ŚWIATA

Ojciec Marek Kotyński, redemptorysta, teolog i filmoznawca, przyznaje, że w drugiej dekadzie XXI w., po latach kryzysu, w kinach zaczęło się pojawiać coraz więcej religijnych obrazów. Zaznacza jednak, że kino religijne nie jest niczym nowym. – Pierwszy film religijny, „Życie i męka Jezusa Chrystusa”, powstał dwa lata po wymyśleniu przez braci Lumière kinematografu – mówi. – Lata 60. obfitowały wręcz w kino religijne. W Stanach Zjednoczonych to czas tzw. kolosali (z ang. colossal movies) – wysokobudżetowych, wielkich produkcji w rodzaju „Kleopatry” z Elizabeth Taylor. Nakręcono także religijne „kolosale” – choćby „Dziesięcioro przykazań” (1956) Cecila B. DeMille’a z Charltonem Hestonem w roli Mojżesza. We Włoszech z kolei w 1964 r. powstał słynny film Piera Paola Pasoliniego „Ewangelia według Mateusza”.

I choć reżyser był niewierzącym komunistą oraz homoseksualistą, to obraz znalazł się na watykańskiej liście tych, które warto obejrzeć. W kolejnych dekadach nastąpił kryzys w kinie religijnym ze względu na zeświecczenie społeczeństw – zwłaszcza w Europie. Filmy religijne nie zniknęły jednak całkowicie, niektóre były tworzone dzięki finansowemu zaangażowaniu Kościoła – mówi redemptorysta.

Podkreśla, że dzisiaj, choć wśród chrześcijańskich filmów są superprodukcje, takie jak „Milczenie” Martina Scorsese, najczęściej do kin trafiają „Christian movies” – filmy produkowane w kręgach protestanckich, zazwyczaj niskonakładowe, robione przez nieznaną szerzej twórców. – Sami chrześcijanie głoszą za produkcją takich filmów, kupując na nie bilety. Coś się dzieje w świadomości ludzkiej, że w tym wypuszczonym świecie postnowoczesnym zaczyna brakować nam ducha, nadprzyrodzonego. Człowiek zaczyna szukać transcendencji. Nikt przecież nie chodzi do kina na siłę – mówi o. Kotyński. I podaje przykład filmu „Bóg nie umarł” z 2014 r. – Kosztował ok. 2 mln dol. To głodowy budżet jak na amerykańskie warunki, ale ten film zarobił już ponad 62 mln dol. Okazało się, że na takich filmach można zarobić, więc producenci decydują się na inwestowanie w kolejne.

Michał Kondrat zwraca jednak uwagę, że w dobie komercyjnych megaprodukcji dzisiejszy widz oczekuje dobrego poziomu filmów. – Dlatego ważne jest, by producent potrafił zaproponować widzowi ciekawą treść i atrakcyjną formę przekazu – podkreśla.

A z tym nie zawsze jest najlepiej. Krytycy chrześcijańskich produkcji często i nie bez racji zarzucają im schematyczność, jednomyślny scenariusz, słabą grę aktorską.

Ojciec Kotyński także zwraca uwagę, że wiele filmów – zwłaszcza protestanckich, tworzonych z myślą o ewangelizacji – prezentuje czarno-biały obraz świata i pozostawia wiele do życzenia pod względem technicznym czy artystycznym. – Mimo to wielu z nich bronię, choć oczywiście uważam, że trzeba podnosić ich poziom. Zwracam jednak uwagę na przesłanie. To ono jest najważniejsze. Kino musi nas wprowadzać głębiej w rzeczywistość, zmuszać do myślenia. Nie ma przecież człowieka, który nie stał się przed pytaniem o Boga. Nagradzany

Filmy religijne można zobaczyć najczęściej w kinach studyjnych, ale na pokazanie niektórych produkcji decydują się także multipleksy. Tylko w ostatnich miesiącach na dużym ekranie można było obejrzeć m.in. biograficzny obraz „Ignacy Loyola” oraz „Moją miłość” – opartą na faktach opowieść o Rachel Scott – ofierze strzelaniny w Columbine High School, do której doszło w 1999 r. Film powstał w oparciu o pamiętniki Scott, która w szkole była wyśmiewana, bo publicznie mówiła o tym, że jest chrześcijanką. W marcu do kin trafił fabularyzowany dokument o ks. Władysławie Gurgaczu, jezuitcie, skazanym na śmierć kapelanie Polskiej Podziemnej Armii Niepodległościowej, który nawracał w najczarniejszych latach powojennej Polski.

W październiku ubiegłego roku swoją premierę miał fabularyzowany dokument „Dwie korony” o życiu

„Hannibal” z Anthonym Hopkinsem to film świetnie zrobiony, kapitalnie zagrany, z fantastycznymi zdjęciami, muzyką. Jednak o czym on opowiada? O człowieku, który łyżeczką wyjadał mózg innej osoby. Oczywiście kino jest robione także dla zabawy. Filmy akcji, thrillery mogą być doskonałą rozrywką, ale przecież nie można ograniczyć się tylko do takiego kina. Film ma służyć człowiekowi w refleksji, pomóc w dotarciu do duchowej głębi rzeczywistości.

Andrzej Sobczyk także nie ma wątpliwości, że kino chrześcijańskie powinno prezentować coraz wyższą jakość. – Jesteśmy do tego zobowiązani. Każdy produkowany przez nas film ma większy budżet, większą ekipę, jest robiony za pomocą lepszego sprzętu. Czasem jednak także produkcje niskobudżetowe, źle ocenione przez krytyków przynoszą efekty. Widziałem, jak młodzi ludzie reagowali na „Karolinę” o bł. Karolinie Kózkównie. Ten film do nich dotarł, sam słyszałem nastolatków dyskutujących o życiu w czystości. Krytycy surowo potraktowali ten obraz, ale dla wielu młodych ludzi był on malutkim ziarenkiem wiary.

JEDEN FILM, WIELE DARCYŃCÓW

W przypadku polskich produkcji dużą barierą są pieniądze. Twórcy finansują je z zysków z poprzednich filmów czy z dystrybucji, szukają sponsorów i koproducentów. Produkcja w międzynarodowej ekipie ułatwia dystrybucję filmu w kilku krajach naraz, co zwiększa dochody, a te można przeznaczyć na kolejny film. Producenci do finansowania filmów zachęcają także indywidualnych darczyńców. Rafael, by móc finansować produkcję, założył stowarzyszenie.

– Produkujejmy jeden film rocznie. To jest nasze działanie ewangelizacyjne. Mówimy ludziom, jaki chcemy stworzyć film, i pytamy, czy nie zechcieliby nam pomóc. Tak zgromadziliśmy fundusze np. na film o potężnej Różańca „Teraz i w godzinę śmierci”, realizowany na wszystkich kontynentach – opowiada Sobczyk. W tym roku Rafael w koprodukcji z Hiszpanami tworzy film o przebaczeniu: „Największy dar” w reżyserii wspomnianego już Cote-lo. W ramach internetowej zbiórki blisko 3 tys. darczyńców przekazało do tej pory prawie 250 tys. zł.

Zbiórkę publiczną na produkcję filmu poprzez Fundację Filmową im. św. Mak-

symiliana Kolbego prowadzi także Kondrat Media, choć dyrektor firmy zwraca uwagę, że ludzie częściej przeznaczają darowizny na cele dobroczynne, a nie na ewangelizację przez film. – Dla wielu nadal niezrozumiałe jest, że świat bar-

Budżety polskich produkcji religijnych będą rosnąć, bo projekcje wyszły z przykościelnych salek i trafiły do sal kinowych

dziej potrzebuje nawrócenia niż pomocy charytatywnej. Szkoda, bo jeden dobry film może zrobić lepszą robotę niż wiele parafii czy programów społecznych. Człowiek, który się nawraca, najczęściej zaczyna służyć w jakiś sposób innym, więc jest to korzyść nie tylko dla niego, lecz także dla społeczeństwa, w którym żyje – uważa Kondrat.

Budżety rodzimych produkcji religijnych będą się jednak zwiększać, bo projekcje wyszły z przykościelnych salek. Ci, którzy do kina mają daleko albo przegapili jakiś film, mogą za kilka złotych sięgnąć do serwisu VOD „Kino pod Aniołem” z religijnymi produkcjami. Legalnie zakupiony film zasila portfele twórców. Corocznie odbywa się w Polsce kilka dużych festiwali filmu religijnego, choćby Dni Filmu Religijnego „Sacrofilm” w Zamościu, Festiwal Filmów „Niepokalanów” we Wrocławiu. W 2017 r. w ramach drugiej edycji Festiwalu Arka projekcje odbywały się w ośmiu miastach. Kina – zarówno te komercyjne, jak i mniejsze, działające w ramach ośrodków kultury – proponują cykliczne spotkania z filmem religijnym. Nie tylko w dużych miastach, lecz także w mniejszych ośrodkach – Radomiu, Kluczborku, Wodzisławiu.

Ojciec Kotyński w Warszawie prowadzi aż trzy chrześcijańskie cykle filmowe: w kinach Praha i Wisła oraz w Katolickim Centrum Kultury „Dobre Miejsce”. Na brak widzów nie narzeka. Na niektórych pokazach 300-osobowe sale są wypełnione po brzegi, a nawet trzeba dostawić setkę krzeseł dla kolejnych zainteresowanych. Po projekcji o filmie można porozmawiać. – Prowokuję widzów do dyskusji, zadaję trudne pytania, żeby zainspirować ich

do myślenia. Wtedy dopiero film zaczyna działać, mówić do człowieka, chodzić za nim przez kolejne tygodnie – tłumaczy. I dodaje, że niektórych filmów nawet nie powinno się zostawiać bez komentarza. – Ostatnio zaproponowałem widzom protestancki film „Maria Magdalena”, który swoją premierę miał w tym roku. Pod wieloma względami to świetnie zrobiony obraz: bardzo dobre zdjęcia, kostiumy. Kapitalna jest scena, w której Jezus uzdrowia Łazarza: kładzie się obok niego i wpuszcza w jego usta swoje tchnienie. Wykorzystuje też wiele innych niekonwencjonalnych środków wyrazu. W pewien sposób promuję ten film, choć można się przyczepić do przedstawianych w nim faktów. W filmie tym Maria Magdalena chrzci na lewo i prawo, podobnie jak apostołowie i Pan Jezus, choć w Ewangeliach nigdzie nie jest napisane, że Jezus kogokolwiek ochrzcił. Magdalena wychodzi tu na jedyną osobę, która cokolwiek pojęła z Ewangelii, a apostołowie wręcz na głupków. Przesłanie Jezusa jest niejasne, rozmyte. Nie pojawia się żadna przypowieść, Jezus mówi mgliście o wyborze między światłem a ciemnością i z tych względów po projekcji trzeba o tym koniecznie porozmawiać.

CUDA NA PLANIE

– Widzami kina religijnego są zarówno ludzie mocno osadzeni w Kościele, jak i ci, którzy do świątyni by nie zajrzeli, a do kina owszem – mówi Andrzej Sobczyk. I dodaje, że w przypadku tych ostatnich dobrze zrobiony film potrafi odegrać ważną rolę. – Widzieliśmy już cuda i nawrócenia na planie filmowym. Niedawno do naszego biura w Krakowie przyjechało małżeństwo z Poznania. Tylko po to, by podziękować nam za film. Okazało się, że dziewczyna funkcjonowała w świecie wiary, a jej mąż nie – do czasu, aż nie poszedł na jeden z naszych filmów. Opowiadał, że podczas projekcji coś w nim pękło, przeżył nawrócenie, film nadał temu rozpędu. Dla nas to był kolejny dowód, że warto takie filmy robić.

Ojciec Kotyński zaznacza jednak, że sam film nie może nikogo nawrócić. – Podobnie jak człowiek, nawet ksiądz – mówi. – Nawraca tylko Bóg, ale film może się stać jego narzędziem. Wszystko w życiu jest po coś. Sztuka, kultura pokazują nam, że świat dookoła jest językiem, przez który Bóg do nas mówi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. GRAŻYNA WISŁIŃSKA / FORUM

Kogo boli Mróz



Piotr Gociek

Czytelnicy sięgają po nowe książki Remigiusza Mroza, a jego pisarska konkurencja kłóci się o to, czy wyjątkowo płodny autor szkodzi polskiej literaturze

Precyzując: spór dotyczy raczej tego, czy Remigiusz Mróz szkodzi polskim czytelnikom. „Zalał mnie wkurw!” – napisał do Mroza w liście otwartym inny pisarz, Jakub Ćwiek, biorąc pod lupę powieść „Nieodnaleziona”. Cały list liczył kilka stron, pozwolę więc sobie w skrócie opowiedzieć, czego dotyczy główny zarzut. Zdaniem Ćwieka autor piszący o problemie tak ważnym jak przemoc domowa powinien potraktować ten temat poważnie i odpowiednio się do tego przygotować. Zwłaszcza autor tak popularny jak Mróz, który czytany jest przez setki tysięcy odbiorców, bo wielka popularność to wielka odpowiedzialność. Zatem nie klisze i uproszczenia, z których znany jest opolski autor, nie schematy, lecz takt i mądrość. Tymczasem... „Z czego te książki mają powstawać, czym się łądować, skoro nie miałeś czasu ani nazbierać doświadczeń w tematach, które teraz pracowicie przetwarzasz, ani nawet nie masz czasu na wytchnienie, by mózg czasem po prostu myślał, miał pomysły, dał im mutować, dał coś odrzucić? By, cholera jasna, odpoczął?” – atakował Ćwiek.

Tymczasem skoro Mróz sprawy nie traktuje poważnie, to poszkodowani są czytelnicy, bo zamiast zmądrzeć po lekturze, będą nadal myśleć schematami. Dlaczego Mróz nie traktuje sprawy poważnie? Bo pisze za dużo – sześć książek rocznie. I zamiast dać sobie czas na życie, na zdobycie doświadczenia, na przemyślenie rozmaitych spraw, co przyniosłoby wyższą jakość jego pisarstwa, korzysta jedynie z Google researchu. „Diabeł tkwi w szczegółach, a te szczegóły biorą się z rozmów z ludźmi, którzy przestają być dzięki temu statystyką. Z drobnych opowieści o narastającym lęku, beznadziejności, o tym, jak działa przemoc ekonomiczna, seksualna i tak dalej. Wiedziałybyś to, i jestem pewien, wprowadził do książki, gdybyś nie wpadł w nierealny wir pracy” – argumentuje Ćwiek.

Tym samym ostrze ataku przenosi się z troski o ofiary przemocy domowej i dobro polskiego czytelnika na coś, co jest sednem „projektu Mróz” – tempo, częstotliwość i typ pisanych przez autora „Nieodnalezionej” książek. Jakub Ćwiek nie jest zapewne jedynym pisarzem, który zgrzyta zębami, widząc, jak rosną nakłady i liczba fanów Mroza. Czym jest „projekt Mróz”? Dla tych, którzy nie wiedzą, krótkie wprowadzenie.

„PROJEKT MRÓZ”

Remigiusz Mróz pojawił się na rynku w roku 2013. W pierwszych książkach szukał dopiero konwencji, w której sprawdzi

■ się jako autor bestsellerów. „Wieża milczenia” była thrillerem, „Turkusowe szale” – powieścią wojenną skrzyżowaną z kryminałem, „Chór zapomnianych głosów” – fantastyką, a „Prędkość ucieczki” – początkiem trylogii wojenno-szpiegowskiej.

Przełom nastąpił w roku 2015, który przyniósł początek dwóch najpopularniejszych jak dotąd kryminalnych cykli Mroza – serii z prokuratorem Joanną Chyłką i serii z komisarzem Forstem. Jednocześnie Mróz pisał inne książki. Do dziś wydał ich 28 – imponujący wynik jak na sześć lat obecności na półkach księgarskich. Do trzech z nich przyznał się dopiero w 2017 r. – chodzi o trylogię z Wysp Owczych, czyli podróbkę skandynawskiego kryminału wydaną pod pseudonimem Ove Løgmansbø.

„W wywiadach i na forach powraca zarzut, że może Remigiusz Mróz to twarz spółdzielni autorskiej, bo to niemożliwe, by jedna osoba pisała tak wiele” – przypominała dwa lata temu „Wyborcza”, która uhonorowała rosnącą popularność młodego pisarza obszernym wywiadem. W innej rozmowie, dla „Polska The Times”, Mróz objaśniał sekret swej produktywności: „Mam wyznaczone godziny pracy, pracuję od dziewiątej do czternastej, potem robię przerwę, a później znów pracuję. I powtarzam to przez 365 dni w roku. W tym tkwi cała tajemnica”.

Używam w tym tekście sformułowania „projekt Mróz”, bo z tym właśnie mamy do czynienia. Inteligentny, ambitny i pracowity opolanin, z wykształcenia prawnik, zabierając się do tworzenia książek, miał jasno określony cel. Po pierwsze, utrzymywać się z pisania. Po drugie, stworzyć rozpoznawalną i lubianą przez czytelników markę, na tyle silną, by wyrwać się z zależności od gustów i planów wydawców. Rosyjski tłumacz pochodzenia gruzińskiego, Grigorij Szałwowiecz Czchartiszwili, swego czasu postanowił zaplanować i zrealizować „projekt B. Akunin” i powiodło mu się nadspodziewanie. Oczywiście Akunin jest dużo lepszym pisarzem od Mroza, niesłychanie wytrawnym erudytą, świetnym stylistą, ale tworząc swoje pisarskie alter ego, także musiał pracować bardzo szybko, wedle precyzyjnego planu, próbując się wstrześcić w gust zdefiniowanej odpowiednio grupy czytelników. Akunin chciał wypełnić lukę między literaturą wysoką a tandetną rozrywką, celował więc w odbiorcę, który doceni jego postmodernistyczne gry, wykształconego, oczekującego, że autor nie będzie obrażał jego inteligencji. Mróz tymczasem postanowił zostać królem taniej

paperbackowej rozrywki made in Poland i to mu się w kilka lat udało.

MRÓWKA MOŻE WIĘCEJ

Czy taka pracowitość i produktywność pisarska są czymś niezwykłym? Niespecjalnie, ale trzeba pamiętać, że w ogóle trudno tu o jakieś reguły. Są pisarze popularni, którzy wzdychają: „Ach, napisać jedną dobrą stronę dziennie, to byłby sukces”. Z kolei Quentin Tarantino czy Luc Besson potrafili napisać scenariusze swoich filmów w kilka tygodni. Stephen King, którego Mróz jest wielkim fanem, regularnie wydaje po dwie książki rocznie, bywało, że i trzy, a oprócz tego znajduje czas na pisanie opowiadań, esejów oraz książek, których... nie zamierza publikować. Przyznał kiedyś, że część swojej produkcji uznaje po prostu za niegodną wysłania do wydawcy.

Nieżyjący już autor kryminałów John MacDonald napisał w pół roku trzy pierwsze tomy swojego najświeższego cyklu o detektywie Travisie McGee. Wydawcy zależało bowiem na tym, żeby wydawać je w krótkich odstępach czasu i w ten sposób ugruntować pozycję nowego cyklu na rynku. Groszowi pisarze pracujący w pocie czoła w erze magazynów pulpowych pisywali czasem jedno opowiadanie tygodniowo, czasem więcej. Osobny przypadek to ci autorzy, którzy idą tropem Aleksandra Dumasa i tworzą własną fabrykę pisarską, zatrudniając pomocników. Tak robi James Patterson, który sprzedaje już grubo ponad 300 mln egzemplarzy swoich książek. Jego ostatni pomagier robi wrażenie – to Bill Clinton, z którym napisał thriller „The President Is Missing”. I wiadomo, że niezależnie od jakości powieści mamy do czynienia z genialnym posunięciem marketingowym.

Remigiusz Mróz zdecydowanie nie jest polskim Stephenem Kingiem, bliżej mu do nadwiślańskiego odpowiednika Pattersona, tyle że dużo mniej zrzędnego. Bez wątplienia jednak wie o polskiej publiczności coś, czego nie wiedzą bardziej utalentowani i doświadczeni koledzy po fachu. Niezliczoną ilość razy słyszałem w ostatnich latach od poważnych wydawców, że życie książki w Polsce niepokojąco się skróciło. Kilka tygodni i już nowość jest zapomniana, wypycha ją z półek nadprodukcja kolejnych tytułów. Strategia Mroza jest tymczasem do tych warunków dopasowana idealnie. Ledwie czytelnik zdąży kupić i przeczytać jedną powieść, a tu już czeka następna.

Ci sami poważni wydawcy twierdzą, że dla autora jedna premiera rocznie to pomysł w sam raz, a dwie rocznie to już lekkie

ryzyko, bo za mało jest czasu na wypromowanie tytułu i wzrasta niebezpieczeństwo przesyty. Mróz nic sobie z tych rad nie robi, jego maszyna produkcyjna pracuje nieprzerwanie. Przerwy między swoimi książkami wypełnia... swoimi innymi książkami. Nie jest osamotniony w swoich działaniach. Spójrzmy na autorkę bestsellerów dla pań, Katarzynę Michalak. W ciągu minionych 11 lat wydała 37 książek.

Czytelnicy doceniają największe mróweczki polskiego rynku wydawniczego i tłumnie głosują własnymi portfelami. Zaś Remigiusz Mróz nie kryje satysfakcji, że utarł nosa wydawcom. „Kiedy zgłosiłem się do wydawców z »Kasacją«, wszędzie słyszałem, że historia jest ciekawa, ale w naszym kraju nikt nie będzie chciał czytać thrillerów prawniczych pisanych przez Polaka” – opowiadał „Wyborczej”. Grisham? Jak najbardziej, ale rodzimy autor odpada. Kiedy seria rozeszła się w milionie egzemplarzy, kilka osób pewnie zmieniło zdanie.

CO KOMU SZKODZI

Czy to dobre książki? Nie. Tylko poczytne, i to bardzo. Zatem co jeszcze wie Mróz o polskich czytelnikach? Na pewno to, że lubimy te piosenki, które już znamy, nie kombinuje z nadto, sięga po sprawdzone schematy literatury popularnej. Pisz prościutkim językiem. Pytany, jak konstruuje psychologiczne portrety bohaterów, odpowiada: „W ogóle tego nie robię. Wprawdzie byłoby to z pewnych względów wygodne, ale w moim przypadku zupełnie bezcelowe”. Kokietuje też, wmawiając dziennikarzom, że nie szuka chwytliwych „bieżących” tematów. „Nie można »nadpisywać« historii, myśląc o tym, co by się sprzedało, co by wywołało szok, co by się wpisało w aktualne trendy. Pewnie, zawsze coś jest na topie w mediach, zawsze czymś żyje opinia publiczna i zawsze można starać się to wyeksponować. Wydaje mi się jednak, że uczciwość sprowadza się do tego, aby pisać to, co się naprawdę chce opowiedzieć” (obydwa cytaty za „Polska The Times”). Tymczasem w jego książkach ta bieżączka oczywiście jest uproszczona, spłycona, ale jest. Stąd przecież atak Jakuba Ćwika na Remigiusza Mroza, od którego zacząłem ten tekst – że za aktualny temat, czyli przemoc domową, zabrał się bez odpowiedniego przygotowania.

Remigiusz Mróz jest silny słabością swoich konkurentów. Tak jak Patryk Vega w polskim kinie. Kto narzeka na to, że filmy Vegi to półprodukty, ten ma rację. Równie dobrze mógłby narzekać, że

w sieci McDonalds nie serwują wołowiny po burgundzku. Mróz, podobnie jak Vega, odkrył, co trafia w gust polskiego masowego odbiorcy, i konsekwentnie to serwuje. Komu ten gust się nie podoba (nie powiem, żebym był zachwycony, ale nie odmawiam nikomu prawa wyboru), ten niech najpierw odpowie na dwa pytania. Po pierwsze: Kto dotąd ten gust kształtował? Po drugie: Czy przypadkiem nie jest tak, że zamiast kształtować, ignorował?

Ciekawą odpowiedź na gniewny list Ćwieka odsądający Mroza od czci i wiary wystosował popularny autor kryminałów retro Marcin Wroński. „Mróz nie potrzebuje nikogo poza swoimi fanami, dlatego idealnie odnalazł się w roli producenta fabuły w basic Polish” – zauważył, dodając, że oczekiwanie od niego treści ważkich jest absurdalne, bo Mróz jest jak polityk, który mówi swoim wyborcom tylko to, co chcą usłyszeć. Kolejny cytat jest ważniejszy: „Polski kryminał pierwszej dekady XXI w. prostego człowieka miał w pogardzie. Marek Krajewski faszerował swoje powieści nikomu nieznaną łaciną, ja ozdabiałem styl, a Zygmunt Miłoszewski z wykpiwania statystycznego Polaka uczynił swoje crème de la crème”. Wroński przytomnie argumen-

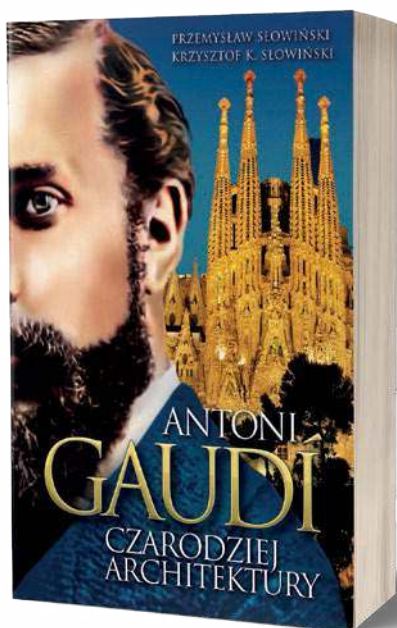
tuje, że w tej sytuacji pojawienie się Mroza lub kogoś takiego jak on było nieuchronne. „Człowiek prosty nie musi już czytać pulpy importowanej z Zachodu, bo ma raz na dwa miesiące naszą własną, polską” – puentuje.

Polski kryminał czy thriller po roku 1989 był – i nadal w dużym stopniu jest – zwichrowany, przesadnie wydumany albo daleki od rzeczywistości. Autorzy uciekali w retro albo w pastisz. A przecież początek był znakomity, proszę sobie przypomnieć książki Waldemara Łysiaka z początku lat 90. Cóż, przez centra dystrybucji prestiżu III RP Łysiak został uznany za oszołoma, a następnie przemilczany. Nic więc dziwnego, że o następców było trudno. Tutaj dochodzimy do kwestii politycznej. W centrum kryminału jest wymierzanie sprawiedliwości, opowiadanie się po stronie krzywdzonych. Krzywdzeni i poniżeni III RP byli obiektem szyderstw, a nie pasjonujących opowieści kryminalnych. Powiedzenie prawdy o tym, jak wiele fortun pochodzi z nieprawego łóża, jakie patologie trapią policję, służby, wymiar sprawiedliwości, było niepoprawne politycznie. Jakąż sensacją okazał się spóźniony i średnio udany „Układ zamknięty”, film Ryszarda Bugajskiego!

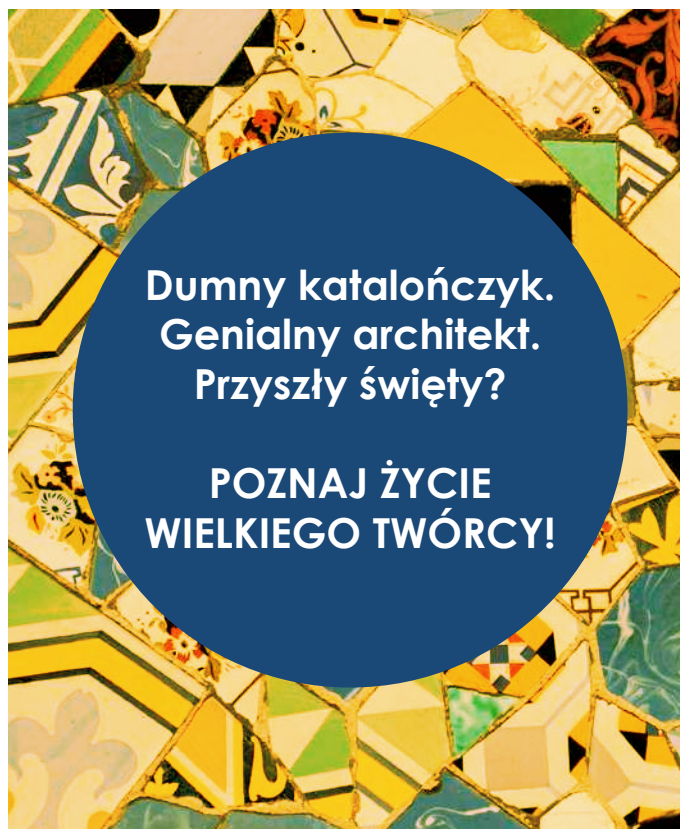
W tej sytuacji czytelnik masowy podjadający dania z importu różnej jakości zredukował swoje oczekiwania. A za rogiem czekał już Remigiusz Mróz, który ze swoją pulpą książkopodobną zaoferował bezpretensjonalną rozrywkę wszystkim zainteresowanym. Nie znaczy to, że jest jakimś mścicielem krzywd III RP. Wystarczyło, żeby nie był przesadnie nudny i ciężki jak Bonda, żeby nie kazał rozkochać się czytelnikowi w powieści „neomilicyjnej” (pamiętam milicję z PRL i każdemu, kto ją gloryfikuje, odpowiadam: „No pasará”), żeby nie wciskał czytelnikowi smutnych bzdur o tym, że kryminał ma być wehikułem ekspiacji za rzekomy wrodzony polski antysemityzm.

Kultura masowa III RP nie wydała swojego Borysa Akunina ani Lee Childa, musi więc zadowolić się Remigiuszem Mrozem, płacząc i zgrzytając zębami niczego tu nie zmienia. A autor bestsellerów z Opola na lamenty nad upadającym czytelnictwem w Polsce odpowiada: „Najlepszą akcją promowania czytelnictwa jest w moim przekonaniu wydawanie ciekawych książek”. Można nie cenić jego bestsellerów, ale z tym zdaniem akurat trudno się nie zgodzić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



**Beletryzowana biografia
Antoniego Gaudiego**



REKLAMA

GRZEGORZ BRZOWICZ: Już w podtytule swojej książki „Retromania” piszesz, że „popkultura żywi się własną przeszłością”.

SIMON REYNOLDS: Kiedy w 2011 r. pisałem tę książkę, retromania osiągnęła zenit. O dziwo, było to najbardziej widoczne w muzyce alternatywnej. Hipsterzy żyli przeszłością, a wcześniej to oni tworzyli nowe, lepsze lub gorsze trendy, które otwierały nowe terytoria. Natomiast 8–10 lat temu muzycy ze środowisk alternatywnych wręcz obsesyjnie wyszukiwali na starych analogowych płytach retrobrzmienia, które dotąd nie zostały wyeksploatowane.

Co rozumiesz pod pojęciem „retromanii”?

W latach dwutysięcznych popkultura zajmuje się odgrzewaniem minionych epok. Stąd przy słuchaniu nowych nagrań mamy wrażenie, że kiedyś już słyszeliśmy tę „premierową” piosenkę. To jest rodzaj niekończącego się recyklingu. Zapomniane gatunki podlegają rewitalizacji i renowacji. Odchodząc od świata muzyki, wystarczy wspomnieć hollywoodzką manię produkowania nowych wersji przebojów kinowych czy ekranizację komiksów, które powstały nierzadko przed ponad pół wiekiem. Są też zabawki retro, jedzenie retro, retrowystrój wnętrz, retrodzwonki do telefonów, a nawet zauważalny jest popyt na retroporno.

Czy misja muzyki rockowej w kulturze popularnej już się skończyła?

Rock gitarowy zdecydowanie utracił nadrzędną rolę. Ten emocjonalny przekaz przestał oddziaływać, a w szerszym wymiarze rock przestał funkcjonować jako nośnik buntu. Jako postawa, którą należy zająć wobec świata. Mało która z dzisiejszych gwiazd buduje karierę na sprzeciwie wobec porządkowi społecznemu czy chce łamać obyczajowe bariery lub jakiekolwiek inne tabu.

Wszystko to, czym szokowała muzyka rockowa, jest obecnie bardziej szokujące, destrukcyjne i wściekłe w tym, co robi Donald Trump. Uosabiana przez niego prawica zachowuje się tak jak dawniej punkowcy. Do tego hasła głoszone przez środowiska muzyczne w rodzaju konieczności ochrony środowiska, spożywania zdrowego jedzenia itd. mają niewiele wspólnego z dawną postawą rockową, która sprowadzała się do stwierdzenia: „Pieprzę cały świat!”.



Z Simonem Reynoldsem,
brytyjskim krytykiem muzycznym
rozmawia Grzegorz Brzowicz

Rock to już muzeum



FOT. MICK HUTSON/REDFERNS/GETTY IMAGES

Co zatem może być dziś siłą napędową muzyki?

Jesteśmy na rozdrożu. Wiele osób szuka inspiracji w muzyce ambient czy New Age, czyli w muzyce, która pozwala słuchaczowi czuć się lepiej, która go chroni przed światem. To nie jest już rock and roll, który opluwał wszelkie wartości i niszczył kanony.

Kiedy byłem dzieckiem, moją ulubioną piosenką była „Smash It Up” („Rozwal to”) punkowego The Damned. Dzisiaj wybrzydki muzyków, którzy wyrzucali przez okna z pokoi hotelowych telewizory, wydają mi się idiotyczne. Oczywiście będąc w trasie koncertowej, znacznie prościej jest się upijać, szaleć z grupies, niż starać się zrozumieć, co się dzieje na świecie. Wiele z wyznaczników dawnego rock and rolla straciło dzisiaj na znaczeniu. Destrukcja przestała być użyteczna. Wówczas była wyznacznikiem wolności, dziś – raczej głupoty.

Jeszcze 20 lat temu rock był jedną z ważniejszych rzeczy w życiu młodych. Dzisiaj jest to kultura generacji przed emeryturą. Na okładkach nielicznych już pism muzycznych dominują gwiazdy w podeszłym wieku.

Dzisiaj wiele zjawisk kształtuje życie młodych ludzi. Ku memu zaskoczeniu ogromna rzesza z nich poświęca wielką uwagę jedzeniu. Dawniej muzycy, z którymi przeprowadzałem wywiady, byli albo na kacu, albo mieli narkotykowe zejście. Żywili się frytkami. Obecnie młodzież dyskutuje na temat różnic w warzeniu piwa czy gatunków whisky. Mam młodą koleżankę, która prowadzi blog o sake. Co jeszcze ciekawsze, opisując żywność czy napoje, używa tych samych słów, jakie wykorzystywałbym na określenie muzyki, która mnie poruszała.

Napisałeś, że ostatnim ekscytującym kierunkiem w muzyce popularnej był rave. Co było nowego w tej kulturze lat 90.?

Wszystko! Muzyka, kulturowe odniesienia, rytuały, narkotyki, a nawet taniec. Taniec został pozbawiony seksualności. Sprowadzał się do poruszania rękami wzniesionymi wysoko ponad głowę. Stał się formą ekspresji bardziej religijnej niż seksualnej, bo ruchy tułowiem i biodrami były nieistotne. Muzycznie rave przyniósł nowe, elektroniczne rytmy, rola basu została uwypuklona, ważniejsze były dźwięki słów niż

treść tekstu... Do tego muzyczną przeszłość wykorzystywano w całkiem nowych kontekstach. Przykładowo grupa Kaos wplotła do swojej kompozycji słowa Grace Slick z festiwalu Woodstock. Rozpoczynając w 1969 r. poranny koncert, wokalistka Jefferson Airplane rzekła: „Zobaczyliście grupy heavy, a teraz posłuchacie muzyki porannych maniaków”. Kaos wzięła tylko „Morning Maniac Music”, co idealnie pasowało do imprez rave, które trwały do wschodu słońca. Rave’owcy mieli gdzieś Woodstock. Za to głosili: „Jesteśmy nową, laptopową generacją. Nie czujemy żadnych więzi z hippisami, ale chcemy stworzyć własne lato miłości.” Takie podejście do tworzenia muzyki jest czymś odwrotnym niż retromania.

Piszesz, że obserwujemy zjawisko mody na vintage. Na tej fali powróciła płyta winylowa. Dla wielu osób „vintage” nie oznacza tylko „zabytkowy”, ale jest synonimem utraconej jakości. Amerykańskie dzinsy z lat 40. były mocniejsze niż dzisiejsze, płyta gramofonowa brzmi lepiej niż MP3.

Coś w tym jest, ale też nie do końca. Większość osób słucha dziś muzyki z sieci. Ten dźwięk jest głośniejszy. Jednak do wznowianych płyt winylowych dołączany jest kod umożliwiający pobieranie nagrań w tym głośniejszym zapisie cyfrowym. Jest moda na posiadanie winyli, ale nie jestem pewien, czy też na ich słuchanie. W Ameryce tylko połowa zakupionych płyt gramofonowych jest otwierana. Jesteśmy zbyt wygodni. Winyl jest bardziej sexy, ale słuchanie muzyki jest zdecydowanie łatwiejsze na słuchawkach lub z laptopa.

W najnowszej, ósmej książce opisujesz zjawisko muzyczne zwane glam rockiem. To też temat z przeszłości, a dokładnie z lat 70.

To książka o zjawisku, które wpłynęło nie tylko na muzykę, lecz także na estetykę lat 70. To było nowatorskie podejście do popkultury, które wywróciło ówczesne kanony. Pozostawiło po sobie wspaniałą muzykę, ale i wspaniałe artystyczne kreacje. I robił je niekiedy niekiedy dobrzy ludzie. Marc Bolan był notorycznym kłamcą, David Bowie grał z faszyzmem, manipulował widownią i źle traktował współpracowników, Steve Harley wykorzystywał muzyków,



SIMON REYNOLDS
„RETROMANIA”
KOSMOS KOSMOS

Gary Glitter był obleśnym typem – ale to oni powodowali, że lata 70. były tak ekscytujące. Do tego muzycy – dodajmy jeszcze takie gwiazdy, jak Alice Cooper, Brian Eno czy bracia Mael z zespołu Sparks – dawali wspaniałe wywiady. Nie przypadkiem w tamtym okresie w Anglii były cztery tygodniki muzyczne, które sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy.

Czy w latach dwutysięcznych nie wydarzyło się nic interesującego?

Muzycznie niewiele, natomiast zmieniła się sfera konsumpcji i dystrybucji muzyki. Staliśmy się ofiarami błyskawicznego dostępu i szerokiej wymiany danych w dziedzinie kultury. Nie tylko przeżywamy obsesję na temat przeszłości, lecz także mamy łatwy dostęp do tejże przeszłości. Słuchanie muzyki z nośników analogowych wymagało skupienia, co przekładało się na szacunek dla artysty. Muzyka była utożsamiana z rzeczą materialną – płytą gramofonową czy kaseta. Płyty się kolekcjonowało, dbało się o nie. Gigantyczny, błyskawicznie dostępny strumień muzyki zapisanej w plikach MP3 przestał być dla słuchacza doznaniem artystycznym. Muzyka jest dziś czymś tak powszechnym jak woda w kranie. Nie zabiegamy o nią. Włączamy jeden z portali, wpisując tytuł piosenki, a potem sieć samodzielnie dokonuje za nas wyboru muzyki. Do tego dźwięk, którego słuchamy, został tak fabrycznie skompresowany, zredukowany, by dobrze zabrzmiał na iPodach, głośniczkach komputerowych czy smartfonach. To wszystko jest przerażające, ale wciąż wierzę, że przed muzyką popularną jest jeszcze przyszłość.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Simon Reynolds – brytyjski krytyk muzyczny. Pisał w najważniejszych pismach muzycznych („Melody Maker”, „Spin”, „Rolling Stone”, „The New York Times”, „The Village Voice”, „The Guardian”, „The Wire”). Jest autorem ośmiu książek, w tym dwóch wydanych w Polsce („Podrzyj, wyrzuć, zacznij jeszcze raz” i „Retromania”).



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Ze szczytu na dno

Gdyby Whitney Houston nie istniała, dość łatwo byłoby ją wymyślić. Schemat opowieści o kłótni prześladowanej ludzi zbyt sławnych i zanadto bogatych znamy przecież wszyscy.

Oto cudowne dziecko, które nie poradziło sobie w dorosłym życiu. Obdarzone anielską urodą dziewczę z kościelnego chóru, całkowicie nieodporne na hedonistyczne pokusy. Wielki głos, zblatowany z miłym, dyskotekowym repertuarem. Od hymnów ku chwale Pana Whitney gładko przeszła do zachwalania uroków miłości cielesnej.

Houstonowie, którzy wyrwali się z czarnego getta, dopilnowali, by córka skończyła dobrą prywatną szkołę. Dali jej imię na cześć białej aktorki z sitcomu. Film zaczyna się i kończy opisem sennego koszmaru Whitney: goni ją wielki facet rodem

z piekła. Z wynurzeń bliskich i znajomych wynika, że obcowała ze złem od samego początku.

Opowiadki o szczęśliwym dzieciństwie były zwykłym mydleniem oczu, tak samo jak wizerunek kochającej się i zgodnej rodziny. Ukrywano przed opinią publiczną rozwód rodziców ulubienicy Ameryki. Mamusia przelała na nią własne niespełnione ambicje, tatuś po prostu ją okradał. Bracia ćpali i spali, z kim popadło. Wprowadzili nastoletnią siostrzyczkę w świat używek, zaś ciotka lesbijka – w krainę seksu. Będąc u szczytu popularności, Whitney wydała się za pustaka i trwała w tym toksycznym związku z uporem godnym lepszej sprawy. Ani macierzyństwo, ani odwyki jej nie pomogły: mentalnie pozostała dzieckiem. Poszła na dno, zabierając ze sobą córkę.

Smutna to historia, lecz nie wyjątkowa. Podobnie potoczyły się losy innych gwiazd epoki MTV: Michaela Jacksona, Prince'a i George'a Michaela. Od ubóstwienia przez skandale do upadku i przedwczesnej śmierci. Mac Donald próbuje nadać dramatowi kontekst polityczny. Niepotrzebnie. Owszem, zaśpiewała hymn USA tak jak nikt przed nią i po niej, przytulała się do Mandeli, wystąpiła w melodramacie „Bodyguard”, rzekomo przełamując bariery rasowe, lecz Whitney to nie Beyoncé. Feminizm, dziura ozonowa oraz inne problemy ludzkości interesowały ją tyle co zeszłoroczny śnieg.

Hipokryzja show-biznesu to temat rzeka. Szef wytwórni łże w żywe oczy, jakoby nic nie wiedział o uzależnieniu gwiazdy od kokainy. Media najpierw stworzyły fałszywy, wyidealizowany portret „królowej popu”, by potem zerwać na jej dekadencji. Dokument powstał za zgodą Houstonów. Traktowali Whitney jak bankomat, a teraz niektórzy z nich mają kaca moralnego i wyrzuty sumienia. Czy powiedzieli wszystko?

Prawda o dziewczynie, która umiała śpiewać „z głębi trzewi, z serca i z głowy”, może być jeszcze straszniejsza. ©©



★★★★★
REŻ. KEVIN
MACDONALD
„WHITNEY”
USA/WIELKA
BRYTANIA 2018



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „INIEMAMOCNI 2”

Po niezbyt udanych wycieczkach w krainę sensacji („Mission Impossible: Ghost Protocol”) i science fiction („Tomorrowland”) Brad Bird powraca do animacji, która przyniosła mu renomę jednego z najlepszych rozrywkowych twórców Hollywood. Rodzina Iniemamocnych zostaje poddana niespodziewanej próbie.

Znów nastały dobre czasy dla superbohaterów, ale tym razem to nie ojciec rodziny, lecz jego małżonka ma być symbolem dobrej roboty. ©© **Piotr Gociek**

• „Iniemamocni 2”, reż. Brad Bird, wyst. Craig T. Nelson, Helen Hunt, Samuel L. Jackson, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Drapacz chmur”, reż. Rawson Marshall Thurber, USA 2018
- „Na plaży Chesil”, reż. Dominic Cooke, Wielka Brytania 2017
- „Czego życzy sobie kobieta”, reż. Susan Walter, USA 2017

Zastrzelić białasa

Klasyczna scena z westernu: dwaj zwaśnieni kowboje – jeden trzeźwy, drugi pijany – sięgają po broń. Padają strzały, pijany dławi się własną krwią, przybyły na miejsce szeryf stwierdza, że nieboszczyk dostał to, na co zasłużył. Obejdzie się nawet bez spisania protokołu.

Gdyby zwycięzca pojedynku miał czarną skórę (i nazywał się Django), zapewne trudniej byłoby mu liczyć na pobłażliwość stróżów prawa. A gdyby był Aborygenem? Akcja „Sweet Country” rozgrywa się na antypodach, co już wystarczy, by orzec, że mamy do czynienia z antywesternem. Szyderczy tytuł odnosi się wszak do kraju zasiedlonego przez potomków skazańców i outside-

rów, którzy tubylców zamiast cywilizować, demoralizują. Co w filmie pokazano na konkretnych przykładach.

Sympatie scenarzystów nie zmieniają faktu, że „Sweet Country” to kawałek dobrego kina. Reżyser zna swój fach, rzecz dzieje się w pięknych okolicznościach przyrody, zaś

na ekranie brylują starzy dobrzy znajomi, których Hollywood wycisnął jak cytryny i porzucił, gdy weszli w wiek emerytalny. Na płachcie rozwieszonej przed saloonem farmerzy oglądają „Gangu Kelly’ego” – pierwszy australijski film z 1906 r. Aborygen, który w obronie własnej zastrzelił białego zwyrodnialca, też nosi nazwisko Kelly. Przypadek? ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. WARWICK THORNTON
„SWEET COUNTRY”
AUSTRALIA 2017

wyst. Hamilton Morris, Bryan Brown, Sam Neill



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TAK ŹLE, ŻE AŻ DOBRZE

James Franco wycisnął z tej historii więcej, niż w niej było, a rzecz przecież oparta jest na faktach. Główny bohater, Tommy Wiseau, dziwak i mitoman z Polski (Wieżorkiewicz), podający się za Francuza lub Amerykanina, nakręcił w 2003 r. fatalny film „The Room”. Skąd miał pieniądze – nie wiadomo, wiadomo za to, że talentu brak mu było we wszystkim: pisaniu, graniu, reżyserowaniu. „The Room” był tak zły, że został filmem kultowym, a autorowi przyniósł sławę (w pewnych kręgach). Franco nakręcił opowieść o przyjaźni i lojalności, fabuła koncentruje się na relacji Wiseau (sam zagrał tę rolę) – aktor Greg Sestero (ten ostatni opisał całą rzecz w książce). Jest to komedia tragiczna o człowieku, który po prostu nie potrafi dostrzec własnych ograniczeń i na przekór wszystkim realizuje sen o karierze (cóż z tego, że z koszmarnym skutkiem). Komentując całość: to, że jesteś uparty, a nawet „kultowy”, to jeszcze nie znaczy, że jesteś prawdziwym artystą. Jednak to nie znaczy także, że zasłużyłeś na pogardę. ©©



★★★★★
REŻ. JAMES FRANCO
„THE DISASTER ARTIST”
USA 2017,
GALAPAGOS

wyst. James Franco, Dave Franco, Ari Graynor

METAL IS NOT DEAD

Polska odpowiedź na brytyjską komedię „Szalona kapela” („Strange Fruit”, 1998) czy czeską „Przeboje i oldboje” („Revival”, 2013). Łączy je prosty chwyt fabularny: członkowie rockowego zespołu próbują po latach wrócić na scenę, a próba rozniecenia dawnego żaru staje się okazją do rozważań nad zmarnowanym życiem.

Akcja filmu Rogalskiego toczy się na polskiej prowincji, a do reaktywacji metalowej kapeli Exterminator przyczyniają się lokalne władze. Okaze się, że to pakt z diabłem – i okazja do niejednego uśmiechu. Muzyka jest mocną stroną filmu, podobnie jak obsada (zwłaszcza Piotr Rogucki jako szurnięty Makak). Szkodzi mu natomiast zanedo telewizyjny sposób opowiadania i średnio udane żarty z polityki. Mało kto wie, że literackim pierwowzorem scenariusza jest powieść Przemka Jurka „Kochanowo i okolice” z 2010 r. Warto po nią sięgnąć, bo była naprawdę zabawna. ©©



★★★★★
REŻ. MICHAŁ ROGALSKI
„GOTOWI NA WSZYSTKO. EXTERMINATOR”
POLSKA 2017,
KINO ŚWIAT

wyst. Paweł Domagała, Agnieszka Więdłocha, Krzysztof Czeczot

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „POKEMON QUEST”

Po globalnym sukcesie „Pokemon GO” pora na kolejny tytuł z sympatycznymi stworkami. Poza konsolą Nintendo Switch „Quest” ukazał się również na platformach mobilnych i – szczerze mówiąc – właśnie na telefonach wygląda najbardziej naturalnie. Nie zmienia to faktu, że ich pastelowy świat

po prostu wieje nudą. W podróży po Tumblecube Isle gracze towarzyszą trzy pokemony, które żyją własnym życiem, w nieznacznym stopniu reagując na nasze polecenia. Jednym z głównych zadań jest zbudowanie im wygodnej bazy, do której wracamy po każdej misji. Rozrywka dla



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

młodszych i mniej wymagających graczy. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RPG
- **Platforma:** Switch/iOS/Android
- **Producent, dystrybutor:** The Pokemon Company
- **Klasyfikacja PEGI:** bez ograniczeń

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Polityczne iluzje

W jakże zasłużonej serii wydawniczej PIW – Bibliotece Myśli Współczesnej, powszechnie nazywanej „plus minus” – ukazały się polityczno-historyczne rozważania Vladimira Tismăneanu, autora znanego w Polsce z wydanego osiem lat temu „Stalinizmu na każdą okazję”. W swojej ojczyźnie (urodził się w 1951 r. w Braszowie) m.in. przewodniczył prezydenckiej Komisji do Badania Komunistycznej Dyktatury w Rumunii. W Ameryce zaś wykładał na uniwersytecie w Maryland, gdzie przewodniczył Center for the Study of Post-Communist Societies.

Ten rumuński specjalista od antykomunizmu jest, jakżeby inaczej, dzieckiem komunistycznych aktywistów. Jego ojciec – Leonte Tismăneanu – urodził się w Besarabii, później stał się jednak obywatelem sowieckim. Brał udział w wojnie domowej w Hiszpanii, gdzie stracił rękę, poznał za to swoją przyszłą żonę, matkę Vladimira, wtedy studentkę medycyny służącą w Brygadach Międzynarodowych jako pielęgniarka. Do Rumunii powrócili po II wojnie światowej, syna nazwali Vladimirem, czcząc wiadomo kogo. Vladimir podsumował zresztą ojca jako „fanatycznego i twardego leninistę”.

Kariera Leonte, wykładającego tego marksizm-leninizm na Uniwersytecie w Bukareszcie, skończyła się z chwilą wypadnięcia z łask rumuńskiego genseka – Gheorghiu-Deja – jego politycznej patronki Any Pauker. Zwyciężyła wtedy w partii frakcja narodowa, żydowska (wraz z Pauker i Tismăneanu) znalazła się w odwrocie. Powoli rodzice przyszłego politologa przechodzili na pozycje jeśli nie z lekka opozycyjne, to na pewno antystalinowskie. W porównaniu z nimi syn był już dysydem do się zowie.



FOT. MATERIAL PRASOWE

Czytając „Diabła w historii”, trudno nie skonstatować, jak długą drogę przeszliśmy w ostatnich latach. Przecież także u nas opis powojennej historii kraju podporządkowany był jednej i tej samej linii, wytyczonej nie przez antykomunistów, lecz komunistów rozczarowanych. Albo nieszczęśników przez Hegla ukąszonych, albo poddanych iście diabelskim zabiegom, co spostrzegli i zanalizowali i Leszek Kołakowski, i Vladimir Tismăneanu.

„Diabła w historii” czyta się znakomicie, bo też znakomicie – ze swadą i z erudycją, a nie przemądrzale – jest napisany. Jednak też momentami nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Oto – czytamy – „w słynnej scenie z powieści »Dola człowieka« André Malraux uchwycił wielkie marzenie XX-wiecznego komunizmu, a przynajmniej pewien romantyczno-heroiczny ideał łączący się z tym, co powieściopisarz nazwał kiedyś »l'illusion lyrique«, iluzją liryczną. Scena ta rozgrywa się w Chinach podczas nieudanego komunistycznego powstania w 1926 roku. Schwytywany przez Kuomintang komunista zostaje zapytany, co go tak pociąga w sprawie, za którą

walczy. Odpowiada, że komunizm daje ludziom »możność uzyskania godności«. Śledczy pyta, co to jest, jego zdaniem, godność. »Przeciwieństwo poniżenia«, odpowiada ideowiec, który wkrótce potem zostaje skazany na śmierć. Ta niezwykła powieść ukazała się we wczesnych latach 30.; słyszałem o bardzo wielu komunistach, którzy przyłączyli się do sprawy właśnie dlatego, że ją przeczytali”.

Świetne są natomiast wspomnienia i refleksje autora „Diabła z historii” dotyczące „Czarnej księgi komunizmu” z 1997 r. – książki, która stała się zaczynem wielkiej dyskusji we Francji, u nas natomiast ledwie się o nią pospierali publicyści, i to niedługo.

Tymczasem we Francji nie brakowało sił uznających „Czarną księgę...” za „maszynę wojny ideologicznej przeciwko teorii o wyjątkowości Szoah”, do tego „marginalizującej pamięć o brunatnej epoce”. „Nie można się zgodzić – powiada Tismăneanu – z przypisywaniem »Czarnej księdze« takiej politycznej postawy, lecz jej publikacja faktycznie doprowadziła do wojny na liczby, słowa i pamięć, która czasem – zwłaszcza w Europie Środkowo-Wschodniej – przyjmowała ton negacji i normalizacji. Implikacja, że istnieje relacja przyczynowo-skutkowa między pamiętaniem o męczeństwie Żydów i »zapominaniem« o cierpieniu innych, wywołała nową falę antysemityzmu w sferze publicznej”.

No tak, ostatnio Tel Awiw ma kłopot z uznaniem rzezi Ormian zamordowanych przez Turków w czasie I wojny światowej za ludobójstwo. Jak we wstrząsającą szturcją wyznają tamtejsi politycy, Turcja leży stanowczo za blisko granic Izraela, by mogli pozwolić sobie na taki gest. Ile, w takim razie, kosztuje w polityce uczciwość?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
**VLADIMIR
TISMĂNEANU**
**„DIABEŁ
W HISTORII.
KOMUNIZM,
FASZYZM I INNE
LEKCJE WIEKU
DWUDZIESIEGO”**
PIW 2018



POCZYTANKI

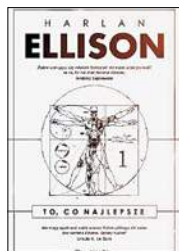
Niebezpieczny wizjoner

Jedną z moich ulubionych książek o kinie jest zbiór recenzji filmowych Harlana Ellisona „Watching”. Nie znam drugiego tak ostrego, a jednocześnie przenikliwego i inteligentnego krytyka, którego hasłem było zdanie umieszczone zresztą na ostatniej stronie okładki: „To nieprawda, że każdy ma prawo do swojej opinii. Ma prawo jedynie do uzasadnionej opinii”. A Ellison jak mało kto potrafił swe ostre sądy uzasadnić.

W dokumentalnym filmie biograficznym „Dreams with Sharp Teeth” (2008) po raz pierwszy zobaczyłem Ellisona w akcji (wcześniej znany był mi tylko z tekstów). Uch, miał gość charyzmę! Okazał się niesłychanie bystrym, łatwo wpadającym w irytację złośliwym rozmówcą, sypał lekko sentencjami, których wymyślenie innym zajęłoby pewnie cały miesiąc. Bezkompromisowy, bezczelny, gotowy rzucić się z pięściami na przeciwnika. Taki sam jak w pisarstwie.

Harlana Ellisona nie ma już z nami. Zmarł 27 czerwca w wieku 84 lat w Los Angeles. Był osobnym zjawiskiem w amerykańskiej literaturze, osobnym światem. W Polsce ceniony przez fanów SF, w USA traktowany jest już (zasłużenie) jako jeden z najwybitniejszych amerykańskich pisarzy drugiej połowy XX stulecia. Tak, pisał fantastykę, ale nie dlatego, że nic lepszego nie potrafił. Tworzył wyśmienitą literaturę, znajdując w fantastyce tylko jeden z języków, którymi wyrażał swoje poglądy na świat, swoje fobie, swoją wściekłość. Jedną z jego najlepszych książek jest autobiograficzna „Memos from Purgatory” („Notatki z czyśćca”).

Podobnie jak Ray Bradbury – inny wielki autor, który wyszedł ze świata fantastyki – mistrzostwo osiągnął w opowiadaniach. Napisał ich mnóstwo, wszystkie jeśli nie świetne, to przynajmniej niepokojące. Ich obszerny zbiór ukazał się w tym roku w Polsce. Zestawił też najlepszą w dziejach fantastyki oryginalną antologię opowiadań „Niebezpieczne wizje”. Cierpiąc na artystyczne ADHD, nie stronił od żadnej formy: pisał eseje, felietony, recenzje, scenariusze komiksów, filmów i seriali TV. I nigdy nie odpuszczał, zawsze jechał po bandzie. Niebezpieczny pisarz na niebezpieczne czasy. Bardzo brak dziś takich. ©©



★★★★★
HARLAN ELLISON
„TO, CO
NAJLEPSZE”,
TOM 1
PRÓSZYŃSKI
I S-KA 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Trzeci tom zapisków sławnego węgierskiego prozaika. Notatki prowadzone na emigracji, ale wciąż powracające do Węgier, krwawo zdławionych w 1956 r. Proza, esej, pamiętnik – wszystko w jednym i wszystko najwyższej próby.



SÁNDOR MÁRAI
„DZIENNIK
1956-1966”
CZYTELNIK

Klasyka współczesnej fantastyki. Porywająca interpretacja legendy arturiańskiej, z kobietami w roli głównej. Najlepsze dzieło w dorobku amerykańskiej pisarki, zekranizowane w 2001 r. w formie serialu TV. Wznowienie w twardej oprawie.



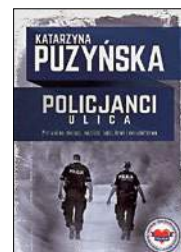
MARION ZIMMER
BRADLEY
„MGŁY AVALONU”
ZYSK I S-KA

Popularny autor powieści historycznych w ciekawej powieści unikającej pułapek „słowiańskiej fantastyki”, a jednocześnie swojskiej. Brutalni Hunowie najeżdżają krainę zwaną Lendią – podobieństwa i nawiązania nieprzypadkowe.



JACEK KOMUDA
„JAKSA”
FABRYKA SŁÓW

Autorka kryminałów o Lipo – próbuje sił w non-fiction. Siedem wywiadów z funkcjonariuszami składających się na niewesoły obraz służby. Część honorarium trafi do fundacji pomocy wdowom po poległych policjantach. ©©



KATARZYNA
PUZYŃSKA
„POLICJANCI.
ULICA”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Katarzyna Nosowska „A ja zem jej powiedziała”** (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
2. **Ołga Tokarczuk „Bieguni”** (Wydawnictwo Literackie) – wznowienie powieści autorki „Ksiąg Jakubowych” sprzed 11 lat.
3. **Katarzyna Michalak „Kropła nadziei”** (Znak) – literatura dla pań, ostatni tom trylogii mazurskiej, rozpoczętej powieścią „Gwiazdka z nieba”.
4. **Stephen King „Outsider”** (Prószyński) – najnowsza powieść króla grozy, łącząca kryminał z elementami horroru.
5. **Jojo Moyes „Moje serce w dwóch światach”** (Między Słowami) – ciąg dalszy perypetii Lou Clark, bohaterki książek „Zanim się pojawiłeś” i „Kiedy odszedłeś”.

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej Empik od 11 do 24 czerwca 2018 r.)

Kiedy była małą dziewczynką, we wszystkim naśladowała mamę, również śpiewaczkę. Take wtedy, gdy przed jednym z koncertów na Festiwalu Moniuszkowskim w Kudowie rozgrzewała w hotelowym pokoju struny głosowe.

Dyrektor festiwalu, który przez ścianę usłyszał występy matki z córką, na początku nie mógł uwierzyć, że Jolancie Żmurko towarzyszyło dziecko, a potem zaproponował, by czteroletnia wtedy Aleksandra Kurzak nagrała płytę z ariami operowymi. Rodzice uznali, że jest na to za wcześnie.

– Stwierdzili, że oszczędzą dziecku stresu. Dzisiaj wiem, że to była słuszna decyzja – mówiła Aleksandra Kurzak w 2007 r. w wywiadzie dla Kulturaonline.pl, w którym opowiadała epizod z Kudowy.

Jej kariera i tak potoczyła się błyskawicznie. Muzyka towarzyszyła jej od najmłodszych lat. Jeszcze w trakcie studiów (ukończyła z wyróżnieniem

FOT. LUKASZ LISZTEK, ARCHIWUM OPER KRAKOWSKIEJ



Sopran zasłużony

Wydział Wokalny Akademii Muzycznej we Wrocławiu oraz Hochschule für Musik und Theater w Hamburgu) zadebiutowała na scenie wrocławskiej opery w „Weselu Figara”. Jako Zuzanna śpiewała u boku swojej mamy i nauczycielki, wcielającej się wtedy w postać Hrabiny. Przed trzydziestką stanęła na scenach dwóch najbardziej prestiżowych oper świata. Rolą Olimpii w „Opowieściach Hoffmanna” w Metropolitan Opera w Nowym Yorku zdobyła serca krytyków. W Royal Opera House Covent Garden w Londynie wcieliła

się w postać Aspazji w operze „Mitridate, re di Ponto”.

Od tego czasu Aleksandra Kurzak występowała w wielu europejskich i światowych operach, współpracując z uznanymi śpiewakami i dyrygentami. W Polsce nie występuje tak często, jak jej fani mogliby sobie tego życzyć, ale jednak się pojawia. Ostatnio w Krakowie na wzgórzu wawelskim w koncercie „Arie Oper Świata”. I tam właśnie z rąk ministra kultury Piotra Glińskiego artystka odebrała Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

„Artystą się bywa. O godz. 19, kiedy kurtyna idzie w górę, jestem diwą, potem staram się być normalną kobietą” – mówiła sopranistka w rozmowie z portalem Dwutygodnik.com. Jest żoną i matką. Zawód (jej mąż również jest śpiewakiem operowym) wymaga tułaczego życia. Aleksandra Kurzak podkreśla jednak, że to w Polsce czuje się jak w domu, i przyjeżdża tu kiedy tylko może, by uzupełnić energię. Z głębi serca – zapraszamy! ☺☺

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Święty Graal jazzu

Po 55 latach od zarejestrowania w słynnym Van Gelder Studio ukazała się płyta z niepublikowanymi nagraniami giganta jazzu. Do tego w sesjach z 6 marca 1963 r. uczestniczył najslawniejszy kwartet saksofonisty. Obok lidera grali McCoy Tyner, Jimmy Garrison i Elvin Jones.

Oryginalne taśmy zaginęły. Po latach w rzeczach pierwszej żony Coltrane’a, Naimy, odnaleziono kopie. Nagrania opracował i przygotował do wydania syn jazzmana – Ravi Coltrane. Wśród nich są nieznanne z płyt mistrza kompozycje: „Untitled Original 11383”, „Untitled Original 11386”, „One Up, One Down”, standard „Nature Boy” z repertuaru Nata Kinga Cole’a oraz temat „Vilia” z operetki Franza Lehára „Wesoła wdówka”. Materiał uzupełnia klasyki

„Impressions” i „Slow Blues”. Sesja z 6 marca przyniosła 14 utworów. Wszystkie możemy usłyszeć na wersji deluxe albumu.

Następnego dnia kwartet nagrał głośny album z wokalistą Johnnym Hartmanem. W 1963 r. Coltrane był na fali. Grał muzykę nie tylko twórczą, lecz także przystępną dla jazzowych fanów. Dwa lata później wydał arcydzieło „A Love Supreme” i ruszył drogą awangardowych poszukiwań.

Święty Graal Jazzu – jak ochrzciła tę płytę światowa prasa – nie jest przełomową płytą w dyskografii mistrza. Przynosi jednak świetną muzykę i brzmi spójnie jako album. To nie jest zlepek odrzutów z sesji nagraniowych, których pojawiły się dziesiątki po śmierci Coltrane’a w 1967 r. ☺☺



★★★★★
JOHN COLTRANE
„BOTH DIRECTIONS AT ONCE: THE LOST ALBUM”
IMPULSE



★★★★★
**NATALIA KUKULSKA/
MAREK NAPIÓRKOWSKI**
„SZUKAJ W SNACH”
TEATR STARY
W LUBLINIE

Natalia ślicznie śpiewa lekko jazzujące kołysanki Napiórkowskiego do słów Włodzimierza Wysockiego. Pochodzą one ze spektaklu „Szukaj w snach” wystawionego w Lublinie. W połowie płyty zasnęłam błogo.



★★★★★
MAYTE GARCIA
„MOJE ŻYCIE Z PRINCE’EM”
SQN

Pierwsza żona Prince’a opisuje, poczynając od lat 90., kulisy kariery geniusza muzyki. Czci jego twórczość, często go tłumaczy, jednak ten świat blizn i próżności jest przerażający. Emocjonalna autoterapia autorki. ☺☺

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ

GODZ. 20.00

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL



ORAZ
ORKIESTRA
TEATRU WIELKIEGO
W POZNANIU
POD BATUTĄ
JANA STOKŁOSY

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PARTNER STRATEGICZNY

WSPÓŁORGANIZATOR

PATRONI MEDIALNI

niepodległa

POLECA
FUNDUSZ ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



eprasa.pl 4edd8e15e9



wprost



GŁOS
WIELKOPOLSKI



O Rosji realnie



Andrzej Talaga

Stoimy na drodze do bezpieczeństwa Rosji, na drodze jej wpływów w Europie. Realpolitik każe nam budować siłę, poprzez wysiłek własny i sojusze, by uniemożliwić Moskwie realizację jej celów

W Polsce panuje konsensus w sprawie Rosji respektowany od prawa do lewa – należy traktować ją z największą ostrożnością, jako potencjalnego agresora. Łamiał go jedynie środowiska podejrzewające o agenturalność oraz nieliczni patriotyczni publicyści wzywający do realizmu w polityce zagranicznej.

Najwybitniejszą postacią tej drugiej grupy jest Rafał A. Ziemkiewicz, który od czasu do czasu na łamach „Do Rzeczy” ponawia pytanie: Czy musimy z tą Rosją tak ostro?

Słusznie twierdzi, że realizm każe balansować politykę, nie stawiać na jednego konia, lewarować własną siłę, grając na opcje alternatywne. Publicysta sugeruje, by rozważyć, czy taką alternatywą nie mogłaby być Rosja. Modelem są tu Węgry, pozostając w Unii Europejskiej, solidarnie stosując się

do sankcji wobec Moskwy, ale jednocześnie współpracując z Kremlm, przynajmniej w zakresie polityki energetycznej. Przy małej populacji, nikłym PKB i generalnie słabej pozycji międzynarodowej daje im to większe pole manewru. Czy zatem Polska nie mogłaby postępować podobnie? Czy resentymentami nie ograniczamy sobie swobody działania? Dobrze postawione pytanie. Właśnie realizm polityczny, a nie idealizm, prometeizm, wypełnianie misji na Wschodzie każe nam jednak odpowiedzieć na nie negatywnie.

W POLSCE NIE MA HIMALAJÓW

Polityka realna jest wolna od sentymentów, emocji, nie zna pojęć „przyjaźń” i „nienawiść”, ba – nie rozumie nawet terminu „zdrada”. Nie ma sympatii ani antypatii. Ważna jest racja stanu, wszystko,

co jej służy, jest dobre, co nie służy – złe. Tak właśnie powinna wyglądać Realpolitik, kłopot w tym, że nie wygląda i nigdy nie wyglądała.

W takim bowiem ujęciu zakłada istnienie perfekcyjnie racjonalnej klasy politycznej, która może sobie pozwolić na działania w perspektywie dziesięcioleci. Nie ma takich ludzi, nie ma takich społeczeństw ani takich elit. Co jeszcze ważniejsze, polityka realna nie może abstrahować od zjawisk elementarnych, niezależnych od emocji i nastrojów kogokolwiek: położenia geograficznego, doświadczenia historycznego i długofalowych celów partnera/przeciwnika, wobec którego jest prowadzona.

W sprawie tak nabrzmiałej emocjami jak Rosja warto przypominać o oczywistościach, bo tracąc je z pola widzenia, można łatwo popaść w ułudę pozornych korzyści przyjaźni z Moskwą.

Co w ogóle kształtuje nasz stosunek do niej na najbardziej podstawowym poziomie? Numerem jeden jest geografia. Jak bardzo wpływa ona na relacje między państwami, a nawet cywilizacjami, pokazują relacje Chin i Indii. Państwa te stoczyły ze sobą ledwie jedną wojnę, a właściwie graniczne starcie (i to dopiero w latach 60. XX w.), na całej przestrzeni

swoich dziejów. Powód jest prosty – są oddzielone Wyżyną Tybetańską i pasmami Himalajów oraz Karakorum. Inwazje pustoszące Półwysep Indyjski nadchodziły zawsze z północnego zachodu, nigdy z północy i północnego wschodu. Geografia wykluczała konflikt. Do czasu wynalezienia rakiet balistycznych oraz głowic nuklearnych ukształtowanie przestrzeni eliminowało ryzyko wejścia przez obie potęgi na kurs kolizyjny.

W przypadku Polski i Rosji sprawy mają się dokładnie odwrotnie. Oba państwa są położone na rozległych Nizinach Północnoeuropejskiej i Wschodnioeuropejskiej rozciągających się na linii wschód – zachód. Niemal wszystkie wrogie inwazje na Rosję oraz Polskę szły przez ową nizinę, nawet Szwedzi podczas potopu najechali nas z terenu niemieckiego Pomorza, a nie przepłynęli przez Bałtyk. Wielka przestrzeń otwarta dla przemarszu armii tworzy zupełnie inne warunki do uprawiania polityki niż graniczny łańcuch ośmiotysięczników i wyżyna sięgająca 4,5 tys. m n.p.m.

W czasach, kiedy demograficznie, gospodarczo i militarnie Rzeczpospolita górowała nad Moskwą, to my parliśmy na wschód, obejmując granicami Ruś smoleńską, kiedy zaś we wszystkich tych parametrach Rosja zaczęła górować nad nami – ona kroczyła na zachód. Nie ma bodaj w dziejach Europy częściej zmieniających się granic niż Rzeczypospolitej i Rosji. Także terytorialna skala przesunięć budzi respekt.

Skoro tak było przez wieki, to jakie mamy podstawy, by sądzić, że już nigdy nie stanie się podobnie? Realizm polityczny każe przyjąć założenie, że najazd ze wschodu wciąż jest możliwy. Pomimo kryzysu demograficznego i nie najlepszej sytuacji gospodarczej Rosja nadal góruje nad Polską, przede wszystkim militarnie, i ma wystraszający potencjał, by zniszczyć nasze państwo.

Można zauważyć, że także Niemcy są położone na tej samej nizinie i także w ich przypadku zachodzi ryzyko inwazji. Owszem, ale przez większość historii były one podzielone i dopiero skonsolidowanie państwa pruskiego pozwoliło im przejąć część Rzeczypospolitej podczas rozbiorów, ale nawet wtedy obojętne się bez inwazji. Na dobrą sprawę tylko raz, w latach 1939–1945, Polska i Niemcy skoczyły frontalną wojnę o wszystko. To bez porównania rzadziej niż z Rosją. Zatem w przypadku Niemiec doświadczenie historyczne każe uważać je za mniej groźne, przynajmniej dopóty, dopóki

pozostają w strukturach euroatlantyckich i nie militaryzują się.

MOSKWA KOCHA GŁĘBIĘ

Kolejny aspekt, którego nie wolno pominąć, to intencje państwa, wobec którego jest uprawiana nasza polityka. Rosja od czasów Piotra I ma cele imperialne, nie zmieniła ich ani za ZSRS, ani obecnie. Realizacja tych założeń kulała jedynie w okresie smut, za Rządu Tymczasowego czy Jelcyna. Imperializm nie jest najmniejszym polskim uprzedzeniem, ale polityką jawnie deklarowaną przez kolejnych rosyjskich władców, którzy – trzeba przyznać – są słowni; co mówią, to czynią.

Od Piotra Wielkiego uzasadnienie podbojów się nie zmienia, to potrzeba osłony już posiadanego terytorium przez strefy buforowe. Na kierunku zachodnim, kluczowym dla przetrwania Rosji, chodzi o tzw. głębię strategiczną, czyli odległość, którą musi przebyć potencjalny agresor do Moskwy. W okresie zimnej wojny było to ok. 2000 km, licząc od Łaby, obecnie jest to ok. 1000 km, licząc od Bugu. Nie zapominajmy też o Petersburgu, najbliższe jednostki NATO w Estonii stoją zaledwie 150 km od tego miasta. Można by pomyśleć, że w dobie samolotów i rakiet manewrujących odległość nie ma znaczenia. Nic bardziej mylnego – im dalej, tym więcej czasu i szans na ich wykrycie oraz zestrzelenie.

Głębia determinuje rosyjską politykę na Ukrainie. Rosja jest gotowa uczynić niemal wszystko, by ją odzyskać, a przynajmniej uniemożliwić jej integrację z Zachodem, nie dlatego, że bez niej nie będzie imperium – to sprawa drugorzędna. Ukraina jest kluczowa dla bezpieczeństwa Rosji. Granica obu państw to setki kilometrów otwartego dawnego stepu. Idealny pas transmisyjny dla armii. Ukraina ma nawet większe znaczenie niż Białoruś, bo marsz wojsk z zachodu na wschód ograniczają tam rozlewiska rzek. Jedynie szeroka na 90 km tzw. Brama Smoleńska pomiędzy Dźwiną a Dnieprem umożliwia taki pochód. Łatwiej jej bronić niż stepu. Trzy z czterech ofensyw, które dotarły do stolicy Rosji – tatarska w XVI w., polsko-litewska w XVII w., niemiecka (operacja „Tajfun”) w 1942 r. – szły przez Ukrainę, tylko Napoleon zdecydował się na „Bramę Smoleńską”.

W polityce realnej nie wolno abstrahować od rosyjskich celów wyrażonych w racji stanu i wagi głębi strategicznej. Im większa, tym Rosja – w swoim rozumieniu – bezpieczniejsza. Na zachodzie może ją poszerzyć tylko kosztem państw bałtyckich

i Polski. Nie ma zatem sensu zestawiać nas z Węgrami, Czechami czy ze Słowacją. Ze strategicznego punktu widzenia państwa te nie są Rosji szczególnie potrzebne, mają co najwyżej znaczenie taktyczne. Węgrzy, by trzymać się tego przykładu, mogą sobie pozwolić na flirtowanie z Moskwą bez ryzyka dla spójności i przetrwania swojego państwa. My musimy być ostrożniejsi. Rosja ma bowiem wielkie doświadczenie w poszerzaniu strefy buforowej bez pełnowymiarowej inwazji.

Warto pamiętać o rozbiorach. Wystarczyły konsekwentne korumpowanie polskiej klasy politycznej, wspieranie oligarchizacji państwa i nieznaczne ruchy wojsk, by najpierw zwasalizować, a potem wchłonąć Rzeczpospolitą.

Agresywna retoryka Putina czy prowokacyjne działania armii rosyjskiej wobec państw NATO nie mają wielkiego znaczenia, a jeśli już, to pozytywne, bo mobilizują państwa sojuszu do realnych działań wzmacniających wspólną obronę. Rosja – czy autorytarna i brutalna, czy łagodna, a nawet bardziej zdemokratyzowana – nadal będzie miała takie same cele. Nie można zatem traktować jej jako partnera do gry politycznej, takim partnerem są dla nas państwa UE, USA, a nawet Chiny. To wobec nich powinniśmy prowadzić politykę balansowania wpływów i sojuszy. Nie wolno nam za to balansować Rosję jakichkolwiek relacji wewnątrz Unii i NATO, bo tym samym osłabiamy własny polityczny system immunologiczny.

Stoimy na drodze do bezpieczeństwa Rosji, na drodze jej wpływów w Europie. Czy chcemy, czy nie, to najbardziej realna realność polityczna. Realpolitik każe nam budować siłę, poprzez wysiłek własny i sojusze, by uniemożliwić Moskwie realizację jej celów. Wolno nam być przy tym miłym, nawet czarującym dla Kremla. W końcu retoryka to tylko kolejne narzędzie, którego można użyć, gdy jest to korzystne.

Andrzej Talaga, dyrektor ds. strategii Warsaw Enterprise Institute.
Artykuł oddaje prywatne poglądy autora.

O Rosji na łamach „Do Rzeczy”:

- **Piotr Semka** – „Rosja – mroczny obiekt pożądania”
- **Rafał A. Ziembiewicz** – „Kwadratura Rosji i Niemiec”
- **Tomasz Kwaśnicki** – „Ameryka nie kocha Polski”
- **Piotr Gursztyn** – „Kreml nie chce zgody”



Romuald Kmieć

Świadome zniesławianie Polski i narodu polskiego zasługuje na odpowiedzialność karną. Godne uznania porozumienie polsko-izraelskie tego nie zmienia

Pochodzący z języka jidysz wyraz „hucpa” na stałe zagościł nie tylko w języku polskim, lecz także angielskim, zwłaszcza w jego amerykańskiej odmianie slangowej („chutzpah”). Profesor E.D. Hirsch Jr. zaliczył ten wyraz do kategorii istotnych pojęć pośród kilku tysięcy nazwisk, dat i koncepcji, które powinien znać każdy wykształcony Amerykanin („literate”). Definicję „hucpy” zawiera także „Słownik dziedzictwa amerykańskiego”.

Hucpa najwyraźniej staje się ostatnio metodą działań politycznych i niestety trudno się przed nią bronić. Antypolskie hucpiarstwo polityczne szerzy się nie tylko w Europie Zachodniej, lecz także po drugiej stronie Atlantyku z intensywnością proporcjonalną do wzrastającego poziomu polskiej determinacji, aby wybić się na niepodległość i suwerenność. Przyśpieszone wycofanie się polskiego parlamentu z podjętej próby penalizacji czynów znieważających państwo polskie i naród polski, a wcześniej poddanie przez prezydenta RP pierwotnej wersji noweli do ustawy o IPN kontroli przez Trybunał Konstytucyjny odbyły się niewątpliwie pod naciskiem „czynników zewnętrznych”. Było jasne, że ustawa nie naruszała konstytucji i Trybunał Konstytucyjny zwlekał z wydaniem orzeczenia, ponieważ musiałby dokonać wyjątkowej ekwilibrystyki niby prawniczej, aby wykazać, że jest inaczej. A na to poważnym sędziom TK trudno byłoby się zdobyć.

CZYSTA POLITYKA

Między bajki można włożyć argument, że Polska nie może mieć jakoby jurysdykcji karnej w stosunku do sprawców popełniających przestępstwa poza terytorium państwa polskiego. Czy przepis art. 112 Kodeksu karnego nie jest zgodny z konstytucją? O tym przepisie zapomniał jeden z senatorów RP, przytaczając tylko poprzedni art. 111 k.k. Zresztą przepisy



Hucpa wobec Polski

karne zawarte w noweli do ustawy o IPN miały jedynie charakter komplementarny w stosunku do obowiązującego przepisu art. 133 k.k. („Kto publicznie znieważa Naród lub Rzeczpospolitą Polską, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”).

O sprzeczności z Konstytucją RP nie mogło być mowy. Względy czysto politycznej natury, a nie prawnej, zdecydowały o uchyleniu przepisów karnych, które stanowiły potencjalną przeszkodę dla antypolskiej propagandy. Dla każdego, kto umie czytać, było oczywiste, że nowela do ustawy w części wprowadzającej odpowiedzialność karną w niczym nie ograniczała ani wolności słowa, ani badań naukowych. Trudno też zakładać, że mogli mieć co do tego wątpliwości przedstawiciele skądinąd inteligentnego narodu, który słynie od niemal trzech tysięcy lat z przywiązania do prawa nie tylko powtórzonego i umiejętności jego interpretacji. A więc po prostu całe zamieszanie było rodzajem hucpy w wykonaniu nieprzyjanych Polsce środowisk, którym ulegają z kolei niektórzy zachodni politycy, ignoranci, autorzy wypowiedzi o polskich obozach koncentracyjnych.

Zdaniem profesora E.D. Hirscha Jr. Amerykanie nie muszą dużo wiedzieć o Polsce i jej historii. We wspomnianej w wstępie książce reklamowanej jako „amerykański bestseller” wymienia się niemal wszystkie państwa europejskie i ich stolice, nie ma tylko Polski i Warszawy. Amerykanie powinni natomiast koniecznie znać takie pojęcia, jak „pogrom”, „Yom Kippur”, „kibbutz”, „synagogue”, „Knesset”, „Arab-Israeli conflict”, „antisemitism” etc. Wśród nazwisk znajduje się markiz La Fayette, ale o polskich bohaterach rewolucji amerykańskiej – Pułaskim i Kościuszcze – głucho. Inny amerykański bestseller pt. „Russians” („Rosjanie”) zawiera nawet wzmiankę o Katyniu. Otóż w czasie wojny w Katyniu naziści spalili w cerkwi chłopów rosyjskich czy białoruskich. I tyle na temat Katynia mógł do niedawna dowiedzieć się amerykański czytelnik.

NIEPOPEŁNIONE GRZECHY

Obca kuratela nad Polską i ingerencja z zewnątrz w wewnętrzne sprawy naszego kraju mają długą niechlubną tradycję sięgającą traktatu Loewenwolda z 1732 r. i bardzo, bardzo źle się Polakom kojarzą. Jest „oczywistą oczywistością”, że taki podmiot zbiorowy jak naród polski lub państwo polskie nie był, nie jest i nigdy

nie będzie odpowiedzialny prawnie, finansowo lub moralnie za tragedię Holokaustu, a kto świadomie twierdzi, że jest inaczej, ten dopuszcza się kryminalnego zniesławienia tych podmiotów i zasługuje na odpowiedzialność karną.

Równie oczywiste jest także to, że podczas wojny zdarzały się godne potępienia działania obywateli Rzeczypospolitej, niegdyś wielonarodowej. Obywateli nie zawsze narodowości polskiej, którzy współdziałali z niemieckim okupantem. Ustalaniu tego rodzaju faktów na drodze badań historycznych nie stała na przeszkodzie nowelizowana ustawa o IPN, co dla każdego, nie tylko dla prawników, powinno być oczywiste. Przypisywanie zaś in gremio narodowi lub państwu polskiemu niegodnych czy wręcz zbrodniczych cech charakteryzujących jego niektórych obywateli, stanowiących margines społeczny złożony z kryminalistów lub renegatów, jest niedopuszczalnym i niegodziwym uogólnieniem. Margines społeczny to przecież nie to samo co państwo lub naród polski. Badania historyczne (naukowe), które ustalają fakty potwierdzające istnienie na terenie okupowanej Polski wspomnianego marginesu społecznego, zdrajców i renegatów, są potrzebne i nie były niczym ograniczone w ustawie nowelizującej IPN.

Ustawa nowelizująca być może nie osiągnęła szczytu doskonałości legislacyjnej, ale zmasowana ex post krytyka tej ustawy jako „ustawowego bubla” pod dyktando „totalnej opozycji” i antypolskich ośrodków zagranicznych jest rażącym nadużyciem. Być może należałoby raczej rozważyć, czy spod odpowiedzialności karnej słusznie wyłączono w ustawie szkalującą naród i państwo polskie działalność artystyczną lub pseudonaukową? Czy jeśli pojawi się jakiś nowy Alfred Jarry i napisze utwór poprawny artystycznie, ale zawierający kłamliwe i szkalujące Polskę treści, złośliwie przypisując narodowi polskiemu lub państwu polskiemu odpowiedzialność za Holokaust, to powinien pozostać bezkarny? Być może – powie ktoś – reakcją na ewidentnie absurdalne zarzuty nie powinien być proces karny, lecz wyniosłe i wzgardliwe milczenie. Rzecz w tym jednak, że absurdalne oskarżanie Polski o niepełnione grzechy wywołuje negatywne skutki nie tylko wizerunkowe, lecz także ekonomiczne i polityczne.

Innym przykładem hucpiarstwa politycznego jest oskarżanie Polski

o „zagrożenie dla praworządności”, które wykorzystuje do „grillowania” Polski Frans Timmermans, przeciwstawiający się w imieniu Komisji Europejskiej niezbędnej reformie wymiaru sprawiedliwości, w nieodległej przeszłości chyba najgorzej funkcjonującej części aparatu władzy państwowej w Polsce. Nic bowiem nie cieszyło i nie cieszy naszych nieprzyjaciół bardziej niż sytuacja rozgardiaszu, w którym Polska „nie-rządem stała”, a prawo było niczym pajęczyna. A na marginesie wyrażam nadzieję, że w przyszłości, jeżeli Irlandia zwróci się do sądu polskiego z wnioskiem o zastosowanie Europejskiego Nakazu Aresztowania, to tenże zwróci się do Trybunału Europejskiego z pytaniem, czy sądownictwo w Irlandii czyni zadość wymaganiom praworządności.

NA OTARCIE ŁEZ

Antypolskiemu hucpiarstwu politycznemu obserwowanemu na Zachodzie należy postawić jakieś granice. Należy też żałować, że zbyt łatwo ulegamy naciskom ze strony tych środowisk, które z tupetem, bezwstydnie działają na szkodę naszego państwa. Oby taka postawa ustępstw nie rozzuchwiała oszczerców, którzy uznają ją za wyraz naszej słabości. Jeżeli bowiem ktoś liczy na skuteczność odpowiedzialności cywilnej, która ma zastąpić odpowiedzialność karną, to chyba nie za bardzo orientuje się w specyfice procedury cywilnej, zwłaszcza gdy pozwanym będzie obywatel innego państwa.

Prawdą jest natomiast, że lepiej jest edukować niż karać. Może więc warto wydać nakładem Polskiej Fundacji Narodowej przewodnik w języku angielskim pt. „Co każdy Amerykanin powinien wiedzieć o Polsce i jej historii”. Niektórym urzędnikom Departamentu Stanu taka lektura bardzo by się przydała. Powinni też brać przykład ze swojego obecnego prezydenta, którego znajomość historii powstania warszawskiego i historii Polski rzeczywiście mogła zaimponować podczas wizyty w Warszawie. Godne uznania porozumienie i oświadczenie naszego premiera oraz premiera Izraela może nam otrzeć łzy, przynieść nadzieję oraz poprawić samopoczucie, ale entuzjizmu nie wzbudzi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Prof. dr hab. Romuald Kmiecik jest prawnikiem, specjalistą w dziedzinie kryminalistyki i prawa karnego, profesorem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej z zakresu prawa karnego procesowego.

Poświęcenie, walka, ale i myśl

Władysław Studnicki FOT. NAC



Marian Piłka

W przemówieniu sejmowym 5 grudnia 2017 r., inaugurującym obchody odzyskania niepodległości, prezydent Duda wymienił twórców niepodległości: Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego, Daszyńskiego, Witosa i Korfanteo, a zabrakło Władysława Studnickiego i ks. Zdzisława Lubomirskiego. To znamienne, bo nie ujmując zasług wymienionym wcześniej, wydaje się, że na stanowisku prezydenta bardziej zaważyła tradycja apologetyki partyjnej przypisująca zasługi odzyskania niepodległości dominującym w II Rzeczypospolitej nurtom partyjnym i próbująca pogodzić zasługi różnych obozów politycznych niż refleksja nad rzeczywistym procesem odzyskiwania niepodległości.

Pominięte zostały środowiska, które w okresie międzywojennym nie zbudowały znaczących nurtów politycznych, przede wszystkim związane z osobą Władysława Studnickiego i Radą Regencyjną. Perspektywa polityczna przeważa nad

oceną historyczną, a to ocena historyczna powinna być najważniejszą nauką dla naszego narodu. Prawda ta to nie tylko uznanie wysiłku różnych środowisk, ich ofiary i poświęcenia, lecz przede wszystkim wysiłek intelektualny, który pozwolił na prawidłowe rozpoznanie wyzwań i takie prowadzenie polityki narodowej, że po ponad stu latach niewoli wreszcie staliśmy się wolni.

W obchodach akcentujemy przede wszystkim patriotyzm, poświęcenie i wysiłek zbrojny, ale bez właściwego intelektualnego rozpoznania sytuacji i dostosowania do wyzwań adekwatnych narzędzi działania politycznego Polska upadła w końcu XVIII w. i dokonywała zrywów, które tylko pogarszały sytuację naszego narodu, w wieku XIX. Bez wysiłku intelektualnego, bez prawidłowej myśli politycznej, najprawdopodobniej nie odzyskalibyśmy niepodległości w 1918 r. Prezydencka koncepcja rocznicowych obchodów pomija ten wymiar.

Polacy przed I wojną i podczas jej trwania byli podzieleni, jeżeli chodzi o drogi poprawy naszego bytu narodowego, a później o drogę odzyskania niepodległości, ale mieli politycznych przywódców, którzy pomimo orientacji na państwa

zaborcze byli intelektualnie suwerenni i zdolni dostosowywać działania do zmieniającej się sytuacji. Obóz Dmowskiego wiązał sprawę polską z Rosją i z koncepcją zjednoczenia ziem polskich pod egidą rosyjskiego monarchy, natomiast Piłsudski współpracował z państwem Habsburgów, gdzie Polacy cieszyli się największą wolnością. Przed I wojną nie występowała orientacja na wilhelmińskie Niemcy, z racji ich zdecydowanie antypolskiej polityki. Polskie społeczeństwo, nawet jeśli wiązało nadzieje z Habsburgami, to było politycznie oraz emocjonalnie wrogie wobec Niemiec i to ograniczało powstanie orientacji na Berlin.

DZIAŁANIA STUDNICKIEGO

Słabość Rosji zmusiła Dmowskiego do przeorientowania się na państwa alianckie i stworzenia na Zachodzie namiastki rządu zabiegającego o uznanie polskich aspiracji przez państwa zachodnie. Działania Dmowskiego polegały na związaniu sprawy polskiej z państwami, jak się później okazało, zwycięskimi oraz na przygotowaniu Armii Błękitnej, która już po odzyskaniu niepodległości odegrała istotną rolę w wojnie o zachowanie niepodległości. Natomiast Piłsudski walczył u boku

Austro-Węgier, które okazały się niemieckim satelitą, a zatem nie miały szans na decydujący głos w sprawie Polski. Istniała groźba, że w razie końca wojny nie będziemy mogli wykorzystać klęski państw zaborczych. W sytuacji klęski militarnej Rosji i zajęcia ziem polskich przez Niemców polityka polska znalazłaby się w ślepym zaułku, ponieważ środowiska polskie nie miały żadnych politycznych relacji z państwem, którego wojska zajęły polskie ziemie. W tej sytuacji z koncepcją rozwiązania sprawy polskiej w oparciu o Berlin wystąpił Studnicki uznający Rosję za głównego przeciwnika polskiej suwerenności. Uważał, że jedynie w oparciu o Niemcy jest możliwe odzyskanie ziem zaboru rosyjskiego i stworzenie z nich polskiej państwowości, dlatego wbrew emocjonalnej postawie większości społeczeństwa nie tylko przedstawił w 1915 r. plan odbudowy państwa w oparciu o Niemcy, lecz także podjął działania mające przekonać Niemców do zgody na jego utworzenie. Jego koncepcja Polski jako państwa buforowego oddzielającego Rosję od Niemiec i budowy polskiej armii, w sytuacji wyczerpywania się niemieckich rezerw, okazała się przekonującą dla polityków niemieckich. Działania podjęte przez Studnickiego zaowocowały proklamacją aktu 5 listopada i powołaniem Tymczasowej Rady Stanu.

Akt 5 listopada postawił kwestię polską na płaszczyźnie międzynarodowej, na jego mocy utworzono *Polnische Wehrmacht*, zbudowano fundamenty państwa – administrację z rządem, sądownictwo, aparat skarbowy, szkolnictwo oraz zręby służby zagranicznej. Bez działalności Studnickiego osłabieni Niemcy mogliby powołać jakąś formę polskiego państwa, ale byłoby za późno, by zbudować struktury zdolne do odpowiedzi na militarną ekspansję Rosji, z którą już w styczniu 1919 r. rozpoczęły się walki. Bez istniejących już struktur niemożliwe byłoby przekazanie władzy w listopadzie 1918 r. Piłsudskiemu, bo nie byłoby czego przekazywać. Siły Polskiej Organizacji Wojskowej, choć odegrały zasadniczą rolę w rozbrajaniu zdemoralizowanej niemieckiej armii, nie byłyby w stanie zastąpić regularnych oddziałów *Polnische Wehrmacht*, które stały się trzonem odrodzonej armii polskiej.

Piłsudski doszedł do wniosku, że Niemcy przegrają wojnę, spowodował kryzys przysięgowy i dał się internować, przez co wyłączył się do końca wojny z wpływu na bieg zdarzeń. Ten fakt zmie-

nił postrzeganie Piłsudskiego do tej pory współdziałającego z państwami centralnymi. Miało to znaczenie w listopadzie 1918 r., bo choć to Rada Regencyjna zbudowała struktury państwowości, to w sytuacji klęski państw centralnych nie mogłaby skutecznie walczyć o polskie interesy na płaszczyźnie międzynarodowej. Przekazanie władzy Piłsudskiemu z jego kartą niemieckich represji i jego porozumienie z Dmowskim, czego wyrazem było powołanie rządu Paderewskiego, miało na celu związanie sprawy polskiej z państwami zwycięskimi.

STRUKTURY PAŃSTWOWE

Bez Studnickiego nie byłoby aktu 5 listopada. Struktury państwowe budowane w oparciu o Niemcy miały decydujący wpływ na odzyskanie niepodległości. Bez nich Polska nie mogłaby w 1919 r. się obronić, a zatem polska niepodległość podzieliłaby najprawdopodobniej los niepodległości Ukrainy i Białorusi. W listopadzie 1918 r. mieliśmy sprawne struktury państwowe, zdolne nie tylko do szybkiej rozbudowy armii, poprzez włączenie pułków walczących w armii austriackiej, czy integracji polskich oficerów i żołnierzy z armii rosyjskiej i niemieckiej oraz przeprowadzenie mobilizacji, lecz także odrodzone państwo było w stanie przeprowadzić wybory już w styczniu następnego roku, a armia była w stanie zatrzymać w 1919 r. bolszewicką ofensywę.

Na początku stycznia 1919 r. doszło do pierwszych walk z bolszewikami, więc niepodległość państwa odradzała się w czasie wojny. Działalność Dmowskiego wiążąca sprawę polską z państwami alianckimi i stworzona przez niego Armia Błękitna w krytycznym momencie były daleko od ziem, na których decydowały się losy powstającego państwa. Kryzys przysięgowy i internowanie Piłsudskiego spowodowały, że poza legendą zbrojnej walki i działalnością POW wyeliminował się on z bezpośrednich przygotowań do odzyskania niepodległości. Jego działania, zwłaszcza wysiłek POW w listopadzie, a wcześniej walki u boku Austriaków, miały tylko pomocniczy, a nie decydujący wpływ na odbudowę struktur państwa.

Bez zbudowania struktur państwowych przez Tymczasową Radę Stanu i Radę Regencyjną Polacy nie byłiby w stanie odeprzeć bolszewickiej ekspansji i odbudować niepodległego państwa, dlatego w stulecie odzyskania niepodle-

głości należy właściwie oceniać zasługi. Ma to tym większe znaczenie, że rola Studnickiego miała przede wszystkim intelektualny charakter. To on wypracował strategię, która umożliwiła odzyskanie niepodległości, i w setną rocznicę jemu przede wszystkim należy się pomnik jako prawdziwemu Ojcu Niepodległości.

PRZENIKLIWOŚĆ I ODWAGA

Bohaterstwo poprzednich zrywów narodowych było nie mniejsze niż wysiłek zbrojny w czasie I wojny światowej i wojny w obronie granic odrodzonego państwa. To, czego zabrakło w poprzednich zrywach, to prawidłowe odczytanie wyzwań i adekwatna na nie odpowiedź. Przed II wojną światową Studnicki jako jedyny polski polityk prawidłowo odczytał charakter zagrożeń i starał się zapobiec polskiemu w niej udziałowi. Jego przenikliwość i intelektualna odwaga zarówno z czasu I wojny, jak i z okresu przed II wojną światową, powinny stać się przesłaniem dla obecnego pokolenia, które staje wobec wyzwania narastającej rywalizacji mocarstw.

Stulecie odzyskania niepodległości ma miejsce w sytuacji zarysowującego się kryzysu ładu międzynarodowego, co zagraża porządkowi, dzięki któremu współczesna Polska odzyskała i utrzymuje niepodległy byt. Dlatego wtedy i dziś najważniejszym wymiarem polskiej polityki musi być refleksja polityczna zmierzająca do prawidłowego odczytania charakteru i dynamiki współczesnego procesu międzynarodowego, tak abyśmy nie byli jego ofiarą, ale wzmacniali pozycję międzynarodową. Przypomnienie przenikliwości intelektualnej, która pozwoliła, wbrew emocjom politycznym, na podjęcie skutecznych działań, powinno być głównym wymiarem rocznicowych obchodów, natomiast oligarchiczny charakter dominujących obecnie partii politycznych, dominacja interesu partyjnego nad interesem narodowym, a zwłaszcza ich degradacja intelektualna wywołują słuszny niepokój o skuteczność polskiej polityki, bo eliminuje potencjał intelektualny z walki o przyszłość naszego kraju. Dlatego przesłanie obchodów stulecia niepodległości powinno być skoncentrowane na podkreśleniu, że pierwszym i najważniejszym zadaniem przywództwa politycznego jest refleksja intelektualna i prawidłowe odczytanie wyzwań stojących przed narodem.

**List prof. dr. hab. Leszka Żukowskiego,
prezesa Zarządu Głównego Światowego
Związku Żołnierzy Armii Krajowej**

W tygodniku „Do Rzeczy” w numerze 23/275 z dnia 4–10 czerwca br. ukazał się artykuł historyka dr. hab. Cenckiewicza będący de facto próbą skłócenia Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, który sterowany jest jakoby przez ludzi minionego systemu komunistycznego. Zarówno ton jak i argumentacja zachęcają mnie do próby odpowiedzi bezpośrednio autorowi.

Szanowny Doktorze Habilitowany!

*Dziwię się, że człowiek urodzony
w Państwie Ludowym, może w swo-
im tekście pomylić nazwę „Armii
Krajowej” z „Polską Republiką
Ludową”.*

Inna sprawa, że tekst nie jest obiektywny, czego się wymaga od ludzi nauki. Między innymi pomylił Pan w tekście, a także w moim życiorysie, kilka faktów, inne pominął, a pomówień nawet nie próbował wyjaśnić.

Ukończyłem SGGW, czym się szczycę, jako Inżynier Technologii Drewna. Nie napisał Pan, że 17 lat przepracowałem w przemyśle drzewnym i 9 lat w przemyśle budowy maszyn dla przemysłu drzewnego, a z Warszawy wyjechałem w 1952 r. z nakazem pracy.

W konsekwencji podlegałem Ministrowi Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, a następnie Ministrowi Przemysłu Ciężkiego, a nie jak Pan napisał Ministrowi Handlu Zagranicznego.

Na Kubie byłem na delegacji jako Dyrektor Techniczny Polsko-Kubańskiego Biura Projektów, którego dyrektorem był oczywiście Kubańczyk. A zadaniem moim (wbrew domysłom, które można wysnuć), było opracowanie technologii i doboru maszyn polskiej produkcji do trzech modernizowanych kubańskich fabryk płyt pilśniowych i wiórowych, z kubańskiego surowca jakim jest bagassa, czyli wyłoki trzciny cukrowej – a nie drewno. Nie będę wdawał się w szczegóły.

Jeżeli Pana recenzja miała być szczerą i dla mnie pomocna w doborze kadry pracującej społecznie, dla kontynuowania etosu Polskiego Państwa Podziemnego



„Światowy Związek

*i Armii Krajowej, jak też otaczania opieką
socjalną potrzebujących tego Powstańców
Warszawskich i innych kombatanów – to
trzeba było przyjąć do mnie i zgłosić swój
akces, a nie opłuwać pracujących ze mną
ludzi.*

Wybaczy Pan, ale w doborze kadry wzo-
rują się na Prezesie naszej Partii, któremu
nie przeszkadza przeszłość np. p. Piotrowi-
cza, jeżeli jest skuteczny w działaniu.

Mamy podpisane umowy o współpracę z Wojskiem i ją cenimy. Angażujemy też byłych wojskowych do kontaktów z młodzieżą, bo mają łatwiejszy kontakt.

Wojsko to wojsko. Pracuje Pan w Instytucie Wojskowym. Jeśli dobry Bóg pozwoli, nie będzie wojny. Ale jeśli będzie, wyślą Pana do wojska i będzie Pan zabijał, albo zabiją Pana, bo nikt nie uwierzy, że historyk nie umie strzelać. Takie jest życie.

A teraz do rzeczy.

Podjmuje Pan próbę przekonania czytelnika, że dominującą rolę w struktu-

rach Związku odgrywają ludzie powiązani
 niegdyś z panującym ustrojem, przynależ-
 ności partyjnej nie wyłączając. Pełnią rolę
 destrukcyjną dla współczesnego społe-
 czeństwa. Zapomina jednak, że w ustroju,
 którego chociażby z racji wieku Pan nie
 może pamiętać, miliony żyjących Polaków
 aby przeżyć, musiało nie tylko kształcić się
 ale i gdzieś pracować. I że właśnie to pokole-
 nie pańskich rodziców przez swoją postawę
 na tle reżimowego systemu, doprowadziło
 w końcu do jego obalenia. Prostota Pań-
 skiego rozumowania jest wprost zaskaku-
 jąca. Autor również szokuje. Píše, że część
 członków Prezydium ZG Związku chciaaby
 „za grube miliony” spieniężyć historyczny
 budynek PAST-y. Budynkiem PAST-y zarzą-
 dza zgodnie z prawem Fundacja Polskiego
 Państwa Podziemnego. Autor nie udowad-
 nia swojej tezy. On to po prostu wie.

Autor artykułu próbuje również w postawionych do artykułu тезach wciągnąć programowo apolityczny i apartyjny Zwią-



Żołnierzy... PRL

zek w rozgrywki polityczne, pozbawiając nas jednocześnie autonomii postępowania, a co najważniejsze myślenia i zdolności do samodzielnej oceny bieżącej rzeczywistości.

Armia Krajowa łączyła w imię nadrzędnej walki ludzi różnych postaw i poglądów. Cenckiewicz jest zbulwersowany! Pisz: „niektóre wypowiedzi prominentnych przedstawicieli Związku szokują”, a więc nie prodrodź im z przewodnią myślą wskazywaną obecnie przez obóz rządzący. I stąd najpierw pojawia się teza w formie stawianego pytania: „... czy te niepokojące symptomy są związane z rolą jaką w ŚZZAK odgrywają ludzie komunistycznego reżimu, którzy, jeśli nawet nie przeszli do końca Związku, to bez wątpienia próbują to uczynić?”. Skoro teza została postawiona to natychmiast następuje upublicznienie poufnych informacji z IPN, do których nasz historyk ma zapewniony dostęp. A jak się to ma do RODO? A dotyczy ludzi od dawna działających w Związku, ludzi o znanej przeszłości, ludzi spełniających

statutowe wymogi członkostwa. A więc spodziewać się powinniśmy pomocy zewnętrznej, aby nie dopuścić do „... przejęcia reszty Związku”?

Skąd, szczególnie my, te schematy postępowania znamy?

Jaką zatem miarą należy zmierzyć współczesnie przynależność do ŚZZAK? I kto ma ją wyznaczyć? Przecież to wyłącznie weterani AK wprowadzili do Statutu, na przełomie wieków, § 1 punkt 2: „Do Związku mogą należeć również osoby nie będące kombatantami, **członkowie rodzin weteranów walk o niepodległość, osoby uznające wartości Polskiego Państwa Podziemnego utożsamiające się z jego etosem i przesłaniem ideowym**, a także działacze opozycji antykomunistycznej z lat 1956–1989”.

Spółczesństwo polskie skażone jest okresem polskiego komunizmu. Tego nie da się wygumkować i wskazać jedynie słusznych kryształowych ludzi. Przeszliśmy poprzez okres mrocznej historii naszego Państwa,

zdołaliśmy przejść do upragnionej transformacji ustrojowej i przeprowadzić ją. Każdy obywatel mógł mieć większe lub mniejsze w tym zasługi.

Dziś tak ważna staje się obrona tych wszystkich wartości, które jako Związek określamy ogólnie etosem Armii Krajowej i realizujemy poprzez statutowo określone (§ 7) działania.

Jeżeli są osoby, które spełniając wymogi naszego Statutu, zostały legalnie członkami ŚZZAK i – co jest najważniejsze – swoją obecną postawą i wieloletnią działalnością wypełniają cele Związku, to nasuwa się pytanie, dlaczego mamy je przekreślać, dezawuować ich dorobek, pracę i dzisiejszą postawę patriotyczną.

Tę refleksję pozostawiam dr Cenckiewiczowi do przemyślenia. ©

Prezes Zarządu Głównego ŚZZAK
prof. dr hab. Leszek Żukowski



Sławomir Cenckiewicz

Znieskrywaną niechęcią przystępuję do odpowiedzi na list prezesa Światowego Związku Żołnierzy AK prof. Leszka Żukowskiego, skierowany do redaktora naczelnego „Do Rzeczy” w związku z moim artykułem „Światowy Związek Żołnierzy... PRL?” („Do Rzeczy”, nr 23, 4–10 czerwca 2018 r.). Podobnych listów, protestów, oświadczeń i donosów, których treść jest bardzo często do siebie podobna lub wręcz identyczna, krąży w ostatnim czasie wiele. Ich wspólną cechą jest rzucający się w oczy brak logiki, chaotyczność prezentowanych myśli, obrażanie mnie, ale – co najważniejsze – ucieczka od merytorycznego ustosunkowania się do zarzutów postawionych przeze mnie na łamach „Do Rzeczy”.

Z szacunku do rzeszy autentycznych żołnierzy Armii Krajowej i innych formacji zbrojnych walczących o niepodległość Polski w obu konspiracjach wojskowych (1939–1945 i 1945–1963) oraz w szeregach ruchu antykomunistycznego (1945–1989), którzy zrzeszyli się po 1989 r. w ŚZZAK, postanowiłem uczynić wyjątek. Nie mam jednak zamiaru polemizować z opiniami, które mnie i mojego artykułu nie dotyczą (jak anse prezesa ŚZZAK do J. Kaczyńskiego czy zarzucanie mi bezkrytyczności wobec przeszłości pośła S. Piotrowicza). Problem w tym, że poza tego typu wątkami i banałami w rodzaju: „Wojsko to wojsko” i „Jeśli dobry Bóg pozwoli, to nie będzie wojny”, niewiele w proteście prezesa Żukowskiego można wyczytać.

Postawiony mi zarzut „skłócenia Światowego Związku Żołnierzy AK” i wciągania go w „rozgrywki polityczne” poprzez ujawnienie skrywanej skrzętnie komunistycznej przeszłości niektórych członków władz Związku brzmi tyleż śmiesznie, co absurdalnie. W prezentowanych publicznie różnych stanowiskach ŚZZAK (także w liście do „Do Rzeczy”) pojawia się w dodatku opinia, że mój artykuł jest nieobiektywny i niczego nie udowadnia, zaś upublicznienie rzekomo „poufnych informacji z IPN” wiązało się z moją uprzywilejowaną pozycją i ze złamaniem ustawy o ochronie danych (RODO)! Chciałbym zatem oznajmić, że cytowane dokumenty są jawne, pocho-

dzą zarówno z archiwów IPN, jak i WBH, może mieć do nich nieskrępowany dostęp każdy publicysta i historyk, zaś przepisy RODO zawierają różnego typu wyłączenia związane z archiwistyką i badaniami naukowymi.

Warto wiedzieć, że już w latach 90., a ostatecznie z chwilą powstania IPN po 1998 r., skończyły się czasy krępowania wolności badań naukowych i dostępu do archiwów poprzez stosowanie różnych przepisów związanych z ochroną danych osobowych! Nikt i nic nie jest w stanie powstrzymać historyków przed odsłanianiem przeszłości komunistów i ich pomocników, choćby nawet ukrywali się

że po 1945 r., przeciwstawiając ich walkę i poświęcenie postawie z lat 1939–1945. Zamiast obrażać pamięć żołnierzy niezłomnych, niech prezes Leszek Żukowski sam wytłumaczy się z własnej przeszłości, o której w kartotece SB możemy przeczytać: „Były t[ajny] w[s]półpracownik] akta złożone w archiwum Wydz[iału] C K[omendy] W[ojewódzkiej] M[ilicji] O[bywatelskiej] Gdańsk do Nr 2396” (IPN, Kartoteka Ogólnoinformacyjna b. Biura „C” MSW)!

Możecie sobie panowie oświadczać, że to wy decydujecie, kto może być członkiem ŚZZAK, przywoływać swój statut umożliwiający przyjmowanie do Związ-

Skończyły się czasy krępowania wolności badań naukowych

Nikt i nic nie jest w stanie powstrzymać historyków przed odsłanianiem przeszłości komunistów i ich pomocników

za chwalebny sztyldem Armii Krajowej. I tak jest właśnie w przypadku członków władz ŚZZAK. Nie ma bowiem zgody na to, by sekretarzem Związku był donosiciel WSW i oficer LWP, wiceprezesem – pułkownik komunistycznej armii, a rzecznikiem prasowym – członek PZPR. Nie ma też zgody, by prezes ŚZZAK poniżał publicznie podczas państwowych uroczystości żołnierzy niezłomnych z AK, NSZ, NZW, WiN i KWP, walczących z okupantem sowieckim tak-

ku osób niebędących członkami AK, a nawet oznajmiać, że nie przeszkadzają w swoich szeregach ludzie PZPR, komunistycznego aparatu represji i jego współpracownicy. Wasze stanowisko brzmi jak samooskarżenie i wyrok wydany na kierowany przez was Związek, bo broniąc komunistów i konfidentów we własnych szeregach, potępiając żołnierzy niezłomnych, sami potwierdzacie jedynie tezę o przejęciu ŚZZAK przez ludzi niegodnych reprezentowania dumnej tradycji Armii Krajowej.

Ze swojej strony mogę jedynie przysiąc, że wasze pohukiwania i donosy kierowane do władz RP i moich przełożonych w MON nie zawrócą mnie z obranej drogi ujawniania waszej kompromitującej przeszłości. „Broni nie złożę. Munduru nie zdejmę. Tak mi dopomóż Bóg” – powiedział mjr Henryk Dobrzański ps. Hubal. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ponurak na wakacjach

Ponieważ naszym krajowym wakacom towarzyszyła dość kapryśna – mówiąc delikatnie – pogoda, porzuciliśmy rozkosze plażowania i byczenia się na leżaku. Zamiast tego zwiedzaliśmy. W samochodzie było ciepło, w zamkach nie padało na głowę, a poza tym po skończonej wyprawie można było z czystym sumieniem opróżnić butelczynę.

Ponieważ jeździliśmy całymi rodzinami, chętnie korzystaliśmy z usług przewodników. Po zamku w Liberu oprowadzała nas przewodniczka żywcem wyjęta z czasów mego dzieciństwa. Wielka wiedza, minimalny kontakt ze słuchaczem i recytowanie wykutych na blachę informacji. Raczej lakonicznych. I pełna powaga w narracji. Dzieci próbowały o coś dopytywać, ale nie udało im się rozbudzić w pani przewodniczkę pasji edukacyjnej. Głos, jako zawodowe narzędzie, oszczędzała bardzo starannie, nie wypowiadając ani jednego niepotrzebnego słowa.

Szczerze mówiąc, troszeczkę się z niej podśmiewywaliśmy. Że to niby ten klimat: „Po prawej katedra, po lewej pałac, przechodzimy, proszę się nie zatrzymywać”. Nic więc dziwnego, że z radością powitaliśmy zupełnie inny typ przewodnika, który zaroził się w rosnących jak grzyby po deszczu polskich atrakcjach turystycznych.

Zacznijmy od tego, że tych atrakcji jest znacznie więcej niż – powiedzmy – 15 lat temu. Każda gmina, każda – przepraszam za słowo –

dziura stara się znaleźć coś ciekawego na swoim terenie, to coś podrasować, ładnie wyeksponować i wyciągnąć pieniądze z żadnych doznań turystów. I oczywiście świetnie, że się tak dzieje.

Wtych atrakcjach króluje nowy model przewodnika. Nie jest to zasuszony naukowiec, cierpiący, bo zablokowano mu habilitację i zmuszono go do użerania się z turystami. Wręcz przeciwnie – to zazwyczaj showman, wesolek, niespełniony standuper albo chociaż naśladowca Marcina Dańca. Podczas wycieczek po takich miejscach jak zamek Czocha czy kopalnia złota w Złotym Stoku wysłuchałem kilkudziesięciu dowcipów o żonach, pozbywaniu się mężów oraz zastawianiu pułapek na teściowe. Nie jestem chyba ponurakiem (oczywiście tak zaczyna wynurzenia każdy ponurak), ale meczą mnie ludzie, którzy starają się być dowcipni w absolutnie każdym zdaniu swej opowieści. To po prostu niemożliwe, a raczej możliwe jedynie w amerykańskich tok-szołach, gdzie prowadzącemu teksty pisze świetnie opłacany batalion scenarzystów.

Ci nowi przewodnicy, fajni i sympatyczni, niestety za bardzo koncentrują się na aspekcie ludycznym swego działania, a za mało na wiedzy. No i te ich dowcipy nie zawsze są śmieszne.

– Zateśkniłem za panią z Liberu – podzieliłem się złośliwą uwagą z moim towarzystwem na koniec jednej z wycieczek. Spojrzeli na mnie oburzeni. No tak. Narzeka. Ponurak. I to podstarzały. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Licytacja i rozgrywka

Jedna z bezcennych rad karcianych, którą otrzymałem od mego ojca, brzmiała: „Wygrywaj maksymalnie przy karcie dobrej, staraj się stracić jak najmniej przy karcie złej”. Może nie jest to zgodne z etosem sarmackim, który szczególnie wysoko ceni sobie chlubne klęski, ale przeważnie skutkuje w polityce.

Talleyrand nie jest postacią z naszej bajki – rojalista, który głosował za straceniem króla, biskup, który czynnie likwidował francuski Kościół, i minister Napoleona, który spiskował z jego przeciwnikami – co tłumaczył dość szcze-

skuteczny. Podobno bomba, którą mimowolnie uzbili nasi poczcwiwy ustawą o IPN, została rozbrojona i w dłuższej perspektywie może się okazać, że przyniosła więcej korzyści niż szkód. Czasem żeby zrobić krok naprzód, należy zrobić krok do tyłu. Co jako pierwszy zauważył nasz prezydent, okrzyknięty przez „prawdziwych patriotów” Dudaczewskim. Historia pokaże, czy jego weta nie załatwiło mu reelekcji i panowania dobrej zmiany przez długie lata.

Kolejne nauki, które można czerpać od Talleyranda sprowadzają się do zasady: skłócać ze sobą silnych, posiłkować się słabymi. Swoją debiut w Wiedniu zaczął od obrony praw Portugalii, gdy nikt z wielkich nie zwracał sobie głowy jakąś prowincją.

W grze europejskiej można być klientem dwóch głównych mocarstw (Wielka Brytania się wybrexitowała), ale więcej daje bycie rzecznikiem państw mniejszych, które pojedynczo tworzą polityczny plankton, ale zjednoczone mają wielką przewagę. Interesy bywają sprzeczne – dlatego, żeby wygrywać, należy solidarnie bronić Wyszehradu, ale znajdować sojuszników – raz u państw nordyckich, kiedy indziej śródziemnomorskich. I targować się o wszystko, a nie jak sarmata rzucać w ruletce całą forszę na jeden numer.

I jeszcze jedno – zamiast eksponować sarmackie godność, cnotę i honor, wypada upodobnić się do pozostałych graczy. W miarę potrzeb być lisem lub wężem, a nigdy pawiem i papugą. Gra trwa! ©©

Więcej daje bycie rzecznikiem państw mniejszych

rze: „Cesarz czyni wszystko, aby wygrać, ja zastanawiam się, co zrobić, jeśli w końcu przegra”. Bonaparte rewanżował się mu, nazywając swego ministra głównym w jedwabnych pończochach, ale umarł na odległym wyspie, a Talleyrand – wiele lat po nim – we własnym łóżku. Ten mistrz gry ze słabymi kartami siadał do stołu podczas kongresu wiedeńskiego jako splekany gracz na dostawionym krześle, kończył jako niekoronowany władca Europy. I najważniejsze – ocalał przegraną Francją!

Ostatnie tygodnie przekonują, że nasi politycy zaczynają się wreszcie uczyć sztuki żeglowania pod wiatr. Beata Szydło w Brukseli była wręcz heroiczna, Mateusz Morawiecki

Czyj ten Grunwald?



Maciej Pieczyński

Mit odniesionego pod polskim sztandarem zwycięstwa nad niemieckim najeźdźcą nie jest już dziś tak bardzo potrzebny ani Litwinom, ani Białorusinom, ani Rosjanom

Zalgris, czyli Zielony Las. Tak Litwini nazywają Grunwald. Rocznicą wielkiego zwycięstwa nad Krzyżakami jest nad Wilią świętem narodowym, ale wcale nie najważniejszym. 15 lipca nie jest tam dniem wolnym od pracy. Nie zmienia to faktu, że „Żalgris” to nazwa mocno zakorzeniona w kulturze naszych północno-wschodnich sąsiadów. Kompania honorowa wojska litewskiego paraduje w strojach armii Witolda. Bitwy pod Grunwaldem poświęcone są ulice w około jednej trzeciej miast na Litwie. Nazwę „Żalgris” noszą również litewskie kluby piłkarskie (kibice Lecha Poznań z pewnością pamiętają pucharową potyczkę z Żalgrisem Wilno), a także litewska ekskluzywna wódka.

WITOLD KONTRA JAGIEŁŁO

Lata 30. XX w., Praga. Litewski attaché wojskowy wręcza czechosłowackim urzędnikom reprodukcję słynnej „Bitwy pod Grunwaldem” Jana Matejki. Ten podarunek ma bardzo konkretny wymiar związany z polityką historyczną. Jak bowiem wyjaśnia dyplomata, obraz został namalowany przez „bardzo znanego czeskiego malarza”, który w ten sposób chciał uwiecznić „wielkie zwycięstwo Czechów i Litwinów

nad wspólnym wrogiem”. To nie jest żart. Tę opowieść można znaleźć w czeskich źródłach. Oczywiście z polskiej perspektywy to skandal. Nie tyle jednak kłamstwo, ile manipulacja faktami. Ojciec Jana Matejki istotnie był Czechem. Pod Grunwaldem istotnie walczyli także Litwini i Czesi.

Łatwo zrozumieć (choć absolutnie nie da się tego usprawiedliwić), dlaczego akurat w latach 30. te dwa narody rugowały sojusz z Polską i polskie zasługi ze swoich pamięci. Z Litwinami dzieliła nas wówczas Wileńszczyzna, z Czechami – Zaolzie. Młody litewski naród, podobnie jak starsi historycznie Białorusini i Ukraińcy, budował swoją tożsamość w opozycji do Polski. W tej tożsamości nie było miejsca na kult „wielonarodowej Rzeczypospolitej”. – Na początku XX w., gdy formowała się nowoczesna tożsamość narodu Litwinów, pojawił się problem, jak mówić o Grunwaldzie. Trudno było pomijać całkowicie rolę Polaków, a chwalić ich też nie wypadało, bo przecież celem była budowa własnego, niezależnego od Polski państwa. Dlatego początkowo na temat Grunwaldu milczano. W okresie międzywojennym temat wrócił. Postawiono na interpretację, w myśl której do zwycięstwa nad Krzyżakami nie doprowadził król Polski Władysław Jagiełło,

lecz wielki książę litewski Witold – mówi „Do Rzeczy” Alvydas Nikžentaitis, historyk litewski, prezes zarządu Forum Dialogu i Współpracy im. Jerzego Giedroycia. Jak twierdzi, opozycja „zły propolski zdrajca Jagiełło” versus „dobry litewski bohater Witold” funkcjonuje być może jeszcze w stereotypowym odbiorze społecznym, jednak współcześni litewscy historycy raczej nie mają już wątpliwości, że Grunwald to wielki sukces obu tych postaci.

Nie oznacza to jednak szczególnie dobrej wiadomości dla Polaków. – Pewien litewski historyk w rozmowie ze swoimi polskimi kolegami zażartował, że nie jest już ważne, kto wygrał: Jagiełło czy Witold, bo obaj przecież byli Litwinami, więc i tak wiadomo, czyja to jest zasługa – mówi Alvydas Nikžentaitis. Nie jest jednak tak, że Wilno buduje swoją politykę historyczną na miecie Grunwaldu. Jak mówi Nikžentaitis, za prezydentury Valdas Adamkusa, gdy Polska i Litwa starały się o wejście do NATO, wspólne zwycięstwo sprzed kilku stuleci było jeszcze przedstawiane jako wzorcowy przykład sojuszu obu narodów. Dzisiaj jednak dla litewskiej tożsamości narodowej ważniejsze jest wspomnienie II wojny światowej (niestety, z tej perspektywy Niemcy hitlerowskie były sojusz-



FOT. WIKIPEDIA

historycznych, w tym także w rocznicę bitwy pod Grunwaldem. Zgodnie z litewską i białoruską narracją sławi księcia Witolda.

Warto na chwilę zatrzymać się przy tej postaci. Oczywiście dla Białorusinów, podobnie jak dla Litwinów, to nie Jagiełło, lecz Witold jest prawdziwym bohaterem narodowym. Z polskiej perspektywy cieniem na wielkim księciu litewskim kładą się m.in. jego taktyczne sojusze z Krzyżakami. Dla Białorusinów wręcz przeciwnie, to powód do dumy. – O Jagielle mówi się, że sprzedał wiarę przodków, przechodząc na katolicyzm. Natomiast Witold to twórca potęgi WKL. Był współautorem grunwaldzkiego zwycięstwa, równocześnie jednak opóźniał marsz na Malbork i jako pierwszy odstąpił od oblężenia stolicy zakonu krzyżackiego. Zrobił to dla dobra Litwy – komentuje Aleś Kraucewicz, białoruski mediewista. – Witold nie chciał dopuścić do zniszczenia zakonu krzyżackiego, bo to oznaczałoby nadmierne wzrost polskiej potęgi i zagrożenie dla niepodległości Litwy – dodaje.

„Książę Witaut, haspadar na Litwie”, jak śpiewa o nim Stary Olsa, był zatem zręcznym politykiem. Zespół wykonuje też po polsku „Bogurodzicę”, którą mieli śpiewać rycerze Władysława Jagiełły pod Grunwaldem. Stary Olsa odwołuje się do spuścizny Wielkiego Księstwa Litewskiego, która jest bardzo ważna dla białoruskiej opozycji, jednak nijak nie wpisuje się w oficjalną politykę historyczną Mińska. Z pozoru wydawałoby się, że Grunwald to wymarzony mit dla Aleksandra Łukaszenki, który przecież mocno akcentuje swój sentyment do czasów sowieckich, a wiadomo, że komuniści starali się pokazać zwycięstwo nad Krzyżakami jako zwycięstwo Wschodu nad Zachodem, jako potężny cios zadany niemieckiemu „Drang nach Osten”.

Dlaczego zależny od Moskwy Łukaszenko nie idzie tym tropem? – Rzeczywiście, obraz Grunwaldu w oczach Białorusinów w dużej mierze kształtowany był przez sowiecką historiografię, przedstawiającą tę bitwę jako walkę z niemiecką ekspansją. Jednak Łukaszenko jest pragmatykiem. Pomimo zależności od Rosji chce robić interesy także z Niemcami, a w tym kult Grunwaldu może tylko przeszkodzić, nie dając wiele w zamian – tłumaczy Aleś Kraucewicz, białoruski mediewista. Nie oznacza to jednak, że Grunwald wzięła na polityczny sztandar antyłukszenkowska opozycja, kultywująca pamięć o WKL jako kontrpropozycję dla prosowieckiej polityki historycznej

Mińska. Dla niej – jak podkreśla Kraucewicz, sam związany z prozachodnim ruchem demokratycznym na Białorusi – zawsze najważniejsza pozostanie bitwa pod Orszą. Powód jest oczywisty. Kojarzące się z Grunwaldem zagrożenie niemieckie jest nieaktualne. Natomiast Moskwa, którą Litwini pokonali w 1514 r. pod Orszą, wciąż jest zdaniem walczącej z rusyfikacją białoruskiej opozycji największym wrogiem ich tożsamości.

OTWARCIE BRAMY NA WSCHÓD

Dla Moskwy Grunwald, pożyteczny w czasach ZSRS jako przykład słowiańskiego zwycięstwa nad niemieckim najeźdźcą, dziś już nie jest tak atrakcyjny. Co prawda Rosjanie lubią wspominać, że w składzie wojsk Witolda walczyły również pułki smoleńskie. Jednak z drugiej strony, chwając się pokonaniem Krzyżaków, nie sposób dziś już pomijać polskich zasług choćby z tak banalnego powodu, że Grunwald położony jest w granicach Polski, a poza tym przez dziesięciolecia PRL Moskwa wspierała polski kult tego zwycięstwa. W dobie obecnego stanu relacji na linii Kreml – Warszawa to się zwyczajnie naszym agresywnym sąsiadom nie opłaca.

Dlatego obecna rosyjska mitologia odwiecznej walki z „najeźdźcą z Zachodu”, w której jednym tchem wymieniani są Napoleon (1812), Piłsudski (1920) i Hitler (1941–1944), miejsca na Grunwald nie pozostawia. O bitwie pisze się raczej w kategoriach czysto historycznych, bez wyraźnego ostrza propagandowego. Aleksiej Denisenkow na łamach niezwykle poczytnej (i często broniącej sowieckiej spuścizny) „Komsomolskiej Prawdy” wręcz próbował odciąć się od tradycji nazywania Grunwaldu starciem Wschodu z Zachodem. „Uważa się, że klęska wojsk zakonnych była korzystna dla Księstwa Moskiewskiego, ponieważ oznaczała rękoma zatrzymanie niemieckiego Drang nach Osten. To błędne myślenie, wynikające z ideologicznych przesłanek – dowodzi Denisenkow. – Głównym geopolitycznym rezultatem bitwy pod Grunwaldem było osłabienie zakonu krzyżackiego, co naruszyło równowagę sił w Europie Wschodniej, wzmacniając rolę Polski i Litwy, co w żaden sposób nie mogło się podobać książętom moskiewskim. Tak naprawdę w efekcie osłabienia zakonu Wielkie Księstwo Litewskie ruszyło z ekspansją na wschód, w stronę Moskwy”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

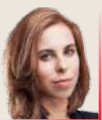
nikiem, zainteresowanym budowaniem fasady państwowości litewskiej, wrogami zaś – komuniści i Armia Krajowa, broniąca przedwojennych granic, czyli przynależności Wilna do Polski) czy historia najnowsza (odzyskanie niepodległości w efekcie rozpadu ZSRS).

PIĘŚNI O WITOLDZIE

Historyczna Litwa składała się w większości z ziem ruskich, była pod wpływem prawosławnej kultury, a sam Jagiełło mówił po starobiałorusku. Dlatego Grunwald – o czym często zapominamy – to także dziedzictwo białoruskie. „Sławię odwagę wojowników sarmackich, co usiekli w bitwie rycerzy krzyżackich” – śpiewa białoruski zespół Stary Olsa w pieśni pt. „Bitwa grunwaldzka”. Tekst jest przekładem fragmentu kroniki Macieja Strykowski, XVI-wiecznego polskiego historyka. Opowiada o tym, jak to Polacy i Litwini – co istotne! – wspólnie „powstrzymali gwałt krzyżacki” oraz „zdobyli sławę i wolność dla ojczyzny miłej”.

Stary Olsa wykonuje tzw. medieval folk, oparty na rekonstrukcji muzyki średnio-wiecznej, sławiącej dawne dzieje, przy akompaniamencie instrumentów z epoki. Często występuje na polskich festiwalach

Ocalałe z piekła Wołynia



Anna Herbich

Cudem udało im się uciec spod banderowskich noży. A dziś opowiadają o gehennie swoich rodzin

Śnieg był po pas. Zapadaliśmy się. Grube zimowe płaszcze płątały nam nogi. Brakowało tchu. Mama biegła, ściskając kurczowo za rękę mojego braciszka. My z siostrą pędziłyśmy obok. Nie mieliśmy jednak najmniejszych szans na ucieczkę. Ścigający nas mordercy byli na koniach.

W końcu dopadli nas. Nie pamiętam, ilu ich było. Zajechali nam drogę, otoczyli. Konie stawały dęba, rżały. Oni wrzeszczeli. W ich rękach zobaczyłam broń. Mama nawet niektórych poznała, bo zaczęła wołać do nich po imieniu. Rozpaczliwie błagała, żeby darowali nam życie, wyciągała w ich stronę ręce...

Jeden z Ukraińców wymierzył w mamę z karabinu. Pamiętam jej ostatnie słowa:

– Dzieci! Przeżegnajcie się!

Sama zdążyła zrobić znak krzyża, gdy huknął strzał. Mama runęła w śnieg. Kula przeszła jej głowę na wylot. Razem z mamą przewrócił się mój braciszek. Kiedy leżał w śniegu, jeden z upowców najechał na niego koniem. Jęknął. Kopyto zgmiotło mu klatkę piersiową.

Tymczasem jeden z morderców wziął mnie na celownik. Nacisnął spust. Usłyszałam huk kolejnego wystrzału. A potem szarpnięcie. Trafił mnie w nogę! Po całym moim ciele rozlała się fala gorąca. Z czarnej dziury buchnęła gęsta krew. Przewróciłam się w śnieg, który wokół mnie zaczął robić się czerwony.

Do tej pory mam pod udem wielką bliznę. Pokażę pani. O, tutaj. Tędy kula weszła, a tędy wyleciała. Pocisk przeszedł na wylot. Czy mnie bolało? Na początku nie. Byłam w szoku.

Ta dramatyczna scena rozegrała się 13 lutego 1944 r. na Wołyniu, w kolonii Stefanówka w gminie Werba. Helena Zacharczuk – dziewczynka, która została postrzelona przez ukraińskiego nacjonalistę – miała wówczas 13 lat. Kiedy UPA napadła na jej rodzinną wioskę, Helena wraz z młodszym rodzeństwem i mamą wybiegła z domu.

Wokół rozgrywały się dantejskie sceny. Do Stefanówki wdzierali się uzbrojeni po zęby banderowcy. Słychać było strzały i krzyki przerażonych mieszkańców. Polska rodzina rzuciła się do ucieczki. Niestety, daleko nie udało im się uciec. Oprawcy dopadli ich opodal domu.

„Ukraińcy sądzili, że nie żyjemy, i zawrócili konie – opowiada pani Helena. – A my leżeliśmy w śniegu. Ja, mama, braciszek i siostra. Ją też postrzelili. Straciłam przytomność. Nie wiem, na jak długo. Potem świadomość zaczęła wracać. Siostra odezwała się jako pierwsza.

– Pić... Chce mi się pić... – zaczęła.

Szepnęłam do niej, żeby jadła śnieg. Po chwili usłyszałam płacz braciszka. Okazało się, że przeżył uderzenie końskim kopytem. Leżał teraz na ziemi, ściskając rękę martwej mamy. Miał dopiero cztery latka, nie rozumiał, co się dzieje. Był całkowicie zdezorientowany.

Ja byłam od niego znacznie starsza i miałam pełną świadomość sytuacji. Rozumiałam, że właśnie straciliśmy mamę. Domyślałam się również, że mordercy nadal mogą czaić się gdzieś w pobliżu. Zawołałam do brata, żeby się do mnie przyczołgał. Sama nie mogłam się ruszyć. Ale on niestety wstał i zaczął chodzić między leżącymi. Oprawcy natychmiast go dostrzegli. I wrócili.

Znowu usłyszałam tętent kopyt. A po chwili strzały. Ci zwyrodnialcy zaczęli strzelać do leżących! Znowu mnie trafił. Poczulałam, jakby przez moje ciało przeszedł prąd, zrobiło mi się ciemno przed oczami. Tym razem rana była poważniejsza – pocisk przeszył płuco.

Wkrótce zaczął zapadać zmrok. O tej porze roku wcześniej zaczynało się ściemniać. Mrok nocy rozświetlała jednak łuna pożaru. To płonęła nasza wieś. Słyszałam ryk przerażonego, płonącego żywca bydła. Krzyki, strzały. Pogrom trwał.

Przy trzeciej próbie wstania zemdlałam. Braciszek siedział przy mnie i cicho płakał.

Tej samej nocy, kiedy rzeź dobiegła końca i banderowcy odjechali, ocalili



FOT. MAREK DUBAS/REPORTER

z pogromu mieszkańcy Stefanówki wyszli z ukrycia i zaczęli szukać rannych. Kiedy dotarli do miejsca, w którym leżała rodzina Heleny, jedynie malutki braciszek dawał oznaki życia. Ludzie chcieli zabrać go z miejsca tragedii, ale on powiedział, że muszą zabrać też jego starszą siostrę Helenę.

Zapewniał, że choć leży nieprzytomna – żyje. Mówił, że bez niej nigdzie się nie ruszy. W ten sposób uratował Helenie życie. Ocaleli z pogromu podnieśli ją ze śniegu i zanieśli do jednej z niespalonych chałup. Młodsza siostra i mama zostały w Stefanówce na zawsze. Obie nie żyły.

Helena Zacharczuk nie była jedyną cudownie uratowaną z masakry. Podczas dalszego poszukiwania rannych wydarzył się prawdziwy cud. Mężczyźni zajrzeli do jednego ze stogów siana stojących na polu pod Stefanówką. Ku swojemu zdumieniu w środku znaleźli 14-letnią Petronelę Kudrel. Dziewczyna była cała we krwi, banderowcy zadali jej 12 ciosów bagnetem. W tym jeden tuż obok kręgosłupa. Ona jednak żyła.

Siedziała zagrzebana w sianie przez dwa dni i – mimo ostrego mrozu – nie zmarzła. Odmroziła jedynie dwa palce. Natychmiast przewieziono ją do Bielina, gdzie w polowym szpitalu Armii Krajowej leżała już pani Helena. Obie wyzdrowiały, choć pani Helenie lekarze początkowo nie dawali większych szans. W łóżku spędziła wiele miesięcy.

Po przejściu frontu pani Helena wraz z ojcem i młodszym bratem wyjechała

z Wołynia. Rodzina przedostała się za Bug i osiedliła się na Lubelszczyźnie.

„Na Wołyni pojechałam, kiedy było można – mówi. – Czyli w latach 90. Było to dla mnie bardzo ciężkie przeżycie. Do rodzinnego domu nie poszłam, bo przecież już go nie ma. Nie było po co. Na moim ciele do dzisiaj pozostały blizny. A w prawym płucu cały czas noszę odłamek pocisku. Gdy chodzę do lekarzy – oglądają widniejące na moim ciele ślady po kulach ze zdumieniem. Mówią, że nie miałam prawa przeżyć. Że z medycznego punktu widzenia to niemożliwe”.

KRWAWA WIGILIA

„Zdążyliśmy się podzielić opłatkiem – opowiada pani Helena Ciszak – gdy do domu z impetem wpadła sąsiadka, Ukrainka, z którą byliśmy zaprzyjaźnieni. Była blada jak kreda.

– Paulina! – krzyknęła od progu do mamy. – Uciekaj! Polaków mordują!

W jednej chwili cały świąteczny czar prysł. Spojrzeliśmy na nią w osłupieniu. Mordują? W Wigilię?! To przecież niemożliwe!

Niestety, to było możliwe. Nasza sąsiadka mówiła prawdę. Wykorzystując to, że Polacy siedzieli przy świątecznych stołach, do wsi wdarł się oddział UPA. W ruch poszły siekiery, noże i karabiny”.

Dzielny ksiądz Stanisław Szczepankiewicz zaczął bić w dzwony na trwogę, aby ostrzec parafian przed niebezpieczeństwem. Ci, którzy usłyszeli bicie, rzucili się do ucieczki i uratowali. Dom pani

Zacharczuk położony był jednak na skraju wsi, przy wylocie szosy do Tarnopola. Z tak dużej odległości nie słychać było dzwonów. Gdyby nie ukraińska sąsiadka, nacjonaliści zaskoczyliby polską rodzinę przy stole.

„Mama na wieść o tym, co się dzieje, chwyciła na ręce mojego brata – mówi Helena Ciszak. – Ja przyskoczyłam do niej i uczepiłam się kurczowo jej spódnicy.

– Boże, co robić? Gdzie ja się podzieję? – powiedziała mama bezradnie.

Staliśmy przez chwilę przytuleni do siebie na środku pokoju. Obok stał wigilijny stół z pięknym nakryciem i świątecznymi potrawami. Mama zaczęła szlochać. Nie wiedziała, jak się zachować. Do domu zaczęły już dobiegać pierwsze strzały. Oprawcy zaraz tu będą.

W naszej sąsiadce widok bezsilnej mamy – zawsze takiej pewnej siebie i zdecydowanej – wzbudził litość.

– Zabiorę twoje dzieci do siebie – powiedziała. – A ty nie wiem, co zrobisz.

Mama potrząsnęła głową:

– Nie, ja dzieci nie zostawię. Nie ma mowy.

Ukraińska zdecydowała się błyskawicznie:

– Dobrze, zaryzykuję.

I pokazała, żebyśmy natychmiast biegli do jej chałupy. Po chwili byliśmy w środku. Mnie i brata Ukrainka położyła w łóżku między swoimi własnymi dziećmi i przykryła kołdrą. A mamie powiedziała, że ma się ukryć na zapiecku. Zgasiła światło.



Rodzinę Heleny Ciszak uratowała ukraińska sąsiadka FOT. RAFAŁ GUZ/WYDAWNICTWO ZNAK



Helena Zacharczuk miała 13 lat, kiedy UPA napadła na jej wioskę FOT. RAFAŁ GUZ/WYDAWNICTWO ZNAK



Janina Kalinowska nie pamięta niczego, co się działo się przed pogromem FOT. RAFAŁ GUZ/WYDAWNICTWO ZNAK

Coż to była za straszliwa noc! Leżeliśmy w obcym łóżku, w obcym domu. W ciemności. A wokoło szalał pogrom, którego odgłosy docierały przez okna. Banderowcy bezlitośnie mordowali naszych sąsiadów, nie oszczędzając kobiet i dzieci”.

W Wigilię 1944 r. ukraińscy nacjonaliści zamordowali ok. 90 polskich mieszkańców Ihrowicy – wsi położonej na Podolu, na północ od Tarnopola. Rodzina pani Ciszak przeżyła dzięki dobrej Ukraince. Sąsiadce, która podjęła gigantyczne ryzyko i zdecydowała się udzielić pomocy polskiem bliźnim. Decyzja o ratowaniu Polaków wymagała wielkiej odwagi.

Ukraińska sąsiadka ryzykowała życie swoje i swoich dzieci. Gdyby banderowcy dowiedzieli się, że w jej domu ukrywają się Polacy, nie mieliby litości. Zamordowałiby obie rodziny. I polską, i ukraińską.

Pani Helena do rodzinnych Ihrowic wróciła po 60 latach. Znalazła swój dom, w którym teraz mieszka ukraińska rodzina. Razem ze swoim ciotecznym bratem, Janem Białowasem, doprowadzili do postawienia w Ihrowicy pomnika upamiętniającego mord na Polakach. Niestety, w 2013 r. doszło do aktu dewastacji. Nieznani sprawcy ostrym narzędziem próbowali wydrapać widniejące na pomniku słowo „zamordowanych”.

DOM W PŁOMIENIACH

„Poczułam, że ogarnia mnie fala gorąca. Było coraz intensywniejsze, nie mogłam złapać oddechu. Skóra piekła mnie niemiłosiernie. Parzyła. Obudziłam się, gwałtownie zaczerpnęłam powietrza. Leżałam na wznak na ziemi, dom płonął. Na mnie paliło się ubranie.

Zerwałam się na równe nogi i popędziłam do stojącego na podwórku

poidła dla zwierząt. Zacerpnęłam ręką wodę i oblałam ramię. Poczułam ulgę, ale tylko na moment. Skóra okropnie piekła – byłam paskudnie poparzona. Rozejrzałam się wokoło. Chociaż był środek nocy, było jasno jak w dzień od łuny pożaru. Przed płonącym domem leżały bezwładnie trzy ciała.

O Boże, to mama! Dосkoczyłam do niej, zaczęłam krzyczeć i ciągnąć ją za ramię.

– Mam! Mamusi! Wstawaj, błagam cię! Wstawaj!

Ale ona nie wstawiała. Leżała bez ruchu i patrzyła we mnie szeroko otwartymi oczami.

Te oczy... Nieruchome oczy mojej martwej matki. Nigdy ich nie zapomnę... Nawet ich nie przymknęłam, nie wiedziałam, że tak należy zrobić. Byłam w końcu malutką dziewczynką. Zerwałam się i pobiegłam dalej. Zostawiłam mamę na ziemi, całą we krwi.

Do kogo należały dwa pozostałe ciała? Do mojego taty i braciszka.

Nie docierało do mnie, że nie żyją. Że zostałam na świecie sama. To było coś, co przekraczało granice wyobraźni dziecka”.

Kiedy zginęli jej rodzice, pani Janina Kalinowska miała kilka lat. Ile dokładnie – nie wie. Niczego, co działo się przed pogromem, nie pamięta. Nikt z jej rodziny bowiem nie ocalał z rzezi. Nie miała więc kogo zapytać. Nie jest nawet pewna swojego panieńskiego nazwiska. Wie tylko tyle, że mieszkała w kolonii Funduma w gminie Chotiaczów w powiecie włodzimierskim.

Po wojnie Janina Kalinowska trafiła do rodziny, która

traktowała ją fatalnie i niemal doprowadziła do śmierci. Trafiła do szpitala z obustronnym zapaleniem płuc. Cudem przeżyła. Później przeszła przez dwa domy dziecka. Mimo tych ciężkich doświadczeń udało się jej odbudować strzaskane życie. Wyszła za mąż, urodziła dwoje dzieci. Doczekała się już pierwszego prawnuka.

Jest prezesem Stowarzyszenia Upamiętniania Polaków Pomordowanych na Wołyniu, które od 1992 r. zajmuje się stawianiem krzyży w miejscach, w których zostali zamordowani Polacy. W 2001 r. pani Janinie się udało postawić krzyż w rodzinnej Fundumie. Stoi przy drodze. Jest na nim tabliczka poświęcona rodzicom i podpis: „Córka Janina”.

„Wołyń złamał mi życie – mówi pani Kalinowska. – Ludobójstwo nie skończyło się dla mnie w roku 1943. Konsekwencje tej tragedii odczuwałam jeszcze przez wiele, wiele lat. Odczuwam je zresztą do dziś. Całe moje życie upływa w jego cieniu”.

Podobnego zdania jest Zofia Szwał, ocalała z Wołynia, która również działa w stowarzyszeniu.

„Żadne słowa, żadne czyny nie zwrócą nam bliskich – przekonyuje. – Zadane nam straty są nieodwracalne. Nie oznacza to jednak, że mamy milczeć na temat naszej życiowej tragedii. Często słyszę, że Wołyniacy dyszą żądzą zemsty i rozsiewają nienawiść między narodami. Ale nam nie chodzi o zemstę. Nam chodzi o prawdę”.

© 2018 Wszystkie prawa zastrzeżone

Opowieści ocalałych kobiet pochodzą z książki Anny Herbach „Dziewczyny z Wołynia” (Znak).



ANNA HERBACH
„DZIEWCZYNY
Z WOŁYNIA”
ZNAK 2018



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

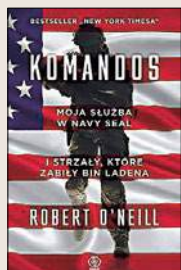
Kula w głowie bin Ladena

Skręciłem w prawo i spojrzałem przez drzwi do pokoju. Osama bin Laden stał przy wejściu, u stóp łóżka, wyższy i szczuplejszy, niż się spodziewałem. Z krótszą brodą, bardziej siwą niż włosy. Ale to był ten facet, którego twarz widziałem dziesięć, sto tysięcy razy w wiadomościach. Trzymał przed sobą kobietę. W niecałą sekundę wycelowałem w punkt ponad prawym ramieniem kobiety i dwukrotnie nacisnąłem spust. Głowa bin Ladena pękła, a on upadł. Wpakowałem mu jeszcze jedną kulę w głowę. Na wszelki wypadek”.

W ten sposób Robert O'Neill – żołnierz legendarnej amerykańskiej formacji Navy SEALs – przeszedł do historii. To on wykonał wyrok na najgroźniejszym terrorysty w historii świata, organizatorze zamachu na World Trade Center. Teraz wspomnienia O'Neilla, które cieszyły się zawrotnym powodzeniem w USA, trafiły do Polski.

„Chcieliśmy zrobić zdjęcia cyfrowe, aby potwierdzić wynik naszej akcji – relacjonuje O'Neill. – Głowa bin Ladena nie była w najlepszym stanie. Nad brwiami ziała szeroka szczelina. Melon upuszczony na posadzkę. Pochyliłem się i przycisnąłem części czaszki do siebie, próbując przywrócić jego twarzy rozpoznawalne cechy. Facet z aparatem zrobił całą serię zdjęć”. Robert O'Neill we wciągającej książce z najdrobniejszymi szczegółami opisuje całą akcję. To, jak Amerykanom udało się wytropić kryjówkę bin Ladena w Pakistanie i jak zaplanowali likwidację. Jak komandosi wdarli się do domu szefa Al-Kaidy i jak udało im się potem uciec, z ciałem bin Ladena w plastikowym worku. Książka nie jest jednak tylko opowieścią o tej jednej wielkiej operacji. O'Neill to niezwykle doświadczony komandos, który brał udział w blisko 400 akcjach bojowych. Część z nich przedstawia w swoich wspomnieniach. Pisz o procesie rekrutacji i morderczych szkoleniach. Odsłania kulisy funkcjonowania Navy SEALs.

„Komandos” to opowieść o dzielnym człowieku, który dobrze zasłużył się ojczyźnie. Gdy O'Neill zastrzelił bin Ladena, jeden z kolegów poklepał go po ramieniu i powiedział: „Teraz już wiesz, jak to jest być pieprzonym bohaterem”. ©©



★★★★★
ROBERT O'NEILL
„KOMANDOS”
REBIS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kłątwy Jagiellonów

Jak wiadomo, zmarli nie lubią zakłócania spokoju, nawet w celach naukowych. Stąd pokaźna liczba opowieści o zemście z zaświatów na osobach, które odważyły się otwierać groby i badać szczątki sprzed lat. Najśłynniejszą z nich jest oczywiście kłątwa Tutanchamona, jednak w naszym kraju również można znaleźć

gu 10 lat zeszło z tego świata aż 15 osób, a przyczynami zgonów były udary, zawały serca lub wylewy. Być może wyjaśnieniem tych wydarzeń był fakt, że podczas badań królewskich szczątków wyizolowano nieznane wcześniej szczepy bakterii. Udało się je ożywić, po czym, dla bezpieczeństwa, zniszczono je. Przy okazji w grobowcu znaleziono również grzyby z rodzaju kryptodlaków, które wytwarzają groźne dla zdrowia toksyny. Prawdopodobnie to one spowodowały śmierć badaczy.

Seria zgonów nie dotknęła jednak osób najbardziej zaangażowanych w penetrowanie Kaplicy Świętokrzyskiej. Profesor Zdzisław Marek, czyli lekarz, który badał szczątki króla, archeolog Stanisław Kozieł i dziennikarz Zbigniew Święch okazali się odporni na działanie „kłątwy”. Tłumaczyli, że „staropolskim zwyczajem uodparniali się w miarę możliwości”, co okazało się bardzo skuteczne...

Inną niesamowitą legendą z katedry wawelskiej jest sprawa „oddychającego nagrobka” Władysława Warneńczyka. Jak wiadomo, król zginął w bitwie z Turkami i jego ciała nigdy nie odnaleziono, jednak 7 lipca 1906 r. odsłonięto jego sarkofag autorstwa Antoniego Madeyskiego. Chociaż jest to grób symboliczny, to pojawiły się pogłoski, że figura władcy na pustym nagrobku czasami porusza się tak, jakby oddychała. Niektórzy uznali to za dowód pokuty króla za złamanie układu zaprzysiężonego z sułtanem, czego rycerz nigdy nie powinien zrobić, nawet wobec niewiernego. ©©

Kiedy zaczęli umierać następni uczestnicy badań, pojawiły się pogłoski o „kłątwie Jagiellończyka”

podobny przypadek. Wiosną 1973 r. zdecydowano się bowiem na otwarcie grobowców Kazimierza Jagiellończyka i jego żony, Elżbiety Rakuszanek, w katedrze wawelskiej, które nie były otwierane od dnia pogrzebu, czyli od blisko 500 lat.

Po zbadaniu szczątków jesienią odbył się ponowny pochówek, a kilkanaście miesięcy później zaczęły się problemy. Jako pierwszy zmarł wawelski architekt Feliks Dańczak, a niedługo po nim – główny specjalista do spraw konserwacji Wawelu, Stefan Walczy. W obu przypadkach przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu, czego początkowo nie kojarzono ze sprawą otwarcia królewskich grobów. Kiedy jednak zaczęli umierać następni uczestnicy badań, pojawiły się pogłoski o „kłątwie Jagiellończyka”. Łącznie w cią-

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

**NIE POZWÓLMY, ABY
WYDARZENIA SPRZED LAT
ULEGŁY ZATARCIU.
DZIELMY SIĘ RELACJAMI
Z TEGO TRUDNEGO CZASU.
KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981,
NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE
WSPOMNIENIA.
UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY
W SWOIM RODZAJU OBRAZ
TAMTYCH DNI.**

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU

**WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIENI!**

**PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL**





Z Jensem Høvsgaardem, duńskim dziennikarzem, autorem książki o Nord Stream rozmawia Piotr Włoczyk

Gazprom to taran

PIOTR WŁOCZYK: Jak trudno będzie powstrzymać budowę drugiej nitki Nord Streamu?

JENS HØVSGAARD: To bardzo trudne zadanie. Teraz Rosjanom brakuje już tylko zgody Danii spośród wszystkich krajów, które mogłyby zablokować budowę. Czyli mamy dokładnie odwrotną sytuację niż w przypadku Nord Stream 1, gdy Dania jako pierwsza wyraziła zgodę na ten projekt. Mam nadzieję, że nasz rząd nie wyrazi na to zgody, ale prawdę mówiąc, nie jestem w tej kwestii optymistą.

Z pańskiej książki wynika, że ten projekt jest jak pędzący taran, który zmiata wszystko na swojej drodze.

Myślę, że to porównanie nie jest przesadą. Poza rosyjskim taranem jest tu jednak również niemiecki taran. Te

dwa kraje razem to prawdziwa potęga. Problem w tym, że niemieckie interesy są tak ściśle połączone w tej kwestii z rosyjskimi, że stanowią właściwie jedność. W Niemczech Nord Stream popierany jest od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy. AfD, Die Linke, SPD, FDP, CDU – wszystkie te partie chcą gazociągu. Ta niemiecko-rosyjska współpraca energetyczna trwa już od blisko półwiecza, od rządów Willy'ego Brandta. Największe niemieckie firmy są udziałowcami w Nord Stream. Gazowe interesy owocują otwarciem rosyjskiego rynku na niemieckie produkty, więc to kuszący biznes.

Jednak mimo wszystko Angela Merkel nie dała się poznać jako entuzjastka tego projektu.

Merkel początkowo sprzeciwiała się takiej polityce energetycznej, a dziś pewnie po cichu marzyłoby się jej powiedzenie: „Nein!”, ale prawda jest taka, że kanclerz nie ma wyboru. Wie, że więcej w Nord Stream polityki niż potrzeb gospodarczych, jednak wszyscy politycy dookoła niej domagają się wsparcia dla tego projektu. To jest właśnie sedno tego wszystkiego. To bardzo polityczne przedsięwzięcie. Ta rura to broń geopolityczna. Putin będzie mógł zakręcić gaz Ukrainie, Polsce, całemu wschodniemu regionowi Europy. Jeżeli powstanie Nord Stream 2, to Putin będzie już mógł bez najmniejszego trudu ominąć Ukrainę i Polskę, a także na trwałe podzieli UE, jeżeli chodzi o politykę energetyczną.



Rasmussena o udostępnienie mi kilku dokumentów dotyczących Nord Stream.

Transparentność to przecież wasz znak firmowy.

Tak, jesteśmy dumni z naszej otwartości, dlatego tak bardzo zdumiała mnie odpowiedź rządu na moją prośbę. Całe strony były zakreślone czarnym flamastrzem, czytelna była tylko data. Gdy to zobaczyłem, pomyślałem sobie: „Tak, to jest duży temat!”. W czasie prac nad tą książką wielokrotnie natrafiałem na ścianę. Nie jestem tak skuteczny i potężny jak Gazprom czy KGB, więc zbieranie informacji o tym projekcie było bardzo trudne. Musiałem bazować na okruchach informacji, które udawało mi się zdobyć. W ten sposób powoli budowałem opowieść – bardzo niepokojącą – o narodzinach i realizacji tego projektu. Historia budowy Nord Stream jest zbyt ważna, by pozostała w ukryciu.

Co pan, dziennikarz z wieloletnim doświadczeniem, wiedział o Nord Stream, kiedy duński rząd w 2009 r. podejmował decyzję w tej sprawie?

Kompletnie nic. Duński rząd nic nie mówił społeczeństwu na temat tych planów, a nasze media w ogóle nie były tym zainteresowane. Kompletnie tego nie rozumiem, bo przecież niektóre szwedzkie i fińskie media wyciągały na wierzch podejrzone historie związane z Nord Stream. W obu tych krajach trwała debata na ten temat, ale nasze media milczały. Kiedy opozycyjni posłowie pytali w naszym parlamencie o szczegóły tego projektu, niczego nie mogli się dowiedzieć. Nic nie docierało do opinii publicznej. Rządzący Danią upierali się, że zgoda na Nord Stream nie jest kwestią polityczną, tylko administracyjną. Zupełnie tak, jakby to był jakiś mało znaczący projekt.

To dziwne, bo przecież Nord Stream przebiega bezpośrednio przez duńskie wody terytorialne.

Duńskie społeczeństwo dowiedziało się o tym dopiero po fakcie.

Rząd nie poinformował obywateli, że wydaje zgodę na położenie rury biegnącej na swoim terytorium?

Powiedziano nam, że rura będzie biegła przez wody międzynarodowe.

Powodem, dla którego ta rura musiała jednak przebiegać przez duńskie wody terytorialne, jest Polska, a konkretnie spór polsko-duński o kawałek morza leżący między Bornholmem a polskim Wybrzeżem.

Rosjanie chcieli mieć pewność, że ich rura nigdy nie znajdzie się na terenie, wobec którego Polska mogłaby mieć cokolwiek do powiedzenia?

Dokładnie. Gazprom nie chciał ryzykować. Początkowo Rosjanie chcieli położyć rurociąg na północ od Bornholmu, ale Szwedzi się na to nie zgodzili. Rosjanie postanowili więc ułożyć go na południe od tej wyspy na wodach terytorialnych Danii. Nasi rządzący do końca zachowali to w tajemnicy.

Z czego to wszystko wynikało?

W 2009 r., gdy duński rząd wyraził zgodę na Nord Stream 1, nasi politycy w ogóle nie patrzyli na zagrożenia. Chcieli widzieć tylko interesy. Przez wiele lat rosyjski rynek był zamknięty dla duńskich producentów, a kontakty na najwyższym szczeblu były właściwie zamrożone. Dzięki zgodzie na gazociąg Dania mogła w końcu w 2009 r. zacząć eksportować do Rosji swoje produkty rolne, piwo, klocki Lego. Duński premier mógł się z kolei pokazać jako wielki lider. Co rusz spotykał się z Putinem i Miedwiediewem. Interesy i ambicja zwyciężyły nad myśleniem o wspólnym bezpieczeństwie.



**JENS HØVSGAARD
„AFERA NORD
STREAM.
SZPIEDZY,
KTÓRYCH
PRZYNIOŚLO
OCIEPLENIE”
ZYSK I S-KA
2018**

Co było kluczowe w forsowaniu Nord Stream 1?

Najważniejszym narzędziem realizacji tego projektu było wciągnięcie na pokład byłego kanclerza Gerharda Schrödera. Wraz z nim Rosjanie kupili jego mały czarny notesik z numerami telefonów najważniejszych liderów w Europie.

To akurat znana sprawa.

Mniej znany jest za to kontekst działalności Schrödera. Był kanclerz Niemiec jest reprezentantem pokolenia polityków socjaldemokratycznych, którzy w latach 90. rządili Europą. Tworzyli oni zgrana wspólnotę i świetnie się rozumieli. Jedną z pierwszych osób, do których zadzwonił Schröder po otrzymaniu stanowiska w Nord Stream, był Hans Göran Persson. Schröder zaoferował

Cieżko zrozumieć, jak można mówić o Putinie per „dyktator”, a równocześnie dawać mu do ręki taką szansę. Wczoraj odwiedziła mnie w Danii ekipa niemieckich dziennikarzy telewizyjnych i powiedzieli mi, że nie rozumieją, co się dzieje w ich kraju, jeżeli chodzi o interesy z Rosją. Dlaczego niemieccy politycy nie widzą zagrożenia w tak bliskim kooperowaniu z Rosją Putina? Przecież Rosjanie mogą równie dobrze odciąć od gazu także Niemców.

Jeszcze do niedawna kwestie energetyczne nie leżały w polu pańskiego zainteresowania. Dlaczego napisał pan książkę o kulisach projektu Nord Stream?

Wpadłem na ten temat podczas prac nad książką o duńskim dworze królewskim. Na początku zainteresowały mnie nazwiska, które przewijały się przy okazji realizacji Nord Stream 1. Potężni ludzie, wielkie interesy. Tymczasem w Danii nic się o tym nie mówiło! Wydało mi się to bardzo dziwne... Na dobre jednak wciągnął mnie ten temat, gdy poprosiłem rząd premiera Larsa Løkke

■ mu stanowisko lobbysty u jednego z udziałowców Nord Stream. Szwecja była przecież kluczowym krajem, jeżeli chodzi o powodzenie tego projektu. W dalszej kolejności Schröder zadzwonił do Paavo Lipponena, byłego fińskiego premiera. Lipponen został zatrudniony już bezpośrednio przez Nord Stream i do dziś pełni tam funkcję konsultanta... Kupno polityków ze szczytów władzy okazało się kluczowe w realizacji tego projektu. Mimo że to wszystko byli szefowie rządów, to jednak wciąż mają oni wpływy w swoich krajach i są w stanie wywierać nacisk tam, gdzie jest to potrzebne. Innym sposobem były łapówki.

Jedna sprawa to kupowanie usług byłych polityków, ale łapówki to już zarzut ciężkiego kalibru. Co konkretnie ma pan na myśli?

Weźmy przykładowo sprawę kaczek długoogoniastych z Gotlandii. Profesor Kjell Larsson z tamtejszego uniwersytetu, specjalista w dziedzinie ekologii morza, był jednym z ekspertów w procesie konsultacyjnym. Profesor Larsson nastawiony był bardzo krytycznie, jeżeli chodzi o wpływ Nord Stream na środowisko. Równocześnie jednak przez wiele lat marzyły mu się badania nad kaczkami długoogoniastymi. Kilka miesięcy po skrytykowaniu Nord Stream dostał niesamowitą szansę. Konsorcjum zaofiarowało bowiem 9 mln koron szwedzkich akurat na badanie kaczek długoogoniastych oraz ich zimowisk nad Morzem Bałtyckim (ponad 50 proc. populacji tego gatunku zimuje na Gotlandii). W ten sposób znikła kolejna przeszkoda na drodze Gazpromu. Można to nazywać formą łapówki, bo chociaż ciężko tu udowodnić korupcję, to jednak cała sprawa jest w oczywisty sposób niezwykle podejrzana.

Takie działania faktycznie mogą być bardzo wątpliwe pod kątem etycznym, ale chyba większość gigantycznych koncernów na całym świecie ma coś podobnego na sumieniu...

Tylko że podobnych sytuacji wokół tego projektu było więcej. W Danii była to np. sprawa statków wikingich. Naukowcy pracujący w naszym muzeum okrętów z epoki wikingów w Roskilde alarmowali, że na drodze rucoiągu leżą wraki statków. W normalnych warunkach oznaczałoby to zatrzymanie prac. Nagle jednak muzeum otrzymało darowiznę od Nord Stream. Kolejny problem znikł.

Pięciu z sześciu najważniejszych ludzi w Gazpromie to byli oficerowie wywiadu. Przeciwnicy Gazpromu mają bardzo małe szanse na sukces

Sporą część książki poświęcił pan wyjaśnieniu, skąd się wzięły takie, a nie inne metody działania Gazpromu. Dlaczego zabiera pan swoich czytelników do NRD lat 80.? Co ma dyktatura Ericha Honeckera do Nord Streamu?

Pięciu z sześciu najważniejszych ludzi w Gazpromie to byli oficerowie wywiadu. Matthias Warnig, najważniejszy człowiek w Nord Stream 2, to był agent Stasi. Odgrywał on też wiodącą rolę przy budowie Nord Stream 1. Warnig ma z Putinem wspólną przeszłość szpiegowską w Dreźnie, chociaż dziś temu zaprzecza. Byli ze sobą bardzo blisko, to właściwie przyjaciele. W całej Rosji nie ma ważniejszego zagranicznego biznesmena. Warnig dostaje najwyższe rosyjskie odznaczenia, jest członkiem zarządów wielu rosyjskich przedsiębiorstw państwowych. Z kolei Gerhard Schröder nie tak dawno został szefem Rosnieftu. Tych dwóch Niemców siedzi na czubku piramidy Putina. Trzeba się cofnąć do lat 80., żeby zrozumieć, jakimi metodami posługują się ludzie odpowiedzialni za realizację Nord Stream.

I właśnie dlatego nie daje pan UE wielkich szans w starciu z Gazpromem?

Przeciwnicy Gazpromu mają bardzo małe szanse na sukces. Putin i Warnig to ludzie z innego świata, do realizacji swoich zamierzeń używają całego wachlarza metod. Z kolei ludzie, którzy stają im na drodze, nie mają aż tak szerokiego pola manewru...

Szansę na zablokowanie Nord Stream 2 dawała jeszcze nowelizacja unijnej dyrektywy gazowej. Została ona jednak właśnie wycofana do pracy w grupach roboczych, co raczej zamyka tę drogę blokowania gazociągu.

Niemiecki taran robi swoje, zabezpieczając interesy Nord Stream na arenie unijnej. Poza tym przychylnie patrzy też na ten projekt np. Austria, Holandia i Francja. Pamiętamy również, że Austria przejęła właśnie prezydencję w Radzie UE, a kanclerz Sebastian Kurz jest bardzo dobrze usposobiony względem Putina.

Gazprom wciąż jednak czeka na pozwolenie duńskiego rządu na budowę Nord Stream 2. Czy dziś wiedza na temat tego projektu jest większa wśród Duńczyków?

Tak, i większość Duńczyków nie chce, by nasz rząd zgodził się na Nord Stream 2. Zwykli Duńczycy zastanawiają się, po co wysyłamy żołnierzy do obrony państw bałtyckich, skoro równocześnie pozwalamy na układanie tej politycznej rury. Przecież wiadomo, że Putin będzie używał argumentu o ochronie gazociągu przed terroryzmem, żeby przeżyć muskuły. Jego okręty będą pod tą przykrywką pływały jeszcze bliżej naszych brzegów.

Jak z perspektywy tych ostatnich dziewięciu lat wyszła Dania na Nord Stream 1?

Początkowo rosyjski rynek był dla nas otwarty, ale dziś to już przeszłość. Nasz premier (ten sam, który rządził w 2009 r.) jest już odcięty od kontaktów z Putinem, a po nałożeniu przez UE sankcji na Rosję za aneksję Krymu Rosjanie zaczęli bojkotować m.in. duńskie produkty. Nie wyszliśmy więc na Nord Stream zbyt dobrze.

Rosjanie nie próbują znowu ocieplić stosunków z Danią, żeby dostać pozwolenie na drugą nitkę?

Wręcz przeciwnie – Rosja próbuje nas zastraszyć. Rosyjska marynarka wojenna ćwiczy bardzo blisko naszych brzegów, a ich migi naruszają naszą przestrzeń powietrzną. Tym razem Putin nie używa już marchewki, tylko kija.

To chyba najlepszy argument, żeby nie wyrazić zgody na Nord Stream 2.

Ja jednak się obawiam, że to zastraszanie może zrobić swoje. Zawsze byliśmy bliskimi sojusznikami z USA, ale dziś trudno liczyć na Amerykę. Donald Trump jest nieprzewidywalny. Kiedy więc Putin naprawdę nas przycisnie, nasi politycy mogą wybrać „przyjacielskie” stosunki z Rosją i po prostu ulegną. Dlatego nie jestem w tej sprawie optymistą. Myślę, że w końcu dojdzie do realizacji tego scenariusza. Jeżeli nie w tym roku, to w przyszłym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jens Hovsgaard jest duńskim dziennikarzem śledczym, autorem książki „Afera Nord Stream. Szpiegdy, których przyniosło ocieplenie”. Realizował wiele programów dokumentalnych dla europejskich stacji, m.in. CNN.

Amerykanie zaczęli używać na okrętach wojennych broni akustycznej, aby odstraszać załogi małych łodzi, po ataku na USS „Cole” FOT. U.S. NAVY

Mroczna strona dźwięku



Jacek Przybylski

Całkowita utrata słuchu, migrenowe bóle głowy, zaburzenia pamięci, problemy z mową, a nawet urazowe uszkodzenia mózgu. To skutki ataków przeprowadzanych za pomocą niewidzialnego oręża, na które skarżą się amerykańscy szpiedzy i dyplomaci

Dziwne wysokie dźwięki przypominające cykanie świerszczy trwające przez kilka-kilkanaście sekund lub nawet kilka minut. Potem przerwa o różnej długości. Czasem to sekunda. Czasem cztery. Czasem kilkanaście. A następnie znów atakujące nie wiadomo skąd dziwne dźwięki. To właśnie na nie od miesięcy skarżą się pracownicy amerykańskiego wywiadu, dyplomaci oraz członkowie ich rodzin. Oczywiście dźwięki odbierane przez ludzkie ucho lub mikrofony smartfonów i dyktafonów mogą stanowić tylko część nietypowego ataku – bardzo wysokie

lub bardzo niskie częstotliwości nie są bowiem rejestrowane.

Sprawa jest poważna, ponieważ tajemnicze dźwięki mają powodować złe samopoczucie, a także fizyczne dolegliwości: zawroty głowy, bóle migrenowe, urazowe uszkodzenia mózgu, problemy z pamięcią, zaburzenia mowy czy częściową lub całkowitą utratę słuchu.

Do tajemniczych „sonicznych ataków” miało dochodzić w domach dyptomatów lub w ich okolicach.

Wszystkie szczegóły nie zostały oficjalnie ujawnione. Amerykańskie media donoszą jednak, że z powodu „prze-

nikliwych, niewyjaśnionych wrażeń słuchowych i uczucia ucisku” amerykański Departament Stanu ewakuował w ostatnich tygodniach co najmniej 11 dyptomatów z rodzinami, w tym dwóch z ambasady w Pekinie, jedną osobę z konsulatu w Szanghaju i co najmniej ośmiu dyptomatów z konsulatu w Kantonie. Dodatkowo na badania skierowano ponad 250 pracowników i współpracowników amerykańskiej misji w Chinach.

Jak poinformował „The Washington Post”, wśród ewakuowanych był m.in. oficer służby zagranicznej Mark Lenzi z żoną i trzyletnim synkiem. Rodzina Lenzich dziwne dźwięki – przypominające odgłos szklanych kulek odbijających się od podłogi, a następnie toczących się po równi pochyłej z jednostajnym dźwiękiem – słyszała od kwietnia zeszłego roku. Po kilku miesiącach członkowie rodziny Lenzich zaczęli skarżyć się na silne, czasem trwające nawet kilka dni bez przerwy, bóle głowy oraz chroniczną bezsenność.

■ Po przebadaniu w amerykańskim szpitalu lekarze stwierdzili u dyplomaty „łagodny uraz mózgu”.

Szef dyplomacji Mike Pompeo o sprawie dziwnych dźwięków rozmawiał już ze swym chińskim odpowiednikiem Wangiem Yi. W celu wyjaśnienia przyczyn problemów Amerykanów do Chin udała się już z Waszyngtonu oficjalna delegacja. – Poprosiliśmy Chińczyków o współpracę i zobowiązali się honorować zobowiązania wynikające z konwencji genewskiej – oświadczył Pompeo.

Tajemnicze akustyczne ataki pogorszyły stosunki między Chinami a USA, które w ostatnich miesiącach i tak są niezwykle napięte ze względu na wojnę celną, kwestię niepodległości Tajwanu czy militaryzację Morza Południowo-chińskiego, na którym Chińczycy budują sztuczne wyspy, po czym szybko montują na nich broń. Chińczycy już po ewakuacji pierwszego amerykańskiego pracownika przeprowadzili własne śledztwo. Wang Yi podczas ostatniej wizyty w Stanach Zjednoczonych oświadczył, że chińscy oficerowie nie stwierdzili jednak, aby jakakolwiek osoba lub organizacja przeprowadzała na terenie Chin akustyczne ataki.

Amerykańska ambasada w Pekinie w maju tego roku wydała jednak oficjalne ostrzeżenie dla swych obywateli, aby podczas podróży do Państwa Środka uważali na potencjalnie niebezpieczne dziwne, przeszywające dźwięki i gdy zaczęła słyszeć coś niepokojącego, natychmiast opuścili dane miejsce. A w razie stwierdzenia u siebie symptomów ataku sonicznego zgłosili się do lekarza. Departament Stanu powołał zaś specjalną komisję ds. „niewyjaśnionych incydentów zdrowotnych”, na której czele stoi wiceszef amerykańskiej dyplomacji John Sullivan.

BROŃ CZY CYKADY?

Zanim na nietypowe urazy zaczęli skarżyć się amerykańscy dyplomaci w Chinach, pod koniec grudnia 2016 r. do Waszyngtonu zaczęły spływać pierwsze raporty dotyczące tajemniczych dolegliwości amerykańskich wysłanników do ambasady w Hawanie. Chodziło m.in. o utratę słuchu, problemy z utrzymaniem równowagi oraz bóle i zawroty głowy. Według tygodnika „Weekly Standard” pierwszy pacjent został ewakuowany z Kuby w lutym zeszłego roku, a przez

kolejne dwa miesiące do szpitala w Miami dosłano samolotem kolejnych 40 poszkodowanych. Według autorów artykułów w „Dzienniku Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego (JAMA)” objawy pacjentów przypominały symptomy wstrząsu mózgu. Sęk w tym, że ewakuowani dyplomaci nie przypominali sobie żadnych urazów głowy.

Doniesienia o niebezpiecznych dźwiękach i towarzyszącym im dolegliwościach były tym bardziej niepokojące, że amerykańską placówkę w Hawanie otwarto na nowo zaledwie kilkanaście miesięcy wcześniej, w ramach decyzji podjętej w 2014 r. przez Baracka Obamę o wznowieniu po ponad pół wieku przerwy relacji dyplomatycznych z komunistycznym reżimem braci Castro.

Według magazynu „Science” ówczesny amerykański ambasador Jeffrey DeLaurentis wezwał wszystkich dyplomatów posiadających dostęp do informacji niejawnych na specjalny briefing wewnątrz umieszczonego pomiędzy wieżami pylonu specjalnego stalowego kontenera, który jest świetnie zabezpieczony przed podsłuchami. Tam oznajmił, że wstępna hipoteza zakłada, iż ofiary stały się celem specjalnego działka akustycznego dalekiego zasięgu. Oficerowie specjalizujący się w kwestiach bezpieczeństwa poradzili zaś dyplomatom, aby nagrywali podejrzone dźwięki i zgłaszali od razu wszelkie problemy ze zdrowiem. Miesiąc później – gdy pacjentów ciągle przybywało – ambasada poradziła wszystkim pracownikom, aby do spania wybierali miejsca jak najdalej od okien.

W sierpniu 2017 r. liczba pacjentów z objawami „ataku na zdrowie” – jak oficjalnie incydent ten nazwał ówczesny sekretarz stanu Rex Tillerson – wzrosła co najmniej do 24, głównie dyplomatów z placówki w Hawanie. Miesiąc później władze w Waszyngtonie podjęły więc decyzję o ewakuacji z Kuby połowy personelu dyplomatycznego. Stany Zjednoczone zawiesiły również działalność konsulatu w Hawanie, a także wydały z USA 15 kubańskich dyplomatów. Amerykański Departament Stanu wydał również oficjalne ostrzeżenie przed podróżami na Kubę, co doprowadziło do gwałtownego spadku liczby Amerykanów odwiedzających wyspę, która z powodu kłopotów gospodarczych bardzo mocno potrzebuje dolarowego wsparcia.

Amerykańscy szeryfowie używają działek akustycznych m.in. do rozpraszania demonstracji

FOT. DAVID MCNEW/GETTY IMAGES



Komunistyczny reżim w Hawanie zaprzeczył, aby miał cokolwiek wspólnego z atakami na amerykańskich dyplomatów, przekonując, że nie dysponuje nawet odpowiednią technologią, a nie jest w stanie kontrolować świerszczy i cykad. W listopadzie 2017 r. szef dyplomacji tego kraju Bruno Rodriguez oskarżył zaś Stany Zjednoczone o celowe kłamstwa na ten temat, przekonując, że sprawa jest wykorzystywana przez przeciwną reszetowi z Kubą administrację Donalda Trumpa jako polityczny kontekst, służący zniwelowaniu stosunków dwustronnych i zniszczeniu postępu, który dokonał się na linii Waszyngton – Hawana za rządów Obamy.

W rządowej telewizji wyemitowano zaś program, w którym przekonywano, że sprawcami domniemyanych „ataków sonicznych” są... cykady oraz kubańskie świerszcze, wydające takie dźwięki, które nawet miejscowych potrafią doprowadzić do zaleśnienia.

– Porównaliśmy spektrum dźwięków i ewidentnie ten dźwięk jest bardzo podobny do dźwięków cykad – przekonywał widzów ppłk Juan Carlos Molina. Inni eksperci kubańskiego rządu tłumaczyli zaś, że wystarczająco głośne dźwięki owadów w przypadku długiego występowania mogą prowadzić do utraty słuchu, podrażnień, a nawet nadciśnienia.

Agenci FBI nie znaleźli konkretnych dowodów na to, że to właśnie broń akustyczna zaszkodziła dyplomatom. Część ekspertów uważa, że przyczyną problemu mogą nie być ataki soniczne, ale dźwięki emitowane przez urządzenia podsłuchowe, które przez przypadek okazały się



szkodliwe. Inni wskazują na to, że przyczyną dolegliwości może być jakaś trucizna. Nie brakuje i takich neurologów oraz psychologów, którzy dziwne dolegliwości przypisują działaniu „odwróconego efektu placebo”, czyli po prostu masowej hysterii pracowników amerykańskiego Departamentu Stanu. – Doszło do prawdziwej kumulacji paranoi – mówił magazynowi „Science” anonimowo jeden z dyplomatów z placówki na Kubie.

Tezie o zbiorowej paranoi zaprzeczają lekarze, którzy badali poszkodowanych. Poza tym z Hawany z powodu dziwnych problemów zdrowotnych swych dyplomatów i ich rodzin ewakuowały do domu nie tylko władze w Waszyngtonie, lecz także w Ottawie. W sumie na niewyjaśnione problemy zdrowotne potencjalnie związane z atakami dźwiękowymi skarżyć się miało 10 kanadyjskich dyplomatów oraz ich rodziny. Niektórzy eksperci spekulują także, że być może to rosyjska armia – doświadczona w prowadzeniu wojny psychologicznej – próbuje wbić klin między Zachodem a Kubą i otworzyć w ten sposób kolejny front w nowej zimnej wojnie.

OD JERYCHA DO PITTSBURGHA

Historia ataków akustycznych jest dłuższa, niż mogłoby się wydawać. Izraelici za pomocą trąb z rogów baranich i wzniesionego na sygnał Boga okrzyku wojennego sprawili, że zawaliły się mury Jerycha. Przez wieki różnego rodzaju dźwięki były wykorzystywane przez dowódców, aby dodać wiary w zwycięstwo swoim ludziom i przestraszyć wrogów. Dźwięki wykorzystywała m.in. polska

husaria, która w boju była nie tylko potwornie groźna, lecz także bardzo głośna.

W czasie II wojny światowej sowiecka armia broniąca okrążonego przez niemieckie oddziały Stalingradu nie dawała hitlerowcom spać, puszczać im w nocy przez głośniki argentyńskie tanga. W Wietnamie Amerykanie puszczały wrogom muzykę, ale również obraźliwe komunikaty oraz dźwięki jadących czołgów lub tygrysów. Z kolei podczas inwazji na Panamę w 1989 r. żołnierze USA, aby schwytąć dyktatora tego kraju Manuela Noriegę, który schronił się na terenie ambasady Watykanu w Panama City, z potężnych głośników puszczały koszmarnie głośno heavy metal (m.in. kawałki grupy Van Halen). I chociaż na nietypowej playliście pojawiały się też dobre kawałki The Doors, to pomysł i tak zadziałał i Noriega w końcu opuścił kryjówkę.

W 2004 r. podczas operacji w Faludży Amerykanie puszczały z kolei z głośników arabskie przekleństwa (dotyczące m.in. moralności matek i żon bojowników). Amerykańska armia co najmniej od kilkunastu lat używa również działek akustycznych emitujących rozdzierające uszy dźwięki. Broń zwana LRAD (Long Range Acoustic Device) została opracowana po ataku terrorystycznym na niszczyciel USS „Cole”, aby zniechęcać załogi małych łodzi do zbliżania się do amerykańskich jednostek wojennych. Urządzenia emitują przenikliwe tony wysokiej częstotliwości (ok. 2100–3100 herców) przypominające dźwięk wydawany przez wyjące czujniki dymu, tyle że zamiast 80–90 decybeli mają one głośność 130–150 decybeli. Dla porównania młot pneumatyczny wytwarza dźwięki sięgające 110 decybeli, a ryk silników startującego odrzutowca to 130 decybeli.

Urządzenia emitują dźwięku o natężeniu zdecydowanie przekraczającym próg bólu. Ból taki działa obezwładniająco. Broń akustyczna sprawia więc, że nikt nie ma ochoty zbliżyć się do takich urządzeń na odległość mniejszą niż 100 metrów. Działka akustyczne, podobnie jak armatki wodne, są więc bardzo przydatnym gadżetem dla służb porządkowych. Żołnierze USA wykorzystywali broń akustyczną w Iraku i w Afganistanie do walki z rebeliantami oraz rozpędzania wroga nastawionych demonstrantów, a także na terenie samych Stanów Zjednoczonych do odstraszenia szabrowników plądrujących po huraganie Katrina domy w Nowym

Orleanie. We wrześniu 2009 r. policja użyła również działka dźwiękowego – zamontowanego na dachu policyjnej ciężarówki – do rozproszenia grupy demonstrantów podczas szczytu grupy G20 w Pittsburghu. Zaskoczeni manifestanci próbowali zasłaniać uszy, ale musieli szybko uciec przed pojazdem emitującym trudne do zniesienia dźwięki. Przenikliwy, piskliwy dźwięk jest bowiem tak bolesny, że nikt nie jest w stanie wytrzymać go dłużej niż kilka sekund i musi salwować się ucieczką.

Broń ta – opracowana specjalnie po to, aby odstraszać, ale nie zabijać – była też wielokrotnie wykorzystywana przez prywatne firmy ochroniarskie do zniechęcania somalijskich piratów do ataku na przepływające w tym rejonie statki. Amerykańska firma urządzenia do bezkrwawego rozpędzania manifestacji sprzedawała już m.in. do Chin. Działka dźwiękowego użyli też w 2009 r. japońscy wielorybnicy na Morzu Arktycznym do przepędzenia aktywistów protestujących przeciw zabijaniu tych ssaków.

W 2011 r. broń akustyczną nabyła również polska policja. Najwyższa Izba Kontroli zwróciła jednak uwagę, że chociaż na zakup sześciu urządzeń LRAD z kieszeni podatnika wydano kilkaset tysięcy złotych, to policjanci nie mogą ich używać, ponieważ sygnałów akustycznych nie ma wśród legalnie dopuszczonych do użytku w Polsce środków przymusu bezpośredniego. Z tego powodu urządzenia zaczęto wykorzystywać po prostu jako niezwykle kosztowne głośniki do wydawania komunikatów.

Ekspert nie mają jednak wątpliwości, że emitowane przez takie urządzenia dźwięki mogą uszkadzać słuch, zwłaszcza jeśli ktoś jest na nie narażony przez dłuższy czas. W przypadku urządzeń LRAD wyjaśnienie, dlaczego mogły być szkodliwe, jest banalnie proste: są one po prostu koszmarnie głośne, tymczasem testy wykazały, że już poziom 85 decybeli może powodować trwały ubytek słuchu.

Koszmarnie dźwięki słyszeć powinni jednak wszyscy. Tymczasem wśród poszkodowanych dyplomatów są tacy, którzy skarżyli się na atak akustyczny w hotelu, choć żaden z pozostałych gości niczego nie słyszał. To oznaczałoby, że ktoś dysponuje technologią do precyzyjnego ataku sonicznego na daleką odległość. Szansa na złapanie winowajcy jest w takiej sytuacji bardzo mała.



BREIVIK ZNÓW NARZEKA

Norweski morderca, który w 2011 r. najpierw bombą zabił osiem osób w Oslo, a potem dokonał masakry na wyspie Utøya (69 zabitych), po raz kolejny utyskuje na warunki, w których jest przetrzymywany. Wcześniej skarżył się m.in. na przestarzałą konsolę do gier. Teraz zaapelował do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, bo stwierdził, że przebywanie samotnie w celi to naruszenie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Trybunał na szczęście uznał inaczej.

FOTO: NTB-SCANPIX/REUTERS/FORUM

WSZYSCY POLICJANCY W ARESZCIE

W mieście Ocampo w Meksyku wszyscy policjanci trafili za kratki. Stało się tak, ponieważ po zabójstwie burmistrza o udział w zbrodni oskarżony został miejski sekretarz ds. bezpieczeństwa publicznego. A gdy przyjechali go aresztować agenci federalni, miejscowi policjanci ich powstrzymali. Następnego dnia zwiększone siły federalne zgarnęły wszystkich 27 miejscowych gliniarzy i wsadziły ich do paki. Niezły Meksyk.

BO JEDLI ZA DUŻO

Płać raz i jedz, ile chcesz – wydawało się, że to dobry pomysł na przyciągnięcie ludzi do lokalu. I właśnie to zaproponowała swoim klientom chińska restauracja Jiamner. Od 1 czerwca po zapłaceniu ok. 80 zł można było dostać kartę lojalnościową, dzięki której jadło się za darmo przez miesiąc. Po dwóch tygodniach właściciele restauracji skończyli biznes z długiem sięgającym w przeliczeniu blisko 400 tys. zł. Okazało się, że klienci pożyczali karty znajomym i rodzinie, a właściciele biznesu, kalkulując niewielką stratę na promocji, nie dostrzegli, ile naprawdę tracą.

KSIĄDZ ZAWIESZONY ZA RAP

Jak doniosły kenijskie media – ksiądz z tamtejszej diecezji Homa Bay został na rok zawieszony w posłudze kapłańskiej. 45-letni ks. Paul Ogalo wygłaszał bowiem kazania dla młodych w formie rapowanych piosenek. Występował też bez sutanny, za to w chuście na głowie i krótkich spodenkach. Biskup uznał, że to nie jest dobra forma ewangelizowania, i dał księdzu rok „na refleksję”.

REZERWACJA „NA PREMIER”

Pewien pan z Maroka (to taki kraj, który też odpadł z mundialu, ale kibice mogli być dumni z piłkarzy) od dawna chciał zarezerwować stolik w obleganej restauracji i nigdy mu się to nie udawało. A że akurat podobny jest trochę z wyglądu do tamtejszego premiera, w końcu zarezerwował sobie miejsce jako szef rządu. Nie tylko w końcu zjadł tam, gdzie chciał, lecz także jako „premier” podpisał dla restauratora talerz i wszyscy zrobili sobie z nim pamiątkowe fotografie – co ujawnił potem w Internecie. © ©

Łukasz Zboralski

PIECZEŃ RZYMSKA

Przed szkodą i po szkodzie głupi



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Silvio Berlusconi 10 lat temu podpisał z Muammarem Kaddafim układ o przyjaźni. W zamian za włoskie inwestycje (5 mld dol. w ciągu 20 lat) Kaddafi zobowiązał się zawracać łodzie i statki z migrantami do libijskich portów. Układ zapewniał udział włoskich firm w realizacji inwestycji oraz tani libijski gaz i ropę. Fala migrantów, wówczas ok. 20 tys. rocznie, opadła niemal do zera.

Organizacje praw człowieka, UE i cały obóz postępu, podniosły raban. Po pierwsze dlatego, że Berlusconi ułożył się z łobuzem Kaddafim, a po drugie, że migrantom odebrano święte prawo do

złożenia podania o azyl. Berlusconi odpowiedział, że będą mogli prosić o azyl w obozach na terenie Libii.

Dwa lata później wybuchła Arabska wiosna. Postępowcy wpadli w euforię, bo wyobrazili sobie, że ludy państw arabskich napiją się wody ze źródła postępowej mądrości, zbudują demokracje parlamentarne, wprowadzą równouprawnienie kobiet i wolny rynek. Francuzi i Brytyjczycy postanowili nieco losowi pomóc i przejąć włoski biznes w Libii. Wywołali ruchawkę i wysłali siły specjalne. Ruszyły naloty NATO. Kaddafiego zabito, a Libia pogrążyła się w chaosie wojny domowej. Zginęło 30 tys. osób.

Zamiast demokracji parlamentarnej zapanowała nędza, bezhołowie, a część kraju opanowali fanatycy z Państwa Islamskiego. W międzyczasie z Libii do Włoch przypłynęło pół miliona migrantów i uchodźców. Winnych łatwo znaleźć: Sarkozy, Cameron i pokojowy noblista, idol postępowców Obama.

Obecnie, co stoi czarno na białym w deklaracji końcowej unijnego szczytu poświęconego migracji, UE marzy o skopiowaniu układu Berlusconi z Kaddafim i podpisaniu podobnych umów z państwami arabskimi. Sprawy zaszły jednak za daleko i już się tego zrobić nie da. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**RELACJA KOBIETY,
KTÓRA OCALAŁA
Z LUDOBÓJSTWA
NA WOŁYNIU!**

Piotr Zychowicz – **Zapomniani polscy bohaterowie**
Dyskusja o Wołyniu – **Ewa Siemaszko vs. Wołodymyr Wjatrowycz**
Mark Lijek – **Jak uciekłem irańskim ajatollahom**
Sławomir Cenckiewicz – **Szokujące dokumenty LWP**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Hitler ograł Becka**
James Reasoner – **Krwawe pojedynki rewolwerowców**
Rafał Węgrzyniak – **Żyd oskarżony o kolaborację**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Tomasz P. Terlikowski

Historię piszą zwycięzcy. Tę prawdę świetnie widać w przypadku historii Hiszpanii i gen. Franco. Szkoda, że w pisaniu nowej, niewiele mającej wspólnego z prawdą wersji wydarzeń uczestniczy też Kościół

Gdy w Polsce nieustannie słyszymy – i to z ust lewicy – że nie należy wracać do przeszłości, że dość już grzebania w życiorysach czy prowadzenia polityki na cmentarzach, to ta sama lewica w Hiszpanii właśnie zabiera się za funeralną politykę i próbuje usunąć doczesne szczątki gen. Franco z mauzoleum w Valle de los Caídos. Decyzję taką zapowiedział już nowy premier, który zamierza to zrobić w ciągu miesiąca.

– Trzeba usunąć dyktatora z honorowych miejsc – wyjaśniła powody tej decyzji wicepremier María del Carmen Calvo. Plany rządu są zresztą szersze. Monument w Valle de los Caídos powstał, by upamiętnić ofiary wojny domowej w Hiszpanii, i został zaplanowany przez samego gen. Franco. Odpowiedzialność duszpasterską nad nim sprawuje obecnie metropolita Madrytu, a tuż obok niego wspólnota benedyktyńska modli się o pokój i o pojednanie Hiszpanów.

Hiszpański rząd chce jednak, by monument stał się tylko miejscem pamięci narodowej, by usunąć z niego szczątki doczesne generała, a wszystko to bez choćby próby zapytania o zdanie Kościoła.

BENEDYKTYNI BRONIA HONORU KOŚCIOŁA

I właśnie dlatego przeciwko stylowi działania, a nie przeciwko samej decyzji protestuje Kościół. – Chcemy rozwiązań, które będą budować pokojowe państwo – wyjaśnia przyczyny ostrożności Kościoła rzecznik prasowy archidiecezji madryckiej Rodrigo Pinedo Texidor. – Jesteśmy przeciwko ruchom, które nie mają zgody rodziny generała i nie liczą się z tym, co do powiedzenia w tej sprawie ma Kościół – dodał. Nikt z rządu nie rozmawiał z archidiecezją, której metropolita kard. Carlos Osoro Sierra jest odpowiedzialny za to miejsce pamięci. Lewicowe władze nie liczą się także z opinią benedyktynów, którzy mieszkają w tym miejscu. Pinedo



FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Zniesławiony bohater

zwraca także uwagę na to, że... trudno sobie wyobrazić, aby wszystkie konieczne zgody, związane z ekshumacją, czy decyzje ważne dla przyszłości Hiszpanii mogły zapaść w ciągu miesiąca. – Chociaż jest to państwowe mauzoleum, to Kościół katolicki musi być pytany o opinie w sprawie kwestii związanych z pochówkami, co wynika z porozumienia między Hiszpanią a Watykanem – mówił Pinedo.

Te ostrożne wypowiedzi nie oznaczają jednak, że Kościół jest przeciwko samej decyzji. Miała być ona tematem rozmów między premierem a przewodniczącym Konferencji Episkopatu Hiszpanii kard. Ricardo Blazquezem Perezem. W jej trakcie kardynał miał zapewnić, że Kościół nie jest władny, by decydować w jakikolwiek sposób o tej kwestii. Słowa te brzmią tym mocniej, że kilka dni wcześniej siedmioro wnuków gen. Franco poprosiło Kościół, by ten zablokował decyzje rządu.

Czy oznacza to, że zwłoki gen. Franco rzeczywiście zostaną usunięte z mauzoleum? Sprawa jest bardziej skomplikowana, ponieważ sanktuarium w Valle de los Caídos jest bazyliką papieską, a to oznacza, że decyzje w jej sprawie władny jest podemować Sekretariat Stanu Stolicy Apostolskiej, bez którego zgody niewiele może się w sanktuarium wydarzyć. Na razie Watykan milczy, ale nawet gdyby lewicowym władzom hiszpańskim udało się przekonać Franciszkę czy jego współpracowników do zmian, to jest jeszcze druga instancja, bez której zgody nic nie może się wydarzyć. Są to benedyktyni będący współwłaścicielami gruntu, na którym wzniesione jest mauzoleum. Oni zaś jednoznacznie odrzucają jakiegokolwiek ruchy wokół zwłok generała. Ich postawa jest więc kluczowa. Jeśli uda się ich złamać, to rząd przeprowadzi swoje plany, jeśli nie – to ciało Franco pozostanie tam, gdzie jest.

SMUTNA NIEPAMIĘĆ KOŚCIOŁA

Niezależnie jednak od tego, co się wydarzy, smutna i szokująca pozostaje postawa Kościoła hierarchicznego w tej sprawie. Tak się bowiem składa, że akurat Kościół powinien pamiętać i honoru gen. Franco strzec jak mało kto. Gdyby nie postawa tego hiszpańskiego oficera, wcale nie jest jasne, czy mielibyśmy w Hiszpanii jakikolwiek Kościół poza Kościołem męczenników, których teraz wspominamy, jak wspomniał męczenników japońskich. Rewolucjonisci hiszpańscy albo – by ująć rzecz wprost – poprzednicy obecnego lewicowego rządu prowadzili bowiem – w latach 30. – niezwy-

kle brutalne czystki wobec Kościoła, które określano mianem czerwonego terroru. W ich trakcie zginęło, i nawet co do tego nie ma zgody, między 38 a 110 tys. osób, głównie katolików, przeciwko którym skierowane były te niezwykle brutalne prześladowania. Zapewne, bo i co do tego nie ma pełnej zgody wśród historyków, wśród nich było przynajmniej 6832 duchownych, a chodzi zarówno o kapłanów, braci zakonnych, jak i siostry. Były miejsca, gdzie zlikwidowano niemal wszystkich duchownych. Tak było w Barbastro, gdzie zamordowano 123 ze 140 kapłanów.

Liczyby trzeba zaś uzupełnić obrazami, żeby zrozumieć, jak okrutna była ówczesna lewica. Siostry przed śmiercią były wielokrotnie gwałcone, a później często wieszane na własnych różańcach. Kapłanom wbijano krucyfiksy w gardła, a wszystko to na oczach ich matek, które niekiedy także gwałcono na oczach synów. Łaską w takiej sytuacji było zwykłe rozstrzelanie. Hiszpańska lewica nie ograniczała się jednak do mordowania. Jej liderzy podkreślali, że Hiszpania musi spłynąć krwią, a świątynie muszą zapłonąć, by można było zbudować nowy wspaniały świat. I rzeczywiście, spłonęły setki świątyń, które wcześniej sprofanowano. W jednej z nich wyciągnięto głowę świętego, którą później rozgrywano mecz piłki nożnej, gdzie indziej wyciągnięto z grobów ciała zakonnic, by je sprofanować, a w jeszcze innym po rozstrzelaniu katolików zaczęto układać ich ciała tak, jakby one ze sobą kopulowały.

To właśnie te działania skłoniły gen. Franco do działania i nie ma co ukrywać, że gdyby nie on i jego współpracownicy, a także tysiące ochotników, to być może o Kościele w Hiszpanii mówilibyśmy obecnie w czasie przeszłym. Orgia mordów trwała w wielu miejscach aż do momentu, gdy wojska generała nie przepędziły (a czasem nie ukarały śmiercią) lewicowych milicji czy komunistycznych sił. Ostatnie ofiary pochodzą z roku 1939, dopiero bowiem ostateczne zwycięstwo gen. Franco położyło kres przerażającej rzezi kapłanów, zakonników i świeckich katolików. I już choćby dlatego Kościół w Hiszpanii powinien – tak jak niepodległości czy eklezjalnej suwerenności – bronić pamięci bohater-skiego generała. I to niezależnie od tego, jak ocenia jego późniejsze rządy.

PRZEGRANA BITWA O PAMIĘĆ

Jeśli tak nie jest, to z bardzo prostego powodu: zarówno w Hiszpanii, jak i na świecie wojnę o pamięć – a szerzej: walkę o umy-

śły ludzkie – wygrała lewica. A prawda ta dotyczy także ludzi Kościoła. To dlatego człowiek, który uratował więcej Żydów niż Churchill z Rooseveltem razem wzięci, uchodzi obecnie za podłego faszystę, który ramię w ramię z Hitlerem dokonywał Holokaustu. Nie wierzcie? To sprawdźcie. Hiszpania gen. Franco bardzo długo, inaczej niż władze amerykańskie czy brytyjskie, wydawała dokumenty konieczne Żydom do ucieczki, i jest pewne, że działało się to na polecenie generała. Zwycięstwo lewicy w wojnie o pamięć sprawia także, że świat słyszy tylko o okrucieństwach wojsk gen. Franco (tak, bywały one okrutne, ale warto pamiętać, że to była wojna, w której uczestniczyły tabuny zezwierzęconych oddziałów lewicowo-anarchistycznych finansowanych ze Związku Sowieckiego), ale konia z rzędem temu, kto wie, że wojna ta była reakcją na przerażające rzezie dokonywane w imię nowego, lepszego, komunistycznego świata.

W efekcie gen. Franco z zaszklonej, choć nie ma co ukrywać, że także skomplikowanej postaci historycznej, z człowieka o niewątpliwych zasługach dla Kościoła i Europy (gdyby rewolucja w Hiszpanii zwyciężyła, nie jest pewne, czy nie udałoby się jej wyeksportować także do Francji, a to zmieniłoby losy Starego Kontynentu) przekształcił się w bestię, którą straszy się grzeczne, wychowane na lewicowych standardach w lewicowych szkołach dzieci. I niestety dokładnie takie same postrzeganie Franco obowiązuje także w Kościele, i w kościelnych mediach. Określenia „dyktator”, „kontrowersyjna postać” zastępują wiedzę, a jeśli ktoś w ogóle dysponuje jakimikolwiek „informacjami” o generale, to pochodzą one z antykatolickich i antyfrankistowskich pamfletów lewicy, analogicznych do tych, które powstały na temat innego wielkiego bohatera, jakim był w czasie II wojny światowej Pius XII.

I nie ma co ukrywać, że jeśli katolicy (a szerzej: ludzie prawicy) nie odzyskają własnej pamięci, jeśli nie odważą się na to, by sprzeciwić się lewicowym narracjom historycznym, to przegramy nie tyle walkę o pamięć, ile walkę o dusze następnych pokoleń. Walka o pozostawienie doczesnych szczątków gen. Franco w Valle de los Caídos jest tylko niewielką częścią tego wielkiego starcia. Niewielką, ale jednak istotną, ponieważ jeśli lewicy uda się zwyciężyć, to kolejna wielka postać zostanie zepchnięta do piekła, nie tyle nawet niepamięci, ile kłamstwa. Kłamstwa o Kościele, o Hiszpanii, ale przede wszystkim kłamstwa o lewicy.

Chcemy, żeby zauważono ten problem, bo w tej chwili nie widzimy działań, które by nam pomogły. Widzimy tylko, jak z budżetu wydaje się miliony złotych na likwidację skutków zamiast przyczyn – mówi Sylwester Dzyr, rolnik ze wsi Geś w województwie lubelskim. Wraz z innymi rolnikami ze swojej gminy przyjechał do Puław, by protestować przeciwko – jak twierdzą hodowcy – beczynności rządu i Państwowego Instytutu Weterynarii wobec choroby, która poważnie zagraża hodowcom trzody chlewnej. Niedawno się okazało, że świnie w jego gospodarstwie chorują na afrykański pomór świń (ASF). Werdykt: trzeba było wybić 590 świń. – Do dnia dzisiejszego mam zakaz hodowli świń i nie mam z czego utrzymać rodziny. Mam jeszcze produkcję roślinną, ale ona pozwala tylko na przetrwanie – żali się.

Walka z wirusem trwa już cztery lata – od kiedy w lutym 2014 r. znaleziono martwego dzika w gminie Szudziałowo w województwie podlaskim, 900 m od białoruskiej granicy. I końca nie widać. Co pewien czas pojawiają się nowe ogniska choroby – a to wśród dzików, a to w gospodarstwach rolnych (do tej pory 134). Jest pewnie tylko kwestią czasu, kiedy ASF pojawi się na zachodzie kraju. Zwłaszcza że nie jesteśmy jedynym państwem Unii Europejskiej, które ma z tym problem: z zarazą walczą hodowcy i służby weterynaryjne w państwach bałtyckich, niedawno wykryto jej obecność w Czechach, na Węgrzech i w Rumunii.

Choroba nie stanowi żadnego zagrożenia dla zdrowia człowieka – zapadają na nią tylko świnie i dziki (a także inne spokrewnione z nimi zwierzęta). Dla nich jest jednak śmiertelna. Co prawda zaraża się nią raptem co trzecie zwierzę, które miało z nią kontakt, ale gdy już się zarazi, szanse na wyzdrowienie są niemal żadne. Wirus potrafi przetrwać wiele miesięcy, także np. w niskiej temperaturze, stąd jeśli martwego zwierzęcia się szybko nie zutylizuje, to inne zwierzęta będą mogły się od niego zarazić. Na chorobę nie ma lekarstwa, do tej pory nie opracowano też skutecznej szczepionki.

ASF jest więc ogromnym zagrożeniem dla polskiego rolnictwa, a od kiedy występuje na terenie Polski, nie możemy eksportować naszego mięsa wieprzowego np. do niektórych państw azjatyckich, takich jak Chiny czy Korea Południowa. Gdy wykryje się chorobę, wszystkie świnie w danym gospodarstwie muszą zostać wybite, a ich szczątki zniszczone, podob-

Świńska wojna trzydziestoletnia?



Stefan Sękowski

Do afrykańskiego pomoru świń musimy się przyzwyczaić. A rolnicy zamiast zrzucać winę za wszystko na dziki, powinni bardziej przyłożyć się do bioasekuracji

nie jak produkty pochodzące od świń czy pasze. Przez minimum kolejnych 40 dni nie można też hodować tam świń. Na terenie co najmniej 3 km wokół miejsca wyznacza się tzw. strefę zapowietrzoną – gdzie nie można transportować zwierząt ani handlować nimi, a co najmniej 7 km – zagrożoną, gdzie istnieją surowe restrykcje, jeśli chodzi o transport czy handel zwierzętami. Rolnicy mogą dostać co prawda odszkodowania za zabite zwierzęta i wyrównania dochodów, ale wkładu w budowę stada nikt im nie zwróci.

DZIK OFIARNY

Stąd pojawiają się różne pomysły na walkę z chorobą. Rolnicy domagają się masowego odstrzału dzików, a marszałek województwa lubelskiego Sławomir Sosnowski z Polskiego Stronnictwa Ludowego – sam zresztą hodowca świń – wpadł na pomysł, by... zabić wszystkie dziki w Europie, poza niewielką grupą, którą można zachować, by nie zlikwidować całego gatunku. Z kolei specustawa uchwalona w celu walki z pomorem zakłada m.in. ułatwienie polowań w obszarach chronionych, a także budowę ogrodzenia na granicy z Białorusią, skąd przyszły do Polski chore dziki.

Te wszystkie pomysły to jednak szukanie kozła ofiarnego. Odgradzanie się od Białorusi nic nie da. – Żeby takie ogrodzenie było skuteczne, musiałoby być chyba czymś na kształt betonowej bariery, tak jak w Strefie Gazy, osadzonej na półtora metra w głąb ziemi i z podmurówką – mówi „Do Rzeczy” dr Tomasz Podgórski z Instytutu Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk. A są jeszcze rzeki, którymi zwierzęta mogą przepłynąć. Zresztą te dziki już dawno w Polsce są. I to nie przy samej granicy z Białorusią czy z obwodem kaliningradzkim. Jak podkreśla prof. Zygmunt Pejsak z Państwowego Instytutu Weterynaryjnego – Państwowego Instytutu Badawczego, strzelanie do dzików ma sens, ale w obrębie kilkudziesięciu kilometrów wokół ogniska choroby. Do chorych zwierząt i tych, które mają z nimi kontakt, nie ma sensu strzelać, wręcz przeciwnie – zwierzę, do którego się strzela, ucieka i może przenieść chorobę w inne miejsce.

I może to służyć przzerzedzeniu populacji (po to, by zwierzętom trudniej się było wzajemnie zarażać), ale nie ich całkowitemu wytopieniu. Byłoby to zresztą szkodliwe dla ekosystemu. – Dzik pełni w lesie ważną funkcję sanitarną. Ogranicza liczebność owadów, w zimie żywi się



od gospodarstwa) postawienie ogrodzenia czy oddzielnego pomieszczenia dla świń. Zresztą Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa dysponuje pieniędzmi na refundację niektórych wydatków związanych z bioasekuracją – takich jak np. zakup mat, środków dezynfekcyjnych czy zabezpieczenie budynków, w których są utrzymywane świny, przed dostępem zwierząt domowych.

JAK WALCZYLI HISPANIE?

Nie znaczy to jednak, że choroba szybko zniknie. W Hiszpanii (to sztandarowy przykład zwycięskiej walki z ASF) batalia z chorobą trwała 35 lat. Od 1960 r., kiedy pojawiły się pierwsze przypadki, hodowla zmieniła się nie do poznania. Wtedy zdominowana była przez niewielkie gospodarstwa rodzinne, niebroniące się przed zakażeniem w żaden sposób, z których zwierzęta odbierał świniopas i prowadził je na łąkę, w domu zaś dokarmiano je resztkami. Metodą prób i błędów doprowadzono do przeobrażenia całego sektora, który jest obecnie znacznie bardziej nowoczesny. Stworzono system rekompensat powiązany z otwartością na dostosowanie gospodarstw do wymogów sanitarnych, na które można było uzyskać korzystne kredyty. Od tego czasu rolnicy także sami ze sobą współpracują przy kontroli zwierząt.

Sytuacja w Polsce różni się oczywiście od tej w Hiszpanii. Przede wszystkim żyło tam mało dzików, choć z drugiej strony ASF był roznoszony też przez gatunek kleszczy, który u nas nie występuje. Jednocześnie o zwalczeniu choroby zdecydowało uświadomienie sobie przez rolników wagi problemu. – Uważam, że w populacji zwierząt wolno żyjących, przy aktualnym stanie wiedzy, nie jesteśmy w stanie zwalczyć ASF. Musimy dbać o to, by ograniczyć szerzenie się choroby. Nie jest jednak trudne uzyskanie sytuacji, w której mamy pomór wśród dzików, ale jesteśmy w stanie chronić świny – tłumaczy prof. Pejsak. Jak mówi, rolnicy muszą jednak sami zadbać o siebie, bo nikt za nich tego nie zrobi.

To w połączeniu z sanitarnym i niehisterycznym odstrzałem dzików, a także ze wsparciem dla tych, którzy nie ze swojej winy znaleźli się w trudnej sytuacji – i z chęcią do zmiany branży, jeśli trzeba – może doprowadzić do sukcesu. Jednak będzie to raczej wojna trzydziestoletnia niż błyskawiczna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

także padliną. Ma również swój udział w rozsiewaniu nasion, np. dębów, obserwujemy też coraz większy udział dzika w diecie wilka – tłumaczy dr Podgórski. Wybicie dzika nie byłoby korzystne dla środowiska naturalnego. O tym też trzeba pamiętać, forsując polowania w parkach narodowych i rezerwach, które mają służyć temu, by w tych miejscach przyroda rozwijała się bez ingerencji człowieka – gdy ten wchodzi tam ze strzelbą, narusza ich spokój. Oczywiście warto dbać o hodowców świń (wie to każdy mięsożerca), ale jednocześnie trzeba zadać sobie pytanie, czy w partykularnym interesie jednej z branż warto poświęcać dziedzictwo przyrodnicze całego narodu.

NAJTAŃSZY LEK: MYŚLENIE

Tym bardziej że za zarażanie świń nie odpowiada wcale dzik, lecz... człowiek. Dzikie nie mają w zwyczaju odwiedzania swoich kuzynek w chlewni. W rzeczywistości nie mamy do czynienia z trwającą od czterech lat epidemią, tylko trwającą od maja szóstą fazą choroby. Poprzednią pięć udało się zwalczyć, jednak co parę miesięcy wybucha kolejna, zwłaszcza w okolicy lata. Jak tłumaczy prof. Pejsak, problem zaczyna się zwykle w czerwcu,

bo wtedy rolnicy zbierają zielonkę dla świń, są na polach i w lasach. – Wirus wprowadza się do gospodarstwa na butach, na odzież, gdy wprowadzimy do gospodarstwa tkanki zakażonego dzika albo gdy ktoś zbiera zielonkę lub słomę z pola, na którym leżały martwe dziki. Najważniejsze jest uświadomić rolnikom, że należy przestrzegać podstawowych zasad bioasekuracji – tłumaczy prof. Pejsak. – Najtańszym sposobem uchronienia się przed ASF jest myślenie. Podejrzewam, że niektóre z przypadków, z którymi miałem do czynienia, wynikały z tego, że gospodarz kupił nielegalnie chore świny – mówi nam pewien inspektor weterynarii.

Żeby nie wnieść wirusa do swojego gospodarstwa, nie trzeba wielkiej filozofii. Jak podkreślają eksperci, już sama zmiana obuwia i odzieży wierzchniej przed wejściem do chlewni wyklucza większość ryzyka. Ponadto przed pomieszczeniem, w którym trzyma się zwierzęta, trzeba wyłożyć matę dezynfekcyjną, najtańsze kosztują już ok. 200 zł, do tego kupić środek dezynfekcyjny. Znacznie większe koszty ponoszą ci rolnicy, którzy hodują zwierzęta w strefach zagrożonych – wtedy potrzeba rzeczywiście przeprowadzenia sporych zmian, takich jak (w zależności oczywiście



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Po co Warszawa, jeśli jest Londyn?

Gdyby sytuacja na narodowej giełdzie papierów wartościowych miała dowodzić stanu gospodarki państwa, Polska wypadłaby marnie. Nasz parkiet od kilku lat coraz bardziej karleje, kurczy się i zamiera, gdy inne kwitną.

Dość wspomnieć, że gdy europejski rynek IPO (nowych ofert publicznych) w pierwszym kwartale tego roku, w porównaniu z pierwszym kwartałem ubiegłego, wzrósł o 24 proc., to w Polsce – ledwie o 5 proc. Co gorsza – jak wynika z analizy „Rzeczpospolitej” – rok 2018 „będzie kolejnym, gdy liczba i wartość usuwanych z warszawskiego parkietu spółek przewyższy liczbę i wartość debiutów”.

Jednak, po prawdzie, czy można się temu dziwić, gdy się przyjrzy realiom, w jakich działają u nas spółki – zwłaszcza giełdowe, szczególnie te z udziałem Skarbu Państwa?

Nasi politycy wygaszają giełdę metodycznie – oczywiście za każdym razem zaślaniając się dobrem jej samej i całej gospodarki. Rządy Platformy zadały GPW potężny cios, nacjonalizując połowę kapitału otwartych funduszy emerytalnych – co prawda tę połowę, którą miały one ulokowaną w państwowych obligacjach, a nie w akcjach, lecz spadek zaufania do OFE, a co za tym idzie – giełdy, który wtedy zagościł wśród graczy na polskim parkiecie, trwa do dziś. Rządowi PiS nie udało się go odbudować – tym bardziej że obiecana budowa nowego systemu emerytur kapitałowych, na podstawie tego, co zostało po OFE, wciąż

się odwleka. Źle odbija się też na GPW podszyta etatyzmem, a więc i niechęcią do firm prywatnych, w tym notowanych na giełdzie, filozofia władz państwa. Podobnie trwająca bez ustanku kadrowa karuzela na szczytach państwowo-prywatnych spółek i festiwal obarczania ich przez rząd zadaniami, które inwestorom nie mogą być w smak, bo są ekonomicznie nieuzasadnione. Jak dotowanie kopalń węgla kamiennego przez firmy z sektora energetycznego. A to właśnie te spółki – największe w Polsce – powinny być lokomotywami giełdy.

W tej sytuacji, który z pozostających przy zdrowych zmysłach Polaków (o nie-Polakach nie wspominając) będzie inwestował swe pieniądze w akcje na GPW? I w ten oto właśnie sposób politycy krok po kroku w gruncie rzeczy likwidują naszą giełdę – choć przecież nie zostanie ona zamknięta i nadal będzie udawać, że istnieje. Giełdę, która jak każda nie może się obejść bez zaufania inwestorów – bo bez ich zaufania nie ma ich pieniędzy. Ci zaś zyskować coraz częściej zaczynają szukać poza Polską, dając zarobić obcym parkietom i notowanym na nich spółkom. Tropem inwestorów częściej będą ruszać za granicę – na giełdy w Londynie i we Frankfurcie – także nasze firmy – po potrzebny im do rozwoju kapitał, który trudno znaleźć w Warszawie.

A jeszcze niedawno zarząd polskiej giełdy myślał o przemianowaniu innych, choćby czeskiej – oto miara upadku GPW w ciągu ostatnich lat. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Wyższa forma człowieka?

Wielu firmach zajmujących się robotyką i sztuczną inteligencją trwają prace nad zwiększeniem możliwości człowieka. Mam na myśli nie dłuższe i zdrowsze życie, ale osiągnięcie przez masę kompetencji dostępnych wyłącznie nielicznym lub tym, którzy poświęcili osiągnięciu danej kompetencji wiele lat ciężkiej pracy.

Przykładów jest wiele: biegle władanie językiem obcym, jazda na nartach lub gra w tenisa na poziomie wyzycznym, znajomość języka programowania, wyciśnięcie 200 kg na sztandze. Osiąganie tych kompetencji na poziomie międzynarodowym wymaga tysięcy godzin treningu, często pod okiem profesjonalnego instruktora lub nauczyciela. W tym czasie w mózgu pojawiają się dodatkowe połączenia obsługujące dane czynności (tzw. neuroplastyczność), pojawia się pamięć mięśniowa. Na przykład zawodowy narciarz nie myśli o tym, jak wykonać ostry zakręt w lewo przy wielkiej prędkości, czyni to bezwiednie, automatycznie.

Już teraz można założyć Jegoszkielet i bez problemu dźwignąć 300 kg, ciężar do tej pory będący w zasięgu wyłącznie małej elity zawodowych ciężarowców. Albo można biec wiele godzin w egzostkiecie w tempie zawodowego maratończyka, ale z 40-kiłogramowym plecakiem, co pokazują testy prowadzone przez niektóre technologiczne zaawansowane armie. Kwestią niedługiego czasu będzie opracowanie ubrania

z nowoczesnych materiałów, z wykorzystaniem nanobotów. Trwają prace nad strojem narciarskim, który nowicjuszowi da możliwość jazdy jak zawodowy narciarz. Może za kilka lat będzie można kupić zestaw kompetencji i wgrać go sobie do mózgu?

Warto się zastanowić, jakie mogą być efekty powszechnego stosowania takich urządzeń. Pojawiają się superludzie, humanoidy, które będą miały nadludzkie możliwości. Superlekarze będą leczyć lepiej, supernaukowcy będą dokonywali wielkich odkryć, a supermałżonkowie będą zwiększali prawdopodobieństwo udanych związków, gdy żona ugotuje obiad na poziomie trzech gwiazdek Michelin, a mąż będzie w stanie wszystko naprawić w domu. No i oboje będą superkochankami.

Czy jednocześnie jednak nie doprowadzi to do degeneracji człowieka, który pozbawiony dostępu do technologii nie będzie w stanie wejść bez zadyszki na trzecie piętro lub nawet zacząć empatycznej konwersacji? Otworzą się też nowe możliwości przed cyberprzestępcami, którzy będą mogli przejmować kontrolę nad osobistą technologią używaną przez humanoidy.

Ciekawe będą mistrzostwa świata w piłce nożnej w 2030 r., gdy naprzeciw siebie staną dwie drużyny superpiłkarzy, a na podwórku dzieci z zamożnych rodzin będą grały w piłkę na poziomie Ronaldo. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: SŁUCHAWKI SENNHEISER HD 660 S

Unowocześniona legenda. Tak w dwóch słowach można scharakteryzować model HD 660 S, następcę kultowych słuchawek HD 600 oraz HD 650, które w audiofilskim świecie od lat uchodzą za synonim wysokiej jakości.

Nowy model zasługuje na pochwałę zarówno za solidne wykonanie, komfort użytkowania, jak i za jakość brzmienia, która potrafi dać słuchaczowi ogromną radość. Design jest prosty i elegancki. W zestawie otrzymujemy sporej wielkości pudło do przechowywania słuchawek, dwa przewody (jeden zakończony jackiem 6,3 m, a drugi złączem w nowym standardzie Pentaconn 4,4 mm) oraz przejściówkę z dużego na małego jacka (3,5 mm).

Szeroki zakres regulacji, dopasowane do kształtu ucha nauszники oraz niska waga (bez kabla to tylko 260 g) sprawiają, że HD 660 S są bardzo komfortowe i można ich używać przez wiele godzin.

HD 660 S to w pełni otwarte przewodowe słuchawki wokółuszne o impedancji na poziomie zaledwie 150 omów (dzięki czemu można je podpiąć nawet do tanich przenośnych odtwarzaczy) oraz wysokiej efektywności na poziomie 104 dB. Po stronie plusów trzeba też zapisać pasmo przenoszenia: 10 Hz–41 kHz. Dźwięk jest przestrzeny, ciepły, precyzyjny i pełen szczegó-

łów. Z jednej strony usłyszymy czysty, majestatyczny bas, którego nie ma jednak w nadmiarze. Dzięki temu z drugiej strony również wyższe partie pasma brzmią imponująco i pobudzająco, co docenią zapewne miłośnicy rocka, popu, metalu czy muzyki elektronicznej. Scena dźwiękowa jest doskonała. Podobać może się również dynamika tych słuchawek, których styl można by określić jako subtelny i wyważony, a jednocześnie artystyczny i ułatwiający wyobrażenie sobie akustyki sceny, na której nagrywane były konkretne utwory.

Wadą modelu HD 660 S jest brak podróżnego etui, przez co HD 660 S trudno uznać za łatwe do przenoszenia. Rozczarowujący może być też fakt, że w zestawie za tak duże pieniądze nie ma żadnych dodatkowych nauszników.

Dla niektórych minusem może być również to, że model 660 S – jak przystało na konstrukcję otwartą – najlepiej sprawdza się w zaciszu domowego salonu. Słuchawki słabo izolują nas bowiem od otoczenia. A jeśli będziemy ich używać w biurze, to wszyscy w open space będą wiedzieli, czego akurat słuchamy.

Cena: 1799 zł. © ©

Jacek Przybylski



ZIMNE, JASNE, CHMIELOWE...

Yes, yes, yes i jeszcze raz yes. Lato ma być ciepłe, nawet upalne, choć deszczowe (każdą z tych opcji popieram), a biurkowa chłodziarka do napojów mocno się przyda. Zwłaszcza w firmach, w których (a przynajmniej w stolicy są takie) ktoś wpadł na zwariowany pomysł, by wykręcić klamki z okien, bo klimatyzacja wystarczy. Duszno, niezdrowo i pić się chce. Ratować można się zimnymi napojami, w czym pomóc może Drink Induction Chiller, czyli chłodziarka o dużej mocy i dość futurystycznym,

eleganckim designie. Urządzenie wystarczy podłączyć na krótką chwilę do prądu, a górna płyta Drink Induction Chiller stanie się tak zimna, że utrzyma stan zamrożenia odsłoniętej kostki lodu. Ten potencjał chłodniczy umożliwia chłodzenie każdego rodzaju szklanych kubków, puszek z sodą lub plastikowych butelek – tak przynajmniej twierdzi producent. DIC ma być dostarczana z zamontowanym standardowym przewodem 120–240 V. Czy to oznacza raz na zawsze koniec ciepłego piwa i coca-coli smakującej jak kompotik cioci Heni? Jest szansa. Niestety, dopiero od sierpnia. Na Kickstarterze można zamawiać za ok. 150 zł od sztuki.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

COŚ DLA PRZEDSZKOLAKÓW



Producent Storyball twierdzi, że ich gadżet, wyglądający jak mocno przejezdny karp, zachęca maluchy do samodzielnej aktywności, co może być istotne w kontekście nadchodzących wakacji – skoro lato i wakacje, to dobrze by było, gdyby rodzice też mogli trochę odpocząć. Storyball może na malucha zrobić wrażenie dzięki proponowanym przez urządzenie quizom i interaktywnym „przygodom”, w których dzieciaki może czynnie uczestniczyć. Oczywiście potrzebne są do tego smartfon i specjalna aplikacja, w której możemy wybrać, w którą „postać” z serialu „Patrol PAW” ma się wcielić zabawka i jaki rodzaj zabaw, przygód, wysiłku fizycznego, aktywności intelektualnej (quizy) czy wreszcie opowieści ma ona głosowo zaproponować bawiącemu się nią dziecku. Jedna Storyball mogąca wcielić się w trzech różnych „bohaterów” kosztuje na Kickstarterze ok. 170 zł.

Wojciech Wybranowski



Joanna Bojańczyk

Sto lat temu był to jeden z najelegantszych kurortów nad Bałtykiem, dorównujący popularnością Zakopanemu. Dzisiaj większości Polaków, zwłaszcza młodych, nazwa „Połoga” niewiele mówi

Elegancka dama

Na szerokich, piaszczystych plażach w sezonie trudno znaleźć miejsce, a główna ulica niewielkiego miasteczka wygląda jak Monciak w lipcu. Jednak urok Połogi trwa, choć historia prowadziła tu swoje bezwzględne porządki. Zmieniała właścicieli, budowała, zabierała, niszczyła, przywracała. Przychodziły kolejno Rzeczpospolita Obojga Narodów, Imperium Rosyjskie, Republika Litewska, Związek Sowiecki, znowu Republika Litewska...

Nie dowiemy się na pewno, czy Adam Mickiewicz spacerował po połądzkiej plaży z piękną doktorową Karoliną Kowską. Coś jednak było na rzeczy. I w Połędzie poeta na pewno był, być może właśnie w okolicznościach romansowych. „Adam nasz – relacjonował Jan Czcot – z niedostatku ubóstwianej Marii upodobał sobie [...] w Kowskiej, Kowska nawzajem w Adamie. Zakochali się jak koty...”. Według słów przyjaciela Mickiewicz oddawał się z panią Kowską „żywiłowej rozpuście”, w czym znajdował rekompensatę za

„nienasycenie miłosne w platonicznym obcowaniu z Marylą”. Jednak Połagę znał na pewno. „[...] na wybrzeżach Połogi, Gdzie grzmiącymi piersiami białe roztrąca się morze [...]” – to cytat z „Konrada Wallenroda”.

Historii Połogi, dawnej i nowszej, nikt nie zna lepiej niż historyk architektury prof. Małgorzata Omilanowska, honorowa obywatelka litewskiej miejscowości, autorka książki „Nadbałtyckie Zakopane. Połaga w czasach Tyszkiewiczów”. Odtwarza w niej historię Połogi, która dzięki tej polsko-litewskiej rodzinie z nikomu nieznannej nadmorskiej osady stała się eleganckim kurortem przełomu XIX i XX w.

– Wielka arystokratyczna rodzina z Litwy, Tyszkiewiczowie po wyprowadzce z Landwarowa pod Wilnem przenieśli się do Kretyni, miejscowości na Litwie oddalanej od morza o jakieś 30 km – opowiada prof. Omilanowska. – Jednak właśnie przeprowadzono tam kolej żelazną i każdy, kto się przesiadał, przychodził ich odwiedzić. Józef Tyszkiewicz lubił spokój, postanowił

więc znaleźć spokojniejsze miejsce do życia. Połaga należała do klucza dóbr Tyszkiewiczów, lecz nie było tam żadnej rezydencji. Była jednak wywodząca się od czasu wojen napoleońskich tradycja przyjeżdżania nad morze w celach zdrowotnych. Na wybrzeżu żmudzkiem stacjonowała armia francuska przed wyruszeniem na Moskwę.

DOM ZDROJOWY

Po śmierci Józefa klucz połądzki odziedziczył jeden z jego synów, Feliks. Jego żonie, Antoninie z Łąckich, Połaga tak się spodobała, że postanowili się tam osiedlić. Wybrano architekta – Franza Heinricha Schwechтена – Niemca, który zaprojektował już wcześniej sporo rezydencji w Wielkopolsce, głównie zresztą dla Niemców. Do zaprojektowania 70-hektarowego parku ściągnięto francuskiego ogrodnika Édouarda André. Część starych drzew wycięto, by zasadzić nowe, egzotyczne. Ku zgorszeniu miejscowej ludności – na Żmudzi stare drzewostany uważane były za świętość. Zaczęło powstawać uzdrowisko.



– Tyszkiewiczowie zrobili to wzorem innych rodzin arystokratycznych, które także posiadały majątki o walorach uzdrowiskowych. Rymanów, Krzeszowice – kontynuuje prof. Omilanowska. Była to inwestycja biznesowa. Zrobiono plan urbanistyczny, podzielono grunt na działki, wytyczono drogi. Część działek została sprzedana, część wydzierżawiono. Niektóre zostały w ręku innych członków rodziny Tyszkiewiczów. Zbudowano głównie drewniane domy, bo taka była tradycja na Żmudzi.

– Ciekawe jest to, że w 1902 r. do zaprojektowania domu zdrojowego zaproszono Stanisława Witkiewicza – opowiada Omilanowska. Dom miał powstać w stylu zakopiańskim. Można się zastanawiać, skąd nagle na Litwie, nad morzem, styl zakopiański. Pamiętamy jednak, że na przełomie XIX i XX w., gdy Polska była pod zaborami, żywy był ruch świadomych intelektualistów dążących do zbudowania świadomości Rzeczypospolitej. Tyszkiewicz, tak jak wszyscy Polacy, marzył o odzyskaniu niepodległości i dążył do tego,

ale nie wyobrażał sobie, że Polska może być inna niż przed rozbiorami – Rzeczpospolita Obojga Narodów. Wprawdzie separatystyczne tradycje litewskie były bardzo silne, ale wtedy nie było oczywiste, że Litwa może być niepodległa. Dorobiono więc teorię – wymyślono styl zakopiański, który był rzekomo stylem ogólnonarodowym, przechowanym tylko w Zakopanem. Witkiewicz miał implantować go na Litwie. Czym Zakopane było dla Korony, tym miało stać się dla Połogi. Jednak Połoga nigdy nie miała takiego znaczenia jak Zakopane, które poza tym, że było uzdrowiskiem leczącym gruźlicę, stało się także ośrodkiem kultury.

WYMARŁA PAMIĘĆ

Jednak i tak przed I wojną światową Połoga uchodziła za elegancki kurort. Nadbałtyckie miejscowości znajdowały się wtedy w zaborze niemieckim, mieszkańcy zaboru rosyjskiego, aby przekroczyć granicę, potrzebowali paszportu. Mimo to artyści przyjeżdżali – Wyczółkowski,

Reymont, gościem Tyszkiewiczów był Lucjan Rydel. Mieszkał w pałacu razem z żoną, która paradowała po nim w swoim krakowskim stroju ludowym.

Po I wojnie światowej, gdy powstała niepodległa republika litewska, uzdrowisko upaństwowiono, Tyszkiewiczowie utracili majątek. Feliks zmarł, w pałacu została Antonina, która podnajmowała go polskim rodzinom z Kowna na letnisko, żeby się utrzymać. W dwudziestolecie straciliśmy możliwość jeżdżenia do Połogi. Wymarła pamięć. Po odzyskaniu wybrzeża centrum uzdrowiskowe przeniosło się na Półwysep Helski, do Juraty, Jastrzębiej Góry. Połoga była dostępna tylko dla tych Polaków, którzy zostali na Litwie. Zapomnieliśmy o niej.

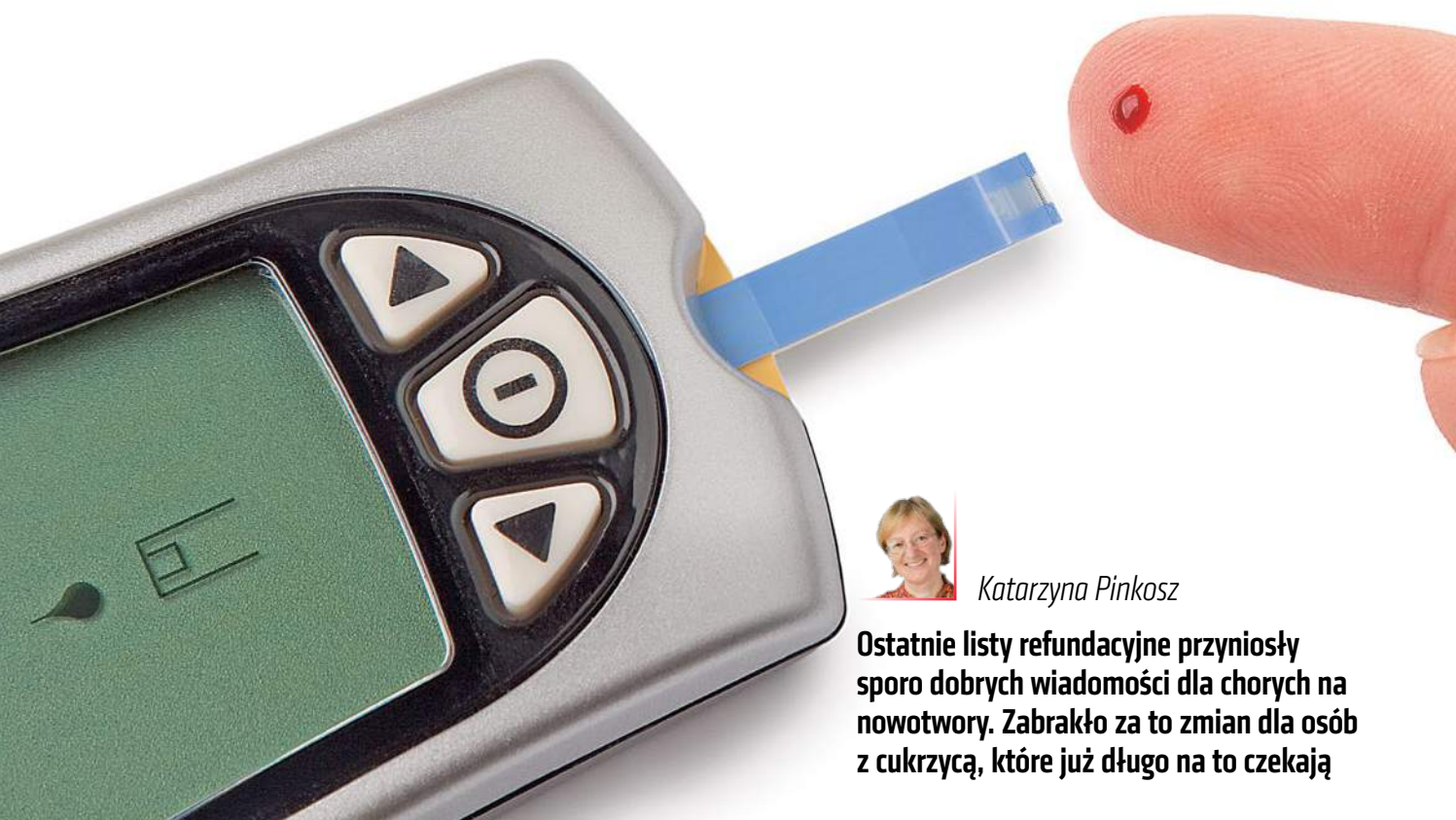
– Jak bardzo, uświadamia niewielkie wspomnienie starszej pani, które znalazłam w „Przekroju” z 1967 r. – dodaje Małgorzata Omilanowska. Wspomina ona wakacje w Połogdzie, to już wtedy była przeszłość. A przecież między 1892 a 1915 r. tam był tętniący życiem kurort, o którym pisały gazety.

NOWE CZASY

Drewniane domy, eksploatowane do granic możliwości, nieremontowane, nie wytrzymały i rozpadły się. Przetrwało niewiele. Rozległe tereny parku zagarnął sowiecki system – w ogrodach parkowych w latach 50., 60. i 70. nabudowano sanatoriów i domów wczasowych. Ocalał tylko park pałacowy, który miał status ogrodu dendrologicznego. Sowietów go nie ruszyli. A w czasach Tyszkiewiczów był dostępny dla kuracjuszy.

Omilanowska: – Połoga w drewnie była bez szans. W ten sam sposób znikła uroda Łeży i Ustki. Kurhaus przerobiony został na potrzeby publiczne. Spłonął w latach 90., prawdopodobnie podpalony. Pałac odremontowano z pietyzmem, mieści się w nim Muzeum Bursztynu.

Dzisiaj kilkunastotysięczna Połoga jest największym kurortem na Litwie. Ma piękne plaże, elegancki deptak bez tandetnych bud i stoisk z chińszczyzną, które tak szpecą polskie uzdrowiska. Połoga stara się być elegancką damą. Może nią być również poza sezonem, bo wbrew północnemu położeniu ma świetne warunki klimatyczne – między czerwcem i wrześniem jest tu ładna pogoda. Poza sezonem restauracje pozostają otwarte, a w sanatoriach kuracjusze mogą korzystać z kąpeli w podgrzewanej wodzie morskiej.



Katarzyna Pinkosz

Ostatnie listy refundacyjne przyniosły sporo dobrych wiadomości dla chorych na nowotwory. Zabrakło za to zmian dla osób z cukrzycą, które już długo na to czekają

Jak chronić serce

Cukrzyca typu 2 (to ok. 90 proc. przypadków cukrzycy) to choroba naszej cywilizacji. Za mało się ruszamy, za dużo jemy, co prowadzi nie tylko do nadwagi i otyłości, lecz także do sytuacji, w której trzustka nie daje sobie rady z produkcją wystarczającej ilości insuliny – hormonu, który jest niezbędny, by przetransportować glukozę do komórek. Jeśli insuliny jest za mało, to glukoza nie trafia do komórek, tylko pozostaje w naczyniach krwionośnych, powoli je niszcząc. Gdy uszkodzi małe naczynia, pojawiają się takie powikłania, jak retinopatia cukrzycowa (a także zaćma i inne choroby oczu, nierzadko prowadzące do utraty wzroku), niewydolność nerek, zespół stopy cukrzycowej, który często kończy się koniecznością amputacji palca, stopy lub nogi. Uszkodzenie dużych

naczyń krwionośnych prowadzi do miażdżycy, zawału serca i udaru mózgu.

UKRYTA EPIDEMIA

Przez wiele lat cukrzyca typu 2 rozwija się skrycie i może nie dawać żadnych objawów. Jeśli nie sprawdzamy sobie poziomu cukru we krwi (co jest zalecane co roku osobom z nadwagą, a także wszystkim po 45. roku życia, jeśli nie prowadzą aktywnego stylu życia), to cukrzyca da o sobie znać w postaci powikłań. Wciąż się zdarza, że jest diagnozowana dopiero, gdy chory trafia do szpitala z zawałem serca lub udarem mózgu. Często się okazuje, że ich przyczyną jest niewykryta i nieleczona wcześniej cukrzyca typu 2.

Jak duży to problem, pokazuje fakt, że na cukrzycę w Polsce choruje

ok. 3 mln osób (z czego pół miliona o tym nie wie), a dodatkowe 2–3 mln ma stan przedcukrzycowy, w którym już pojawiają się zmiany w naczyniach krwionośnych.

Cukrzyca potrafi ukraść wzrok, zniszczyć nerki, jednak najpoważniejsze są jej powikłania kardiologiczne. To właśnie z ich powodu skraca ona życie o sześć–siedem lat, a jeśli chory przeszedł zawał serca – nawet o 12 lat. Każdego roku z powodu cukrzycy (i jej powikłań) umiera w Polsce ponad 30 tys. osób. Sytuacja się pogarsza (społeczeństwo się starzeje, a polskie nastolatki tyją najszybciej w Europie). To dlatego od lat diabetolodzy biją na alarm i nawiązują do stworzenia kompleksowej oraz długofalowej strategii do walki z cukrzycą. W takiej strategii



FOT. FOTODUA

zbyt wysokie i szybciej dochodzi do powikłań naczyniowych.

Kilka lat temu pojawiły się nowe leki, które można nazwać inteligentnymi. – Żyjemy w bardzo ciekawych czasach: na naszych oczach dokonuje się przełom w leczeniu cukrzycy typu 2. W przypadku leków starej generacji musieliśmy uważać, ponieważ ich stosowanie często wiązało się ze wzrostem ryzyka hipoglikemii, przyrostem masy ciała czy zwiększeniem ryzyka sercowo-naczyniowego. Nowe leki przynoszą długo oczekiwany powiew świeżości i nadziei na normalne życie dla pacjentów – mówi prof. Paweł Piątkiewicz, kierownik Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych i Diabetologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Nowe leki obniżają poziom glukozy we krwi tylko wtedy, gdy jest on zbyt wysoki. Ich pojawienie się spowodowało zmianę celów leczenia. Obecnie jest nim już nie tylko obniżenie poziomu cukru, lecz także uniknięcie powikłań, przede wszystkim sercowo-naczyniowych.

Ten nowe leki to inkretyny oraz floszyny. Pierwsze efektywnie obniżają poziom cukru we krwi, ale niezwykle ciekawe są ich efekty dodatkowe, takie jak obniżenie ciśnienia, zahamowanie przyrostu masy ciała (a w przypadku niektórych leków z tej grupy nawet jej zmniejszenie). Ciekawą grupą okazały się też floszyny, które działają w zupełnie inny sposób niż dotychczas stosowane leki przeciwcukrzycowe: zwiększają wydalanie glukozy z moczem. Powoduje to obniżenie jej poziomu we krwi, a także zmniejszenie liczby kalorii, a więc obniżenie masy ciała, co jest tak ważne w cukrzycy. Ich efektem dodatkowym jest też obniżenie ciśnienia.

– Badanie EMPA-REG OUTCOME wykazało, że stosowanie jednego z tych leków, czyli empagliflozyny, spowodowało zmniejszenie liczby zgonów aż o 38 proc. z przyczyn sercowo-naczyniowych, a o 32 proc. – z dowolnej przyczyny. Zmniejszyła się też o 35 proc. liczba hospitalizacji z powodu niewydolności serca. To pierwszy lek doustny, w przypadku którego udowodniono, że wydłuża życie u chorych na cukrzycę – dodaje prof. Piątkiewicz.

W przypadku tego leku zmniejszenie ryzyka sercowo-naczyniowego było widoczne niemal od razu po rozpo-

częciu stosowania. – Leki inkretynowe i floszyny podajemy nie dlatego, że obniżają cukier, ponieważ można go też obniżyć przy pomocy leków starszej generacji, ale dlatego, że zmniejszają ryzyko sercowo-naczyniowe – potwierdza prof. Leszek Czupryniak, kierujący Kliniką Diabetologii i Chorób Wewnętrznych WUM.

KIEDY W POLSCE?

Leki inkretynowe są stosowane na świecie już od 10 lat, floszyny – od pięciu lat. W Polsce również można je kupić, ale z odpłatnością 100 proc. – jak dotychczas żaden nie jest refundowany. Wielu chorych nie stać na zapłatę, zwłaszcza tych, dla których nie jest to jedyny stosowany lek. Cukrzyca często towarzyszy innym chorobom, takim jak miażdżycy, zbyt wysoki poziom cholesterolu i nadciśnienie.

Zalecenia ADA (Amerykańskiego Towarzystwa Diabetologicznego) i EASD (Europejskiego Towarzystwa Badań nad Cukrzycą) mówią, że leki z grupy inkretyn i floszyn można stosować już na bardzo wczesnych etapach leczenia cukrzycy, gdyż zapobiegają powikłaniom sercowo-naczyniowym, którymi jest zagrożony w zasadzie każdy chory na cukrzycę. Polskie Towarzystwo Diabetologiczne, biorąc pod uwagę możliwości refundacyjne w Polsce, chciałoby, żeby

**Przez wiele lat
cukrzyca typu 2
rozwija się skrycie
i może nie dawać
żadnych objawów**

mogli je otrzymywać przynajmniej chorzy z dużym zagrożeniem sercowo-naczyniowym oraz ci, którzy już przeszli zawał serca lub udar mózgu.

– Obecnie ministrem zdrowia jest kardiolog. Mamy nadzieję, że dobrze rozumie, iż te leki nie tylko obniżają poziom cukru, lecz także ryzyko sercowo-naczyniowe. Liraglutyd jest już na rynku od 10 lat, empagliflozyna – ponad pięć lat. To są leki, które w innych krajach weszły już do standardów leczenia. Najwyższy czas, by stało się tak także w Polsce – dodaje prof. Czupryniak.

powinny się znaleźć skuteczne sposoby zapobiegania, kompleksowa opieka nad chorym i efektywne leczenie.

LEKI INTELIGENTNE

Cukrzyca typu 2 – na razie – wyleczyć nie można. Jeśli jednak rozpozna się ją szybko (najlepiej w stanie przedcukrzycowym), to można ją zahamować lub nawet cofnąć. Każdemu – bez względu na zaawansowanie choroby – można zapisać na receptę aktywność fizyczną, niskokaloryczną dietę i schudnięcie.

Jeśli jednak samą zmianą stylu życia nie daje się unormować poziomu cukru, to konieczne jest podawanie leków. Jeszcze do niedawna celem leczenia cukrzycy było obniżenie poziomu cukru we krwi. Leki „starszej generacji” (które wciąż są standardem leczenia w Polsce) mają to do siebie, że przy zbyt intensywnym stosowaniu pojawiają się bardzo nieprzyjemne, a czasem wręcz groźne dla życia epizody hipoglikemii (niedocukrzenia). Chorzy, obawiając się ich, często rezygnują ze zbyt intensywnego leczenia, co z kolei powoduje, że poziom cukru często są



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Zbrodnie i namiętności

Zygmunta Stadnickiego herbu Drużyna zasłużył sobie na miano „syna diabła”, a jego występki mogłyby się stać scenariuszem niejednego serialu historycznego. Urodzony, mówiąc dzisiejszymi słowami, w rodzinie patologicznej, z ojca Stanisława Stadnickiego z Łańcuta, awanturnika i warchoła, odziedziczył po nim nie tylko skłonność do przemocy i okrucieństwa, lecz także stosy wyroków sądowych. Po dojściu do pełnoletniości zamieszkał w Żurawicy pod Przemyślem, w zameczku, który wkrótce stał się jednym z wielu „wilczych gniazd” ziem przemyskiej i sanockiej. Od razu też rozpoczął z braćmi Władysławem i Stanisławem wojnę o podział włości łańcuckich. Kiedy

Władysław nie chciał mu zdać rachunków, Zygmunt zwierzbował 50 swawolników i napadł na skutny brata, które przewoziły jego cenne towary, zrabował je i złupił.

Potem doszło między nimi do uspokojenia – Stadnicki zaprosił Władysława do siebie, podejmował go zanie, jednak kiedy brat wracał do Łańcuta, zasadził się na niego koło żurawickiego kościoła. Władysław ratował się ucieczką, ale Zygmunt schwytał jego sługę Gołuchowskiego wiozącego pieniądze i po prostu zastrzelił go z muszkietu.

Wkrótce król ustanowił pomiędzy

nimi zastaw w wysokości 50 tys. zł, a w roku 1620 wydał Zygmuntowi list przypowiadni na wystawienie chorągwi husarskiej na wojnę z Turkami. Jednak Stadnicki wykrywał oddział do prywatnej awantury – tym razem miłosnej. Stąd znajdujemy jego nazwisko wśród skazanych na infamię za niestawienie się pod rozkazy hetmańskie.

Zygmunt miał bowiem kochankę – Izabelę Hornostajównę – kobietę młodą, piękną i namiętną, matkę trojga dzieci i małżonkę podstarzałego Jakuba Cieszanowskiego. Jak podaje Władysław Łoziński, kochankowie uknuli spisek mający na celu pozbycie się męża, a Izabela ponoć własną krwią napisała list do Zygmunta, przebywającego w obozie pod Chocimiem, donosząc mu, że małżonek planuje podróż, będzie miał Żurawicę – nadarza się więc długo oczekiwana „sposobność”. Stadnicki wyjechał z obozu i zastał pułapkę na Cieszanowskiego, zastępując mu drogę i zapraszając w gościnę. We dworze Zygmunt począł przymuszać gościa do picia wielkich ilości miodu i wina. Stary szlachcic nie chciał się upić, dlatego postanowił wymknąć się chyłkiem. Szepnął żonie, aby skoro opuści ucztę, ruszyła do Radymna, gdzie mieli się spotkać.

Cieszanowski uciekł na koniu, a Izabela wsiadła do karocy i podążyła na spotkanie z mężem. Jednak u jej boku jechał na czele swoich ludzi Stadnicki. Jakież było zdumienie Cieszanowskiego, kiedy w karczmie w Radymnie spotkał żonę i... Stadnickiego, który wyskoczył jak diabełek z pudełka. Zygmunt zaraz roześmiał się i zaprosił go na wieczerzę. Jednak wino przywiezione z Żurawicy się skończyło; wtedy pan rotmistrz począł zmuszać Jakuba do picia miodu. A gdy ten nie chciał wypić jego zdrowia, rozzłościł się. „Wypij, bo będziesz musiał!” – zawołał ponoć. „Nie będę musiał!” – odparł

Cieszanowski. Stadnicki dał znać służbie, która wypaliła do starego szlachcica z półhaków. Cieszanowski padł trupem, a Zygmunt pojął Izabelę za żonę.

Od tej pory przez kilka lat terroryzował okolice. Jak podają księgi sądowe: „Pod ten czas Stadnicki wiele złego broił, ludzi swawolnych kupi wielkie chował, stancje w dobrach stanu rycerskiego wybierał, ludzkie niewinne do więzienia sadzał, do okupów przymuszał, domy szlacheckie zajędział, plądrował, krew niewinną przelewał. Zamek Jego Królewskiej Mości stryjski wybrał i wszystkim niemal w przemyskiej i sanockiej ziemi straszny był”.

Nie wszyscy jednak bali się Stadnickiego. Piotr Cieciszowski, który poślubił (a wcześniej porwał) jego siostrę Felicjanę, zdobył Żurawicę, której Zygmunt nie zdołał odzyskać. Przeniósł się wtedy do Rudawki pod Birczą, gdzie zgromadził kompanię godnych siebie hultajów – lisowczyków i węgierskich Szeklerów zwanych sabatami. Największą awanturą, którą wywołał, stała się zwada z braćmi Dębickimi, na których wielokrotnie napadał, oblegał w dworze w Rytarowicach i u niejkiej Krzeszowej.

Zygmunt Stadnicki wyprawiał się także na Śląsk, gdzie odziedziczył znaczne dobra po matce – Annie „Diablicy” Stadnickiej. W 1622 r. napadł tam na dwóch kupców żydowskich: Mojżesza Laudę z Wiśnicza i Jakuba Gombrychta. To przepełniło czarę goryczy; przeciwko awanturnikowi wystąpił starosta przemyski Marcin Krasicki, który z pomocą wojska kwarcianego zdobył Rudawkę. Stadnicki uszedł w Bieszczady, a stamtąd udał się na Śląsk, chcąc zwerbować kolejną gromadę hultajów i lisowczyków, wrócić z nią i dokonać zemsty. W trakcie przygotowań został jednak zabity w jakiejś utarczce.

Na szczęście. ©



JERZY KRYSZAK – SZYBKO I PO WŁOSKU

Może moja waga na to nie wskazuje, ale gotowanie to obowiązek, który wzięłem na siebie z wielką przyjemnością. W kuchni spędzam sporo czasu. Jednak chciałbym podzielić się szybkim, chyba najprostszym, a jednocześnie jednym z najwspanialszych przepisów na świecie. Przygotowanie dania trwa tyle, ile ugotowanie makaronu. To lekko zmodyfikowany klasyczny włoski przepis, w oryginale pewnie dyktowany biedą albo brakiem czegośkolwiek pod ręką. Jeżeli zdarza się, że wracamy skądś albo nie chce nam się iść do sklepu, to zawsze w domu znajdzie się przecież główka czosnku, jakiś makaron i coś dla wzbogacenia smaku.

wtedy lepiej połączą się z sosem. Dodajemy odrobinę papryczek peperoncini (śmiało można użyć suszonych). Po lekkim podsmażeniu (nie dopuszczamy do zbrązowienia czosnku) odcędzamy makaron, zostawiając jednak odrobinę wody na dnie, i przelewamy na patelnię. Dokładnie mieszamy, solimy, dodajemy sporo bazylii (najlepiej świeże liście). Danie możemy urozmaicić, dodając garść krewetek lub pokrojonego, podsmażonego kurczaka. Nie ma na świecie niczego wspanialszego. ©©

*oprac. raw
Jerzy Kryszak jest aktorem
i satyrykiem.*

Składniki:

- makaron
- 5–7 ząbków czosnku
- 3 pomidorki koktajlowe
- papryka suszona

Przygotowanie:

Gotujemy makaron (ja lubię cienkie paseczki, trochę grubsze od makaronu spaghetti, ale i taki się nada), a w międzyczasie przygotowujemy sos. Rozgniatamy kilka ząbków czosnku i wrzucamy na gorącą oliwę. Dorzucamy pomidorki koktajlowe. Możemy je wcześniej obrać ze skórki,



FOT. KRZYSZAK KUCHNIA FORUM



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Oda do sera

Znajomi zafundowali sobie rejs po Morzu Karaibskim. Wspaniałe widoki, lazury, morze, nurkowanie w kryształowej wodzie, na pokładzie basen i wszystkie luksusy, jedzenie doskonałe – mango i papaja prosto z drzewa itp. Turyści opaleni i zadowoleni wylegiwali się na leżakach. Tylko jedna pani z Polski przy śniadaniu robiła awantury. „Jak to nie ma białego sera? Dlaczego? Jak to możliwe, żeby nie było białego sera?”

Niezbyt lubię awanturników (pewnie dlatego, że sama do nich należę), ale muszę przyznać, że chociaż przez tydzień na Karaibach mogę się obejść bez tego i owego, to trochę rozumiem tę panią.

W czasie naszego wieloletniego pobytu za granicą jedną z największych tęsknot wygnańca był właśnie biały ser. Żaden cottage, żadna gumowata przemysłowa Philadelphia, żadne fromage blanc ani mozzarella nie są w stanie zastąpić prawdziwego mławskiego w sercowatym kształcie, opakowanego w biały pergamin z czerwonymi, zielonymi lub niebieskimi literkami, w zależności od poziomu tłuszczu. Tłusty, półtłusty, chudy – wszyscy znamy dobrze to oznakowanie.

Biały ser z polskich mleczarni do dziś uważam za polski produkt narodowy. Na wsi, nawet na Mazurach,

gdzie często jeżdżę i spędzam wakacje, biały ser robi się w domu. Proste: kwaśne mleko w glinianym garnku stawia się na ciepłej kuchni i ono tam się wolniutko podgrzewa. Na wierzchu zbiera się kożuch śmietany, resztę przelewa się na sitko wyłożone gazą. Przez noc ser obcieka nad zlewem i rano do śniadania można mieć świeży twarożek. Kremowy, zwarty, gładki, dający się kroić w plasterki lub smarować. Zbite w kostkę, mokre, kruszące się przemysłowe podróbki nie mają z takim serkiem nic wspólnego. Jednak tylko świeże mleko tak działa. Pasteryzacja, homogenizacja, spulchniacze i inne zaawansowane technologie spożywcze zabijają ten jedyny, lekko kwaskowaty prawdziwy smak.

Jednak nie tylko smak się tu liczy, lecz także wartości: magnez, potas, cynk, witaminy A, D, B i E. Wapnia wbrew pozorom nie tak dużo. Z tłuszczem trzeba uważać, ale bez przesady – osobiście jestem gotowa nawet na więcej kalorii, bo chudy ser nie tylko jest wiórowaty, lecz także pozbawiony witaminy D.

Gdy pójdziemy dalej, to to, co z białego sera da się zrobić, również należy do ścisłej czołówki polskiego repertuaru kulinarnego. Ruskie i leniwe, królowe barów mlecznych, sernik, nie żaden tam cheesecake. Kto nie lubi, ten ręką do góry. Nie widzę. ©©



FOT. FOTOLIA

NASZ TEST: VOLKSWAGEN TIGUAN ALLSPACE

Jak na rodzinne auto wygląda co najmniej dobrze i ma aż siedem miejsc (dodatkowe dwa w trzecim rzędzie). Gdy postawi się go obok standardowego, pięciomiejscowego Tiguan, można spokojnie zacząć zabawę w „znajdź 10 szczegółów”. Oba modele różnią się m.in. długością (Allspace ma 4,7 m długości, o 21,5 cm więcej niż pięcioosobowa wersja), kształtem bocznych szyb za tylnymi drzwiami, a także wyglądem z przodu (standardowa wersja wygląda nieco bardziej sexy). Nie oszukujmy się jednak: przecież to rozmiar ma największe znaczenie, a Allspace to samochód, którym spokojnie można zabrać nad morze dzieci wraz z wnukami. To również model stworzony dla tych wszystkich, którzy – choćby nie wiadomo jak dobre recenzje zbierała Skoda Kodiaq – i tak nigdy nie kupiliby auta czeskiej marki.

W KABINIE

Wnętrze zostało wykonane z materiałów dobrej jakości. Zwłaszcza w górnej części kabiny plastiki są przyjemne w dotyku i dobrze spasowane. Bardzo dobre wrażenie robi ośmio-calowy ekran dotykowy: jest czytelny, intuicyjny w obsłudze i wyposażony w świetnie działającą nawigację satelitarną.

Kabina jest przestronna. Miejsca na nogi jest mnóstwo zarówno z przodu, jak i w drugim rzędzie.

Duże rodziny ucieszy również informacja, że bagażnik Tiguan Allspace ma aż 700 l pojemności, czyli o 85 l więcej niż standardowa wersja.

Nieco gorzej w praktyce sprawdza się trzeci rząd – dotarcie do dodatkowych siedzeń i rozłożenie ich bez poobijania lub chociaż otarcia nóg o tylny zderzak może być trudne, co jest szczególnie kłopotliwe, jeśli zanim rozpoczęliśmy całą procedurę, auto zostało solidnie zmoczone przez deszcz. Ponadto przy rozłożonych siedzeniach trzeciego rzędu pojemność kufra wynosi zaledwie 230 l. Trzeci rząd siedzeń warto więc traktować raczej jako rozwiązanie awaryjne.



JAZDA

Gama silników w wersji zaczyna się od benzynowych jednostek o pojemności 1,4 l i mocy 150 KM, a kończy na dwulitrowym dieslu o mocy 240 KM. Dzięki napędowi na cztery koła SUV Volkswagena dobrze trzyma się drogi i pewnie się prowadzi. Adaptacyjna regulacja zawieszenia pozwala wybrać tryb jazdy. Do wyboru są: ekonomiczny, normalny, komfortowy oraz indywidualny. W praktyce tryb komfortowy jest zbyt miękki, przez co przy ostrych zakrętach niemiecki SUV dość mocno się przechyla. Na trasie lepiej więc przełączyć się na sztywniejsze ustawienia trybu Sport, a w mieście trzymać się fabrycznych ustawień (w trybie Sport wszelkie wyboje są bowiem mocniej odczuwalne).

Auto z silnikiem Diesla pod maską spala średnio w cyklu mieszanym ok. 8–8,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP VW Tiguan zdobył komplet pięciu gwiazdek.

Elektroniczni asystenci ostrzegają też przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu i przed samochodami w martwej strefie lusterek.

System kamer z widokiem 360 stopni ułatwia nie tylko parkowanie (Allspace może ten manewr wykonać samodzielnie), lecz także umożliwia np. precyzyjne podjechanie tyłem do dyszla przyczepy.

Opcjonalny asystent jazdy w korkach sprawia zaś, że auto samodzielnie przyspiesza, hamuje, automatycznie rusza i utrzymuje się w pasie ruchu.

CENA

Najtańszego Tiguan Allspace w siedmioosobowej wersji z benzynowym silnikiem o pojemności 1,4 l o mocy 150 KM i manualną skrzynią można kupić za 117 tys. zł, a z automatem – za 126,7 tys. zł. Za wersję z silnikiem Diesla o pojemności 2,0 l o mocy 150 KM i manualną skrzynią biegów trzeba zapłacić co najmniej 130,6 tys. zł, a ze skrzynią automatyczną – co najmniej 140,2 tys. zł.

Tiguan Allspace w najdroższej wersji wyposażenia z napędem na cztery łapy, automatyczną skrzynią biegów i dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 220 KM kosztuje 177 tys. zł. Najbogatsza wersja wyposażenia z automatem, silnikiem Diesla o mocy 240 KM i napędem 4 x 4 to zaś wydatek aż 192 tys. zł.

KONKURENCI

Nissan X-Trail, Land Rover Discovery, Peugeot 5008, Skoda Kodiaq, Toyota RAV4 ☹☹

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



100 %

**polski
produkt**

JUŻ NIEBAWEM RUSZA
**III EDYCJA
KONKURSU**

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Powrót na właściwe tory

MARCIN MAKOWSKI: W ekspresowym tempie rząd, a właściwie otoczenie premiera Morawieckiego, wycofał się z dwóch przepisów znowelizowanej ustawy o IPN. Rozwiązanie problemu, który samemu się stworzyło?

MATTHEW TYRMAND: Dobrze się stało, że w końcu rząd wycofał się z najbardziej kontrowersyjnych zapisów nowelizacji ustawy

wrzucenie tematu kar więzienia za kłamstwa historyczne i zmiany głównej osi narracji politycznej było w tamtej chwili na rękę obozowi Zbigniewa Ziobry. Tak czy inaczej po zamieszczeniu, które wywołała ustawa, dla rozsądnych polityków było jasne, że nie da się utrzymać w mocy przepisów umożliwiających ściganie obywateli innych krajów. Straty w relacjach dyplomatycznych z Izraelem i USA rosły z dnia na dzień, a były tym boleśniejsze, że zarówno Likud, jak i administracja Donalda Trumpa w innych kwestiach – np. kontroli granic i sceptycyzmu wobec globalizacji oraz islamizacji Zachodu – mówiły jednym głosem z Prawem i Sprawiedliwością.

I co? Nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko wróci na właściwe tory? Jerozolima i Waszyngton rzucą się w objęcia Warszawy?

To oczywiście, że pewnych strat wizerunkowych nie da się naprawić, a na pewno nie w tydzień czy miesiąc, ale pod względem formalnym nie ma już żadnej dyplomatycznej blokady pomiędzy Polską a jej dwoma sojusznikami. Na stół z pewnością wróci kwestia relokacji części wojsk amerykańskich z Niemiec na wschodnią flankę, wymiana handlowa i technologiczna z Izraelem wróci do status quo ante. Można się tylko zapytać, dlaczego to wszystko musiało trwać pięć miesięcy? Z jakich powodów Patryk Jaki mówił z okładek gazet, że rząd nie robi ani kroku wstecz, a po wszystkim nagle zniknął i nie zabierał głosu. Jedno nie ulega dzisiaj wątpliwości – jak trudna byłaby to decyzja i jak bardzo niepopularna w twardej elektoracie PiS, ktoś musiał wziąć na barki uwolnienie się od balastu sporu o IPN. Dobrze, że tą osobą był premier Morawiecki,

który przeprowadzeniem całej operacji umocnił się politycznie we własnym środowisku.

Mówisz o sukcesie polskiego premiera, tymczasem w izraelskich rządowych mediach sprawę przedstawiono jako zwycięstwo Netanjahu, który zmusił Polskę do zmiany własnego prawa.

Jednak w innych, bardziej lewicowych, pisano, że Netanjahu poniósł klęskę, ulegając polityce historycznej Warszawy i przyznając, że istnieje coś takiego jak antypolonizm. Te negocjacje nie były zero-jedynkowe, dlatego nie da się mówić o jednym zwycięzcy czy jednym przegranym. Moim zdaniem w jakimś sensie wygrali wszyscy, bo każdy dostał taki punkt zaczepienia w opowieści o kulisach negocjacji, który stawia go w perspektywie rozgrywającego. Na koniec dnia to jednak żywotny interes obu państw, aby nie wyniszczać się na arenie międzynarodowej. Teraz trzeba zabrać się do poważnych rzeczy, takich jak wolny handel i geopolityczna stabilność Europy oraz Bliższego Wschodu. Dosyć czasu już zmarnowano na tematy poboczne.

Jak zmiany w ustawie o IPN zostały odebrane w amerykańskich mediach? Ktoś zwrócił na nie uwagę?

Tak, wspólne oświadczenie polskiego oraz izraelskiego premiera zostało zauważone i zrelacjonowane. Pisały o tym główne portale internetowe i dzienniki. Problem polegał na tym, że akurat tego dnia wszyscy w Waszyngtonie dyskutowali o zmianach w Sądzie Najwyższym USA. Informacja na pewno dotarła jednak do elit politycznych Ameryki i będzie punktem odniesienia przy wszystkich przyszłych dyskusjach na temat Holocaustu i polskiego prawa. To duże osiągnięcie. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

Pewnych strat wizerunkowych nie da się naprawić, ale formalnie nie ma już żadnej dyplomatycznej blokady pomiędzy Polską a jej dwoma sojusznikami

o IPN, która od początku była pisana bardziej w kontekście bieżącej polityki i zwiększenia wpływów Ministerstwa Sprawiedliwości niż dbania o dobre imię Polski. Trzeba pamiętać, że błyskawiczne przegłosowanie ustawy w styczniu przypadało na moment, w którym Mateusz Morawiecki zaczynał zbierać dobre notowania, odbył udany szczyt w Davos i negocjacje w Brukseli z Jeanem-Claude'em Junckerem. Będąc stał na stanowisku, że

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Papuga i antypapuga

NOWA PORA EMISJI

Piątek 21:00

Gry tajnych służb

NIEZNANE ARCHIWA,
TAJNE DOKUMENTY,
NIEWYJAŚNIONE ZBRODNIE



Zapraszam!
Dorota Kania



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Jaka władza, taki sukces

JERZY TARGALSKI: *Pozbycie się pani Gersdorf jest dużym sukcesem.*

Chciałoby się rzec – jaka władza, taki sukces. Na razie udało się co prawda wprowadzić zamieszanie kompetencyjne i doprowadzić do sytuacji, w której nie wiadomo, kto szefuje jednemu z kluczowych konstytucyjnych organów, ale z odtrąbieniem pozbycia się Gersdorf bym jeszcze poczekała. Długo poczekała. Niewykluczone, że ten sukces okaże się sukcesem na miarę innego niedawno fetowanego – wycofania się z ustawy o IPN po miesiącach zbierania będków z każdej strony.

Żadnego innego celu, poza upokorzeniem Gersdorf, nie osiągnięto

Jestem przekonana, że jeszcze przed nieudanym odesłaniem w stan spoczynku Gersdorf zaczęło się kombinowanie, jak uniknąć katastrofy większej, niż już jest. Klakierzy władzy mogą świętować w mediach zwycięstwo, ale cena, którą wszyscy za nie zapłacimy, jest na tym etapie trudna do oszacowania, a kto wie, czy największych kosztów tego manewru nie

poniesie sam „zwycięzca”. A co właściwie wygrał? Targalski uważa, że sukcesem jest samo pozbycie się Gersdorf. Nawet jeśli ostatecznie się jej pozbędzie – a to wcale nie jest oczywiste, bo już po kilku dniach widać, że władza nie ma żadnego pomysłu na przychodzącą do pracy prezes – będzie to sukces tylko, jeśli w sprzątaniu SN chodziło wyłącznie o prywatną rozprawę Kaczyńskiego ze zniechodzoną przez niego Gersdorf. Żadnego innego celu, poza upokorzeniem Gersdorf, nie osiągnięto i nawet nie ma go na horyzoncie, bo przecież skład SN nie ulegnie większej zmianie, a na powołanie swojego prezesa PiS będzie musiał jeszcze długo poczekać.

Po co więc jemy tę żabę? Ponieważ nikt nie wskazuje żadnych merytorycznych powodów, trzeba przyjąć wersję optymistyczną – chodziło wyłącznie o zaspokojenie prywatnej antypatii prezesa, może z drobnym bonusem w postaci pokazania reszcie środowiska prawniczego, kto tu rządzi i kto naprawdę wszystko może.

Jest to, niestety, wersja optymistyczna, choć kompromitująca dla władzy i niebezpieczna dla państwa. Ponieważ alternatywa jest jeszcze gorsza. Jeśli nie względy merytoryczne i nie foch prezesa, trzeba

by poważnie potraktować sugestie, że może chodzić o zabezpieczenie wyniku następnych wyborów.

Historia III RP zna przecież taki przypadek. W 1995 r. to SN zaklepał de facto prezydenturę Kwaśniewskiemu, odrzucając wyborcze protesty w sprawie ordynarnego „kłamstwa magisterskiego” kuriozalnym i obrażającym inteligencję uzasadnieniem. „Sąd Najwyższy uznaje, że wykształcenie kandydata było istotnym elementem kształtowania preferencji wyborczych. Jednakże żadne badania nie formułowały tezy, iż chodzi w tym zakresie o wykształcenie wyższe. Zasadniczo pojęcie wykształcenia było odnoszone do posiadania odpowiednich kwalifikacji zawodowych, kompetencji”. Gdyby wtedy w SN orzekali uczciwi sędziowie, gdyby ci uczciwi nie zostali przegłosowani, mogłoby nie być pierwszej kadencji Kwaśniewskiego. Na razie takie machlojki wyborcze nam nie grożą, bo – jak zauważył sam Targalski – „żeby się nie okazało, że nowych sędziów będzie garstka i zostaną zdominowani przez tych starych” – ale o względny komfort pewności, że chodzi tylko o osobistą niechęć prezesa do pani prezes, naprawdę trudno. © ©

PODSŁUCHANE

Wszystko zaplanował

Halo? Dzień dobry, panie prezydencie. Tu Grzegorz mówi.

A, witam, panie Grzesiu, witam. No, co tam słychać?

Ja w sprawie tego protestu pod sądem. Pan wie, który to budynek?

No jak nie wiem, jak wiem.

Tak tylko mówię, żeby pan nie szukał najwyższego budynku sądu w Warszawie...

Panie, pan mnie masz chyba za jakiegoś kretyna.

No nie, skądże znowu... Bardzo nam zależy, żeby pan był, tylko... mamy mały problem.

Co jest?

Bo pan o tej broni pisał. Wolelibyśmy uniknąć jakichś problemów. Żeby to jakoś w żart obrócić czy coś...

Panie, ja głupi nie jestem. Oni by mnie chcieli wsadzić, a ja wziąłem i komunę obalęm, i nie ze mną takie numery Brunner i Cent-

kiewicz. Ja żem już tu wszystko zaplanował, ja tu zaraz pistoleta zakopiem w ogrodzie, one go nie znajdą, a ze sobom to ja wezmę takiego korkowca, taki mam plan, i pokażem, że niby siem władza korkowca boi.

No... tak, faktycznie świetny plan...

Czekaj pan chwilę... Danka, podej no mie tam z pawlacza ten pakunek. Tylko ostrożnie, pistoleta tam mam! Czekaj pan, oddzwoniem, bo mi siem tu trochę narobiło. Ja chyba jednak nie bendem mógł przyjechać. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeśli ktokolwiek, w tym policja, stanie mi na przeszkodzie, będę walczył i bronił się. Przypominam, że mam broń i pozwolenie do obrony osobistej”.

LECH WAŁĘSA, były prezydent, zapowiadając na Facebooku udział w proteście przed Sądem Najwyższym

Żartownisia

Gdy w numerze 23/2017 „Do Rzeczy” stwierdziłem, że fakt, iż esbecki kapuś Wałęsa stał się wodzem narodu i personalnym godłem Polski na całym globie, to jeden ze wstrętniejszych antypolskich żartów Historii w całej historii Sarmatów — zostałem zapytany przez Czytelnika o inne żarty tego rodzaju, które wycięła Polakom kapryśna i nieraz złośliwa Mama Historia. Było ich trochę, tak zdarzeniowych, jak i personalnych. Spośród tych drugich wskazać dzisiaj dwa dla przykładu (felietonowa szczypta miejsca nie zezwała na więcej).

Początkowo mieliśmy królów dynastycznych (Piastów i Jagiellonów), później elekcyjnych. Pierwszym elekcyjnym monarchą nasi przodkowie obrali (1573), po sejmowych i sejmikowych przepychankach, Francuza Henryka Andegawskiego (d'Anjou), zwanego u nas Walezym (de Valois), choć nie zawsze i nie przez wszystkich (Mazurzy zwali go Henrykiem Gaweńskim). Sam ten wybór i ten 22-latek (w chwili wyboru) to żart historii par excellence. Nie tylko dlatego, że przebywał/władał nad Wisłą (Kraków) ledwie 4 miesiące (od 18 lutego do 19 czerwca 1574), po czym zwał chichem, bo wołał koronę francuską, co cudzoziemcy komentowali sardonicznie („*król Henryk robił Polskę psikus*”), a rodacy wściekłe („*odmienny, złośliwy, żywy!*”). Również ze względu na osobliwe cechy charakteru. Niżej lapidarny konterfekt pajaca, który figuruje dumnie w każdym „**Poczie królów Polski**” jako pełnoprawny monarcha, poprzednik wielkiego Stefana Batorego.

Był typowym ówczesnym zepsutym Francuzikiem, produktem paryskiej dworskiej burdelokracji. Wykolczykowany, biseksualny sybaryta/hedonista i cyklotymik (cyklotymia to rodzaj psychozy maniackalnej). Dobrze władał szpadą, chociaż lubił się przebierać w damskie łaszki. Dobrze władał nogami, zwłaszcza chętnie tańcząc „*wolę*”, płąs uważany przez Sarmatów za gibanie wyuzdane. Dobrze władał językiem, dzięki czemu zyskał miano oratora. Dobrze władał „*ptakiem*”, dlatego zainkasował parę chorób wenerycznych nim ukończył 25 lat. Wspomniane damskie łaszki były rozmaite: frywolne (gdy przebierał się za ładacznice) albo

bojowe (gdy grał amazonkę). Ciągłe otaczał go rój „*minionów*” („*les mignons*”), czyli młodziutkich efebów, więc Polacy szeptali, że „*włoskim* [homoseksualnym] *ohydnym nalogom nie przepuszcza*”, ale nie przepuszczał też samiczkom (uwielbiał rozdziewiczać mniszki). Sypiał za dnia, bo całymi nocami balował i „*oblupiał*” ergo „*chędożył*”. Będąc królem Francji został zaszytletowany w 38 roku życia przez fanatycznego mnicha, co położyło kres domowi Walezjuszy.

Z domu naszych Czartoryskich nikt nie zyskał większej sławy wśród rodaków jak Adam Jerzy ks. Czartoryski (1770–1861), przywódca całej Wielkiej Emigracji polskiej, która uciekła nad Sekwanę wskutek klęski Powstania Listopadowego. Władał nią z paryskiego Hôtel Lambert (dla młodzieży: to nie był hotel, tylko okazała rezydencja pałacowa) jako symbol naszego post-insurekcyjnego patriotyzmu, mając status quasi-monarchy (zwano go: „*królem Adamem*”). Głupi żart Historii tutaj akurat zawiera się w fackie, że ów symbol patriotyzmu i martyrologii emigracyjnej nie był synem swego formalnego tatusia, Adama Kazimierza księcia Czartoryskiego, lecz bękartem ruskiego stupajki/satrapy, jenerała—ma-



upokorzyć seksualnie alias małżeńsko. „*Zagiął parol*” na jego żonę, Izabelę z Flemingów. Broń Boże nie gwałcąc po kacapsku, tylko uwodząc z szarmancką galanterią, po francusku. Czartoryska się zrazu opierała (1767), mimo iż „*stepowy samiec*” miał u dam „*branie*” nie gorsze od Casanovy, ale szybko jej kochliwa natura pchnęła 22-latkę w objęcia posła carskiego (1768) i romans eksplodował z feeryczną namietnością, stanowiąc „*tajemnicę Poliszynela*” wśród kręgów stołecznego i zagranicznego „*monde'u*”. Nasza wielbiona później za promocję kultury „*pani na Puławach*” będzie po latach tłumaczyła tę swoją młodzieńczą „*slabość*” klamiąc, że oddała się Repninowi z wdzięczności, gdyż uchronił przed represjami carskimi jej rodzinę (oddała się dużo wcześniej). Znamy owe wynurzenia z memuarów innego jej amanta, księcia de Lauzun, cytując fragment: „*Książę Repnin zakochał się we mnie, jednak początkowo nie był miłe przyjęty. Rozruchy, które wybuchły w mojej nieszczęśliwej ojczyźnie, dały mu wkrótce sposobność dowieść, jak bardzo byłam na drodze (...). Miał uwięzić Czartoryskich, lecz nie wykonał tego rozkazu, ściągając na siebie gniew carycy i surową karę. Odwołany, utracił swe majątki, a ja stałam się ostatnim już skarbem, jaki mu pozostał*”. Dzięki tym ekliwym wspominkom tyran jawi się don Kichotem, a cudzołożnica heroiną narodową, która tyrana rozbroiła/spacyfikowała. Tyż piknie!

Takie herbowe cudzołożnice napłodziły sporo nobilnych bękartów w minionym tysiącleciu Europy. Kiedy syn kniazia Repnina oraz księżnej Czartoryskiej przyszedł na świat, plotka głosiła, iż jej mąż kazał go odebrać Repninowi w koszyku. Jednak Historia odesłała ten koszyk — niczym koszyk Mojżesza — do Panteonu narodowego. Historia bowiem ma trochę jakby kąśliwe poczucie humoru... ©©

Waldemar Łysiak

Aleksander Fredro:
„Żartobliwej pełna weny
Pośród historycznej sceny”

jora Nikołaja Wasiliewicza księcia Repnina, który brutalnie dławił Polskę Stanisławowską jako warszawski ambasador carycy Katarzyny II. O tym fackie za tamtych czasów strach było nawet szeptać, a później rodzimym historykom wstyd było o tym pisać, nie chcieli brudzić nimbu „*króla Adama*”.

W Warszawie „*króla Stasia*” (Stanisława Augusta Poniatowskiego) Repnin, mający pałkę pod postacią carskich bagnetów, traktował naszego ostatniego monarchę niczym własną marionetkę. Widzieli to wszyscy, również odwiedzający Polskę cudzoziemcy. Niżej relacje trzech Anglików. William Coxe: „*Realnie rzecz biorąc tutejszy król jest co najwyżej wicekrólem, ponieważ prawdziwą władzę dzierży rosyjski ambasador, który dyryguje wszystkimi sprawami państwa*”; James Harris: „*Repinin jest w Warszawie wszechmocny, traktuje z góry nie tylko króla, ale wszystkich, nuncjusza papieskiego nie wyłączając, i niszczy każdego sprzeciwiającego mu się, co stanowi despotyczny sposób ambasadorowania*”; Nathaniel William Wraxall: „*Nieszczęsny król zachował już tylko nazwę swego urzędu wobec despotycznych rządów ambasadora będącego ciemięzycielem Polski*”.

Przywódcą opozycji antyrepinowskiej był przez pewien czas Adam Kazimierz książę Czartoryski, więc Repnin postanowił go






Eco-Drive.
Radio-Controlled
Watch

EDYCJA LIMITOWANA - JERZY DUDEK



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW